NIEZAPOMINAJKI

WSPOMNIENIA „SZAREGO”

Stanisław Szczepan

NIEZAPOMINAJKI

WSPOMNIENIA „SZAREGO”

Boguchwała 2019

Redaktor prowadzący
Damian Drąg

Opracowanie redakcyjne i korekta
Anna Rusinek-Miąsik

Korekta wydawnicza
Małgorzata Kuźniar

Indeks nazw geograficznych
Anna Rusinek-Miąsik

© Copyright by Gminna Biblioteka Publiczna w Boguchwale, 2019

ISBN 978-83-953102-0-1

Wydawca
Gminna Biblioteka Publiczna w Boguchwale
ul. Suszyckich 13, 36-040 Boguchwała
tel. 17/ 87 15 355
e-mail: gbp@boguchwala.pl
www.gbp.boguchwala.org.pl

Opracowanie graficzne, skład i przygotowanie do druku

WYDAWNICTWO
EDYTORIAL

35-216 Rzeszów
ul. H. Sienkiewicza 8/66
tel. kom. +48 730 999 731, 730 999 732
e-mail: redakcja.edytorial@gmail.com
www.edytorial.com

Przedmowa

Wydawnictwo, które przekazujemy do rąk czytelnika, jest pod wieloma względami nieszablonowe – tak jak wojenne losy Stanisława Szczepana ps. „Szary". Podczas II wojny światowej był jednym z dowódców polowych rzeszowskiego obwodu Związku Walki Zbrojnej, a w latach 1942–1945 – Armii Krajowej. W późniejszym okresie aktywnie działał w ramach Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość". Wspomnienia „Szarego" – opublikowane dzięki zaangażowaniu pracowników Biblioteki w Boguchwale oraz Bronisława Wilka z Zarzecza i Zdzisława Domino z Racławówki – to nie tylko cenne uzupełnienie wiedzy z okresu II wojny światowej, ale także ważny przyczynek do historii podziemia niepodległościowego w naszym regionie.

Choć udostępniony Państwu tekst ma niejednokrotnie emocjonalny czy też sensacyjny charakter, całość przekazu historycznego pokrywa się z udokumentowanymi wydarzeniami. Osoby pojawiające się na kartach tej książki – wymieniane z nazwiska i z pseudonimami – to zarówno postaci historyczne, zasłużone dla antykomunistycznego podziemia, jak i zwykli Polacy walczący o niepodległość Rzeczypospolitej. Pod tym względem wydawnictwo stanowi ważne uzupełnienie historii regionalnej, tym bardziej że wskutek bezpardonowej działalności pracowników Urzędu Bezpieczeństwa PRL-u wiele dokumentów i relacji z tamtego okresu bezpowrotnie zaginęło lub zostało sfałszowanych. Do dnia dzisiejszego – pomimo odzyskania suwerenności przez naszą Ojczyznę – zarówno najbliższa rodzina Stanisława Szczepana, mieszkająca obecnie w Nowej Rudzie i we Wrocławiu, jak i autor wspomnień całkowicie nie pozbyli się traumy komunistycznych prześladowań i obawiali się ujawniania pełnej listy imion i nazwisk osób wymienianych we wspomnieniach. Kompetentnie i szeroko historyczny kontekst tamtej epoki opisuje Marcin Maruszak, redaktor magazynu „Tajna Historia Rzeszowa" oraz prezes Stowarzyszenia Rodzin Żołnierzy Wyklętych Podkarpacia z siedzibą w Boguchwale, w dołączonym posłowiu.

Serdecznie dziękuję wszystkim osobom zaangażowanym w przygotowanie i wydanie niniejszej publikacji. Szczególne słowa wdzięczności kieruję do

Burmistrza Boguchwały – Pana Wiesława Kąkola – oraz Janusza Szczepana, Magdaleny Dołęgi i Anny Rusinek-Miąsik za życzliwą pomoc i wsparcie merytoryczne.

Damian Drąg
Dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej
w Boguchwale

Wstęp

11 listopada 1998 roku oglądam w telewizji transmisję z uroczystości z okazji kolejnej rocznicy odzyskania przez Polskę – po prawie stu czterdziestu latach niewoli – niepodległości. Jest to już osiemdziesiąta rocznica tego historycznego wydarzenia. Uroczystość odbyła się w Warszawie przy udziale członków rządu RP, wojska, delegatów partii politycznych i społeczeństwa. Uczczono ten dzień honorowymi salwami armatnimi, złożeniem wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza, defiladą wojskową i przemówieniami.

Oglądając, wspominam defiladę wojskową w Suwałkach, w której brałem udział jako żołnierz służby czynnej kompanii Korpusu Ochrony Pogranicza. Był to rok 1938. W roku 1939 wybuchła druga wojna światowa i rocznicę niepodległości Polski okupanci uznali za nieważną. A co było potem?

Przerywam wątek historyczny, losów Polski, zostawiając ten temat badaczom oraz autorom przebogatych, często kontrowersyjnych, publikacji o późniejszych wydarzeniach w kraju – targanym przez różne siły polityczne, i krajowe, i zagraniczne, aż do lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Powracam do chwili odzyskania przez Polskę niepodległości.

Polska B – taki symbol gospodarczy miała Małopolska w granicach od Krakowa do Lwowa. Podkarpacie – część kraju w niewoli Cesarstwa Austro-Węgierskiego; co prawda część mniej uciskana od pozostałych, bardziej liberalna, jeśli chodzi o język, tradycje, religie, szkolnictwo i swobody obywatelskie, jednak z pewnymi restrykcjami politycznymi, gospodarczymi i wojskowymi.

Symbol B oznaczał: największa gęstość zaludnienia na kilometr kwadratowy; brak przemysłu, dróg, połączeń kolejowych, zacofanie gospodarcze, ukształtowanie terenu stwarzające poważne trudności komunikacyjne i rolnicze, bardzo duże bezrobocie, znaczny poziom analfabetyzmu, szczególnie wśród kobiet, i ogólnie bardzo niski stan materialny ludzi. Ludność jednak bardzo pracowita, utrzymująca się z posiadanych małych kawałeczków pola i dorabiająca u bogatszych sąsiadów, żyjąca prymitywnie, ale głęboko wierząca w Boga i pasywnie poddająca się losowi. Taka była Polska B w chwili odzyskania niepodległości w roku 1918.

Część I

OKRES MIĘDZYWOJENNY

Wyzwolenie

Entuzjazm narodowy. Józef Piłsudski na ustach Polaków. Piosenkę z wyrazami „kibitka", „Sybir", „katownia" i innymi niewolniczymi słowami zamienia się na „My, pierwsza brygada Piłsudskiego dziada" – tak do humoru i rymu.

Mam wtedy trzy latka i nic z tego wszystkiego nie wiem jeszcze, ale ojca swego, który już wrócił z pierwszej wojny światowej w mundurze armii austriackiej, nie uznaję (czy to pierwsza iskra wojskowa w krwi?). Jako szóste dziecko w rodzinie Szczepanów (będzie ich jeszcze więcej) dorastam do roku 1922. I odtąd w komórkach pamięciowych kory mózgowej utrwalają się do dziś wspominki z tamtych lat…

Okrutna, mroźna i śnieżna, zima z zaspami sięgającymi okien domów, podczas której moja najstarsza siostra przenosiła mnie na plecach do szkoły, bym nie utknął po drodze w śniegu. Tam i z powrotem; z tabliczką łupkową w oprawie z drewna, rysikiem i gąbką do zmywania liter – to były atrybuty szkolne w pierwszej klasie. Szkołę w Zarzeczu wybudowano w roku 1910[1]. Budyneczek o jednej salce, około trzydziestu metrów kwadratowych. Jedyny nauczyciel, Jakub Kucharski[2], prowadził klasy od pierwszej do czwartej, poświęcając po dwie godziny dziennie każdej. Dlatego od roku 1910 analfabetyzmu wśród dzieci w tym przedziale wiekowym nie było.

Pamiętam marki austriackie tak zdewaluowane, że aby ojciec mógł dokonać zakupu towaru (wódki, piwa i tym podobnych) do prowadzonego interesu, starsze rodzeństwo układało banknoty i wiązało w banderole przez cały wieczór dnia poprzedniego. Ilość banderoli objętościowo prawie równała się objętości zakupionego towaru.

Pamiętam polski grosz w postaci małego prostokąta papieru z niewielkim paskiem koloru biało-czerwonego po przekątnej. Był to rok 1922 (grosze w bilonie ukazały się w 1923 roku).

Z kolejnych lat pamiętam najrozmaitsze postacie galicyjskiej biedy, jak choćby chodzenie boso i ubieranie butów dopiero przed kościołem lub bramą miasta. (To dla oszczędności obuwia latem).

Pamiętam niezbędne atrybuty gospodarcze, jak sierp, kosa, żarna, sieczkarnia, cep, maślnica. To były podstawowe narzędzia pracy w każdym domu.

Pamiętam o jedynej często w domu krowinie zwanej „karmicielką", dającej pod koniec zimy niekiedy tylko litr mleka dziennie. W trakcie kilkumiesięcznej zimy bywała przemarznięta i wygłodzona niejednokrotnie do tego stopnia, że – by nie zapomniała swoich nóg – dźwigano ją na pewien czas na powrozach do góry, do sufitu. Przetrwać musiała tak do wiosennej trawki. Tak było w biedniejszych gospodarstwach.

Pamiętam duże ożywienie w kulturze. Powstawały w miastach różne organizacje krzewienia i rozwoju kultury; w środowiskach wiejskich między innymi Towarzystwo Szkoły Ludowej. Organizowano w okolicznych wioskach świetlice, biblioteki, chóry, teatrzyki wiejskie, nawet zespoły muzyczne[3]. Związek Strzelec zrzeszał męską młodzież, prowadząc ćwiczenia wojskowe.

Założyciele Towarzystwa Szkoły Ludowej w Zarzeczu w 1935 lub 1936 roku. Siedzą od lewej: Franciszek Mac, Franciszek Korona, Zofia Włoch (Lipińska), Józef Pasternak, Jan Mac. Stoją od lewej: Zofia Szczepan (Lasota), Ignacy Wilk, Zofia Gaciarz (Wilk). *Autor nieznany, zbiory prywatne Bronisława Wilka*

W szkołach poczesne miejsce zajmował język polski i historia – starano się odrobić niewolnicze zaniedbania tych przedmiotów przez okupanta.

Zwiększało się zainteresowanie kształceniem młodzieży w szkołach miejskich o wyższym poziomie. Szczególnie w tych miejscowościach, gdzie były większe możliwości dojazdu do szkół. Z pamięci mogę podać liczbę osób z Zarzecza dokształcających się w Rzeszowie – trzeba jednak zaznaczyć, że Zarzecze jest mniejsze od okolicznych wsi. I tak: jedna osoba ukończyła politechnikę we Lwowie[4] i po studiach wyemigrowała do Anglii; do domu rodzinnego na stały pobyt nie wróciła; jedna osoba ukończyła średnie seminarium

nauczycielskie i również do domu nie wróciła[5]; jedna osoba po przerwanych studiach również opuściła dom i wróciła dopiero po kilku latach[6]; trzy osoby zdały maturę w Rzeszowie[7]; sześć osób ukończyło siedmioklasowe szkoły podstawowe[8]. Wszystkie pochodziły z rodzin zamożniejszych.

W latach trzydziestych bardzo nasiliła się emigracja ludności do Stanów Zjednoczonych, Francji, Niemiec i Ameryki Południowej w poszukiwaniu pracy. Mały procent tych emigrantów po dorobku wrócił do kraju, reszta stanowi do dziś Polonię.

Przywracanie ładu gospodarczego w kraju postępowało powoli. Są opisywane do dziś przykłady zrywów gospodarczych, jak na przykład przebudowa w ciągu trzech lat wioski rybackiej Gdyni w najnowocześniejszy port na Bałtyku; jak budowa nowoczesnego ośrodka chemicznego w Mościcach według projektu prezydenta Polski Ignacego Mościckiego (stąd nazwa Mościce); jak zorganizowanie w Poznaniu Międzynarodowych Targów Poznańskich, świadczących o gwałtownym rozwoju Polski.

Ale kraj nie mógł całkowicie otrząsnąć się z wieloletniego zacofania. Pogłębiał się kryzys i zwiększało bezrobocie. Wolność słowa, wiary i różne swobody obywatelskie nie usuwały niedostatku. Powstałe monopole państwowe powodowały anomalie cenowe w latach trzydziestych. Na przykład: kilogram cukru grysik kosztował jeden złoty i dziesięć groszy, cukier kostka i głowy cukrowe były droższe (jeden złoty i trzydzieści groszy); za kilogram soli płaciło się dwadzieścia pięć groszy; pudełko zapałek kosztowało osiem groszy, spirytus – dwanaście złotych, tytoń średni (dwadzieścia pięć gram) dziewięćdziesiąt groszy, przedni – jeden złoty i dziesięć groszy, najprzedniejszy – jeden złoty i trzydzieści groszy; kilogram mięsa wieprzowego kosztował osiemdziesiąt groszy, szynki gatunkowej – trzy złote i pięćdziesiąt groszy, kiełbasy – jeden złoty i czterdzieści groszy; za jajko płaciło się trzy–cztery grosze, za kilogram masła – trzy złote; para obuwia kosztowała dwanaście–piętnaście złotych, tenisówki – trzy–cztery złote, wiatrówki – siedem–osiem złotych; koszt garnituru męskiego wynosił od siedemdziesięciu złotych (wełna sześćdziesiąt procent) do stu dwudziestu złotych (wełna sto procent, bielska); za koszulę płaciło się od trzech złotych i pięćdziesięciu groszy do czterech złotych i pięćdziesięciu groszy.

Pamiętam parodiowane do dziś porównania cenowe. Na przykład za jedno pudełko zapałek trzeba było zapłacić prawie tyle, ile otrzymywało się za trzy jajka, a za jedną paczkę tytoniu średniego gatunku – tyle, co za trzydzieści jaj. Toteż mężczyźni uprawiali tytoń w ukryciu, wśród roślin kukurydzy, rosnącej do wysokości krzaka tytoniu. W ukryciu, bo pracownicy urzędów skarbowych zwalczali to i za znalezienie krzaka tytoniu naliczali karę należną

za metr kwadratowy nielegalnej uprawy. Podobnie karano za stwierdzenie posiadania zapalniczki, która musiała być opodatkowana.

Pamiętam też, że stosowano opłaty (tak zwane myto) za wjazd do miasta furmanką lub wprowadzanie zwierząt na targowice. Na rogatkach miejskich opłaty (na kwit) pobierał pracownik magistratu. Wjazd i wprowadzanie zwierząt niedozwolone było przez niektóre wyznaczone centralne ulice z obawy przed ich zabrudzeniem.

Takie utrzymały się w mej pamięci obrazki z dziecięcego życia w rodzinnym domu. Nic szczególnego dotyczącego mnie osobiście wtedy nie działo się.

Próba kształtowania mego losu

Po ukończeniu czterech klas w szkole w Zarzeczu uczęszczałem do klasy piątej w sąsiedniej wsi – Babicy. Po ukończeniu zaś tej klasy zostałem zapisany do szkoły imienia Henryka Sienkiewicza w Rzeszowie[9], ale również do klasy piątej, bo równało to poziom między szkołami na wsi i w mieście. Poza tym w szkole w Rzeszowie od klasy piątej obowiązywał jeszcze język niemiecki jako przedmiot dodatkowy. Decyzję tę rodzice podjęli po rozważeniu pewnych kwestii finansowych i innych trudności. Mianowicie wtedy moja starsza siostra kontynuowała średnią szkołę handlową w Rzeszowie. W związku z tym trzeba było wnosić różne opłaty szkolne, pokrywać koszty jej zakwaterowania i wyżywienia, gdyż kursy pociągów niedostosowane były do popołudniowych wykładów w szkole. Moje codzienne wyjazdy do miasta były dość korzystne, gdyż co parę dni robiłem zakupy, głównie pieczywa, ale i innych produktów, potrzebnych ojcu do prowadzenia interesu. Zrzucałem te sprawunki z pociągu przejeżdżającego koło domu, by nie dźwigać ich z oddalonego o ponad dwa kilometry przystanku. Było to możliwe, gdyż w tamtym czasie w składach pociągów tak zwanych podmiejskich stosowano wagony o drzwiach nie w ścianach podłużnych, lecz szczytowych, ze schodami z obu stron. Stawałem więc na najniższym schodku i zrzucałem worek z zakupami w stronę czekającego tam już ojca. Było to oczywiście niedozwolone, ale nigdy z tego tytułu nie otrzymałem żadnych uwag od pracowników kolei.

Jako kilkunastoletnie chłopię byłem wykorzystywany jeszcze w inny sposób – jako szkółkarz. Nie wiem, jak ojciec nawiązał kontakt z firmą Emil Freege w Krakowie prowadzącą nowoczesne szkółkarstwo. Otrzymywał stamtąd katalogi, jakieś nasiona, instrukcje o rodzajach upraw, szczepień, czyli uszlachetnianiu drzew i krzewów, i tym podobne, a ponieważ był wokół domu kawałek pola, założył tam szkółkę drzew owocowych. Było to bardzo potrzebne,

gdyż koło każdego domu rosło dużo różnych drzew o staromodnych, ludowych nazwach – drzew półdzikich, nieszlachetnych gatunkowo, o owocach drobnych i kwaśnych. Wysiewał więc nasiona, a po dwóch latach szczepił szlachetnymi odmianami, formował korony, sprzedawał. Każdej wiosny pomagałem ciąć, szczepić, bandażować, a latem pielęgnować drzewa. Kiedy miałem chwilę wolnego, najstarszy mój brat, który przejął po ojcu stolarnię, zatrudniał mnie jako pomoc, wynagradzając od czasu do czasu jakimś drobnym groszem.

Ojciec nasz, człowiek z dużą inicjatywą, miał jeszcze i inne różne zainteresowania oraz umiejętności oprócz najgłówniejszego swego zajęcia, to jest prowadzenia wyszynku wódek, piwa, wina i różnego rodzaju zakąsek. Zabijał średnio jedną, czasem nawet dwie świnie tygodniowo i produkował wspaniałe czysto wieprzowe wędliny i garmażerkę. Obsługiwał zawsze wszelkie wiejskie festyny czy majówki, organizując tam bufety. Udostępniał dom na przyjęcia weselne i potańcówki, szczególnie zimą (dom był czteroizbowy, duży). Oczywiście w takich sytuacjach jego obrót w interesie bardzo się zwiększał. Mama nasza dzielnie mu w tym pomagała. W rezultacie dom nasz nie był ani głodny, ani bosy pomimo głębokiego kryzysu i bezrobocia w kraju. Chociaż? Przysłowie katolickie mówi: „Jak Bóg dał dziecko, to da i na dziecko". U nas Bóg dał dzieci dużo, bo ósemkę, ale na te dzieci zapomniał dać.

Poświęcenie motopompy w Zarzeczu w 1959 roku. W środku siedzi Jan Szczepan, ojciec Stanisława Szczepana. *Piotr Musiał, zbiory prywatne Bronisława Wilka*

Brat mój Ignacy, jako drugi z kolei, po odbyciu służby wojskowej wyemigrował w roku 1926 do Francji. Tam pracował w kopalni i przy budowie linii Maginot, założył rodzinę i do Polski do końca życia nie wrócił.

Siostra Aniela (druga z sióstr) po wyuczeniu się zawodu szwaczki wyemigrowała w roku 1931 do Francji z powodu braku pieniędzy na zakup maszyny do szycia Singer. Tam pracowała początkowo jako pomoc domowa, wyszła za mąż, kupiła maszynę i otworzyła warsztat krawiecki. W roku 1949 wróciła do Polski. Osiedliła się w Gliwicach.

A ja kontynuuję naukę w Rzeszowie przez trzy lata. Podoba mi się ta szkoła. Sami chłopcy. Nauczyciele – sami mężczyźni. Jest ich sześciu z dyrektorem, panem Janem Kolanko, prezesem Krajowego Zawodowego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Dystyngowany starszy pan uczy języka polskiego i historii. Pan Weiss (wąsacz) uczy języka niemieckiego – także w innych szkołach. Jest narodowości niemieckiej, ale ma obywatelstwo polskie, bo żonaty jest z Polką[10]. Jan Weiss, jego syn, przezywany Jasio Szpula (kto i kiedy tak go nazwał, nie ustalono), uczy rysunku i malarstwa oraz robót ręcznych. Ma duże uzdolnienia plastyczne. Pan Lebedowicz – młody, wciąż uśmiechnięty, wysportowany, lubiany przez uczniów, ale tylko do ożenku. No bo jak można lubić tak pięknego mężczyznę, gdy ożeni się z niską, zbyt pulchną i ogólnie brzydką panią w okularach? A on to zrobił. Pan Leon Łabaj – rygorysta, ale z dużym poczuciem humoru – uczy matematyki i fizyki*.

Na dwudziestu uczniów w klasie jest trzech Żydów. Taka ilość procentowa jak w kraju, gdzie było trzy miliony Żydów na trzydzieści milionów ludzi. Odnosimy się do nich chłodno. To Treper, Flicker i Schwarcbard przezywany Czarnobrodziec, bo spolszczyliśmy mu nazwisko.

Pamiętam mój przypadek z Flickerem. Poszliśmy całą klasą pod opieką nauczyciela Lebedowicza, tak jak i inne szkoły, na uroczyste odsłonięcie pomnika Lisa-Kuli na placu Farnym w Rzeszowie. (Pułkownik Lis-Kula urodził się w Kosinie i zginął w roku 1919 pod Torczynem w walce z bolszewikami). Społeczeństwo Rzeszowa dla pamięci ufundowało mu pomnik odlany z brązu w Danii i ustawiło na kamiennym obelisku na placu Farnym). Wokół pomnika – szkoły, wojsko, społeczeństwo, orkiestra. Śpiewaliśmy wtedy popularną piosenkę: „Witaj, majowa jutrzenko! Świeć naszej polskiej krainie", a Flicker (może w domu u niego rozmawiało się tylko językiem żydowskim) bardzo zniekształ-

* Leon Łabaj – członek Związku Patriotów Polskich Oddział Rzeszów; został rozstrzelany przez Niemców w 1940 roku z sześcioma innymi mieszkańcami Rzeszowa. Z jego synem Leszkiem chodziłem do szkoły w Rzeszowie.

cał wyrazy polskie. I w tej piosence to wyglądało dla ucha jak: witaj maju-waju--cienko. Stał w zasięgu mojej nogi, więc kopnąłem go. Odskoczył. Zauważył to Lebedowicz, zbliżył się z ukrywanym uśmiechem i zapytał:

– Co ty robisz?

Odpowiadam, że on śpiewa po żydowsku „maju-waju-cienko", a nie „majowa jutrzenko".

– Przeproś!

Nie przeprosiłem, a nauczyciel z uśmiechem odszedł.

Szkołę kończę w roku 1931 i wracam na łono wiejskiej małej ojczyzny. I co dalej? Mam szesnaście lat. Wąsik się sypie, zaczynam się uczyć tańczyć wspólnie z innymi rówieśnikami na wieczorowych potańcówkach z dziewczynami. Takie małe przygotowanie do kawalerskiego życia. We wsi interesuje się mną sołtys, bo sam jest ledwo piszący[11], a dostał od gminy druki i załączniki różne do spisu ludności. Siostra moja jest wtedy nieobecna, bo po ukończeniu szkoły dostała posadę w Ustrzykach Dolnych i tam pracuje. We wsi nie ma więc jednej wolnej osoby z jakimś wykształceniem. Na prośbę sołtysa zgadzam się na przeprowadzenie poprzez chodzenie od domu do domu spisu ludności w rodzinnej wsi. Spis został uznany przez władze powiatowe w Rzeszowie za prawidłowo i dobrze wykonany. Kilka tygodni później znów odbywa się spis – tym razem inwentarza ruchomego (zwierzęta i maszyny rolnicze) w gospodarstwach wiejskich. Wykonuję i ten. Zostaję wynagrodzony jakąś drobną kwotą. A więc przydaję się we wsi jako „pisarz".

Sierżant Władysław Szczepan z żoną. Prawdopodobnie Przemyśl, lata dwudzieste dwudziestego wieku. *Autor nieznany, zbiory prywatne Stanisławy Madery*

Ojciec rozważa możliwość ulokowania mnie w jakiejś szkole średniej, pomimo że sytuacja materialna w domu staje się coraz gorsza, bo kryzys w kraju pogłębia się. Sprawdza się wtedy znane powszechnie stwierdzenie, że kto podsłuchuje, ten usłyszy o sobie. Do ojca przyszedł syn nieżyjącego już brata ojca, starszy sierżant Wojska Polskiego[12], by wypić z nim kieliszek dobrej wódki (obaj to lubili) Ojciec po zamknięciu swojego wy-

Od lewej: Władysław Szczepan, dwie siostry Husówny (z Czudca), Eugeniusz Szczepan, Stanisław Szczepan. Zarzecze, listopad 1940 roku. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

szynku zaprosił go na dalszą pogawędkę do drugiego pokoju. W pokoju tym spałem wraz z moim młodszym bratem i przed zaśnięciem przysłuchiwaliśmy się ich rozmowie – tym uważniej, że była to rozmowa na mój temat. Mianowicie ojciec radził się, czy dobrze by zrobił, gdyby zapisał mnie do czteroletniego seminarium nauczycielskiego w Rzeszowie, bo po jego ukończeniu byłbym nauczycielem i miałbym jakiś konkretny zawód. Po pewnym namyśle sierżant skrytykował taki pomysł ojca, mówiąc, że będą to znów czteroletnie koszty w i tak ciężkiej sytuacji materialnej, a pensja naukowa jest niewysoka, bo to sto dziesięć złotych miesięcznie. Poza tym takiego młodego stażem nauczyciela odeślą na „daleki wschód", to znaczy do wsi na biednym Polesiu czy Podolu, gdzie – jak się wyraził – „będzie pluł płuca nad suchotniczymi bachorami Poleszuków przez wiele lat". Zaproponował natomiast:

– Chłopak ma wojskową iskrę we krwi, jak wszyscy Szczepanów synowie. Zaczeka do osiemnastego roku życia, zgłosi się na ochotnika do służby wojskowej, odsłuży swoje półtora roku i dalej będzie mógł zostać w służbie zawodowej, biorąc już jako kapral zawodowy pensję miesięczną o dwadzieścia złotych wyższą od nauczycielskiej. A poza tym będzie miał do czynienia z dorosłymi ludźmi, zyska możliwości awansu, pewne ulgi wojskowe, ćwiczebny mundur. I nie będzie trzeba ponosić dodatkowych kosztów przez kolejne cztery lata.

Ten projekt chyba spodobał się ojcu (mnie tym bardziej) i na tym temat skończył się. Tak pozostało. Do osiemnastych urodzin miałem jednak jeszcze dwa pełne lata. Szukam więc jakiegoś płatnego zajęcia w Rzeszowie. Znajduję je w ekskluzywnej cukierni pana Hoekera jako chłopiec do obsługi gości. Przyjmuję to. Praca od szóstej rano do dwudziestej drugiej. Do obsługi dwadzieścia sześć stolików. Osoby tam pracujące: właściciele cukierni (mąż i jego żona), cukiernik, jego pomocnik, zmywaczka, służąca do utrzymania czystości w lokalu rano i w południe, no i ja. Moja płaca uzgodniona to dwadzieścia złotych miesięcznie plus drobne groszowe dodatki na talerzyku od klientów (było w zwyczaju w lokalach zostawiać je w geście grzeczności przez obsługowanych). No i wyżywienie, czy raczej tylko możliwość zjadania różnych tak zwanych okrajków nienadających się do sprzedaży, czasem nieudanych wypieków i tym podobnych; niekiedy jakaś obiadowa zupa. To jadaliśmy wszyscy pospołu. Właściciele też. Ślina czasem się ciągnęła, bo zjadanie tych odcinków słodkich z wypieków nocnych – pięćdziesięciu dwóch gatunków ciast cukierniczych – nudziło.

Praca ciężka. Od szóstej wynoszenie wypieków (cukiernik i jego pomocnik pracowali tylko nocą) do lokalu. Od godziny siódmej obsługa gości przychodzących na śniadania i spieszących się do pracy. Ciepłe rogale, inne pieczywo, kawa, jajecznica, mleko, kakao – to pierwszy rzut towarowy. Uwijamy się w trójkę – szefowie i ja. Przekrój społeczny klientów: wyżsi oficerowie pułku ułanów i 22 Pułku Artylerii Lekkiej, czasem 17 Pułku Piechoty, bywa że z żonami, sędziowie, adwokaci (bez żon), przemysłowcy, wyżsi urzędnicy – po prostu śmietanka Rzeszowa, bo cukiernia Hoekiera[13] była najdroższym, ale i najlepszym lokalem cukierniczym w mieście. Przy ulicy Trzeciego Maja.

Wspomnę o wyjątkowych klientach cukierni. Była więc pani Hofman, której mąż, zamieszkały w Katowicach, prowadził obstawy słupów podporowych do kopalń węgla na Śląsku. Był bardzo bogaty. Żona jego każdego dnia przychodziła ze swoją siostrą (obie w wieku ponad czterdzieści lat) o godzinie dwudziestej. Siadały przy stoliku pod lustrem (lustro o wymiarach trzy i pół na dwa i pół metra zamontowane na ścianie szczytowej). Pół godziny przed dwudziestą musiałem kłaść na stole tabliczkę z napisem „Stół zarezerwowany" i pochylać krzesła. Zjawiały się punktualnie, zjadały po dwa–trzy ciastka, popijały tak zwany mazagran, później kawę kapucyn i wychodziły po dwugodzinnym siedzeniu przy stole. Siostra pani Hofman chorowała na gruźlicę, o czym pani Hofman poinformowała szefa cukierni przy pierwszym wejściu do lokalu. Zaraz po tym, jak wychodziły, cała zastawa stołu, obrus z naczyniami, była na zapleczu wygotowywana. Ważną dla mnie spra-

wą było to, że pani Hofman raz w miesiącu pozostawiała dla mnie piętnaście do dwudziestu złotych za obsługę, co stanowiło prawie moje miesięczne wynagrodzenie.

Co parę dni w lokalu zjawiał się na czarną kawę bardzo już stary i pomarszczony pułkownik. Jeżeli w tym czasie było włączone radio lampowe (wówczas były jeszcze rzadkością), kazał je wyłączyć i to w sposób bezpardonowy. Szef perswadował, że przecież w lokalu są inni goście, ale ściszał głośnik do minimum. Powtarzało się to przy następnych jego pobytach. Wreszcie szef przeprosił go, dając mu do zrozumienia, że jego kategoryczny wymóg lekceważy swobodę innych klientów oraz obniża frekwencję i że dziękuje mu za dotychczasowe odwiedzanie. Od tego czasu pułkownik przestał u nas bywać.

Panna „Róża" – piękna, wymalowana, wypudrowana, świetnie zbudowana, kochanka pana mecenasa Różyckiego (katolika) – przychodziła do cukierni zawsze przed ósmą, zajmowała stoliczek przy oknie wystawowym, zapalała papierosa Złota Pani (papierosy te należały do najdroższych w owym czasie), zamawiała literatkę wody sodowej za pięć groszy i siedziała trzy–cztery godziny, czekając – po nieprzespanej chyba nocy – na swego dość bogatego (jak krążyły słuchy) pana. A pan mecenas Różycki, znany, starszy już nieco adwokat mający kancelarię i sławę biegłego w zawodzie, przychodził na spotkania z nią dopiero po południu. Mego szefa i właściciela cukierni denerwowało blokowanie stolika przez kilka godzin codziennie za pięć groszy, kiedy frekwencja była większa i miejsc brakowało. Pewnego dnia przeprosił ją więc, wyłuszczając sprawę: że przecież on z tego żyje i każdy stolik musi przynosić mu pewien finansowy obrót w interesie, a jej wysiadywanie bez konkretnego zamawiania naraża go tylko na straty. Obraziła się – opuściła lokal i przestała u nas bywać. Poskarżyła się też swemu kochankowi Różyckiemu, więc i on przestał się zjawiać. Taki okres bojkotu trwał około trzech miesięcy, potem zaczęli znów przychodzić, ale zawsze razem, a pan mecenas płacił przyzwoite rachunki, bo jako prawnik znał się na interesach i ekonomii.

Co pewien czas pojawiali się różni artyści, sztukmistrze czy grajkowie. Prosili szefa o zezwolenie na jakiś ich występ w lokalu, bo w ten sposób zarabiali, tak jak kapele uliczne. Pewnego dnia przyszły trzy dziewczynki w różnym wieku: większa, mniejsza i mała, chyba z jednej rodziny, pięknie ubrane – w kolorowe gorseciki i kapelusiki – i zaczęły grać. Najstarsza na akordeonie, średnia na skrzypcach. Ta najmniejsza zaś, dziecko prawie, chodziła między stolikami z kapelusikiem w dłoni i zbierała datki od siedzących gości. Grały pięknie znane wtedy piosenki. W tym czasie gościło w cukierni kilku oficerów 20 Pułku Uła-

nów, którzy bywali u nas bardzo często*. Pan rotmistrz, zachwycony tą grą (a był bogaty, pochodził z jakiejś dawnej ziemiańskiej rodziny na polskim Wołyniu), podszedł do tej najmłodszej, wziął ją na ręce, ucałował, zbliżył się do oszklonej gabloty z ciastami i powiedział:

– Bierz stąd, co ci się podoba.

Ona wskazała palcem na klosz, w którym było około kilograma wiśni w spirytusowej zaprawie oblanych czekoladą**. Gałka jednej wiśni kosztowała pięćdziesiąt groszy, podczas gdy jedno luksusowe ciastko dwadzieścia pięć groszy, a wiśni w tym kloszu było około trzydziestu. Koszt był więc znaczny. Panu rotmistrzowi oczy stanęły w słup, ale honor oficerski to honor! Zaczął wprawdzie oponować; mówił:

– Dziecino, przecież tam wewnątrz jest spirytus.

Ale ona odpowiedziała:

– Nie szkodzi, ja to już jadłam.

Pan rotmistrz*** zapłacił więc kilkanaście złotych i chyba zapamiętał, że tak się dziecku nie mówi: „Wybieraj". Tymczasem kazał wybrać – no to wybrała.

Kłopot miałem z zakwaterowaniem. Sypiałem bowiem u mego kolegi pracującego w Hotelu Udziałowym jako boy, inaczej chłopiec na posyłki, czyścibut. Miał on mały pokoik na zapleczu, w którym stały najróżniejsze narzędzia do mycia, sprzątania i trzepania, a wśród nich metalowe łóżko, na którym sypialiśmy obaj. Ciasno było i bardzo niewygodnie.

Po drugiej stronie dziedzińca hotelowego stał jakiś stary dom, zajmowany przez małżeństwo trudniące się sprzedażą wyrobów garmażeryjnych w swoim kiosku na placu targowym. Mieszkał z nimi syn dwudziestokilkuletni o nazwisku panieńskim matki i córeczka (kilkanaście latek). Kuchnia, pokój i nic więcej. W dzień małżeństwo było w kiosku, syn nie wiadomo gdzie i co robił, córka podobno czegoś u kogoś uczyła się. Jedli, co kto dopadł. W nocy w kuchni gotowały się gary i baniaki pełne mięsnej różności, by mogli wyprodukować towar do handlu w kiosku na drugi dzień, a więc galarety, pasztetowe salcesony, pasztety, rolady i tym podobne. Kiedy oni spali, nie wiem; podobno tylko w swoim kiosku na zapleczu w dzień – bo w domu przez resztę czasu kłócili się. Tadeusz (syn) wracał różnie – zarówno jeśli chodzi o porę, jak i stan trzeźwości.

* Zwykle przychodzili na cały wieczór, ale właściciel cukierni niezbyt był z tego zadowolony, bo alkoholu nie podawaliśmy, a kawa i ciasteczka nie przynosiły znów tak dużego utargu.

** Ta zaprawa nazywała się spirytusowa, ale był to tylko krem czekoladowy rozcieńczony lekko spirytusem.

*** Pan rotmistrz, bardzo lubiany przez oficerów i ułanów, niedługo potem zginął tragicznie. Jadąc własnym kabrioletem, uderzył w drzewo koło koszar w Rzeszowie.

Spał w kuchni, gdzie stało jakieś archaiczne łoże, szerokie, przedzielone w połowie stalową listwą. Na jednej stronie tego łoża on, na drugiej ja. Bo namówił mnie jego ojciec, chcąc zwiększyć swój dochód domowy o parę złotych – to była opłata za noclegi ode mnie – bym u nich nocował. Ruch w kuchni przy produkcji tych kaszankowych przysmaków, para, tłuszczowe zapachy drażniły, jednak zasypiałem, bo byłem przecież przemęczony (cały dzień na nogach i gonitwa między stolikami od szóstej do dwudziestej drugiej). Miałem więc tego dość – i tej cukierni, i takiego wypoczynku. Na wsi świeciło wtedy słońce, było czyste powietrze, a w powietrzu boża armia ptactwa, czysta pościel, czysta strawa podana na stół, czysta rzeka Wisłok i ryby, które tak lubiłem łowić z sierżantem Szczepanem w wolnych chwilach. Zwolniłem się więc i wróciłem do domu. Ale już jako podrastający kawaler, ogładzony przez miasto, z krawatem i białym, sztywnym kołnierzykiem. W cukierni był bowiem taki wymóg, że koszula mogła być z jakiegokolwiek materiału, w ciapki, paski i kolory, ale kołnierzyk tylko biały, sztywny, do tego krawat, no i biała bluzeczka cukiernicza czy kelnerska*.

Błogi czas w rodzinnym domu nie był jednak długi. W sierpniu roku 1934, po straszliwej powodzi w rzeszowskim, dostaję pracę jako ogrodnik i stróż nocny u bogatego właściciela drukarni we Lwowie mającego piękną willę w Brzuchowicach, dziewięć kilometrów od Lwowa. Miejscowość ta – bardzo zalesiona, nazywana płucami Lwowa – była rozparcelowana i zabudowana przez bogatszych mieszkańców Lwowa. Zasłynęła w roku 1933 z zabójstwa Lusi, córki architekta Zaremby, dokonanego przez kochankę jego Gorgonową, która została zamknięta na wiele lat w sławnym więzieniu w Fardonie. Istnieje film i liczne publikacje dotyczące tego procesu.

Mój pracodawca, pan Żydoczewski, wybudował willę swoją jak na owe czasy z przepychem, bo miała centralne ogrzewanie, wewnętrzne łazienki, poddasze, hydrofor, basen dla kaczek. Dom cały był z drewna, ale modrzewiowego, kitowany, nasycany gorącym pokostem, technicznie jednak nieodbiegający od budowanych obecnie domów robotniczych, mających nowocześniejsze wyposażenie.

Małżeństwo bezdzietne, z grupy dorobkiewiczów, kochające przyrodę, kurki, indyki, kaczki, gołąbki, drzewa owocowe, kwiaty, kotki i psy.

* Istniały oddzielne zakłady prania i usztywniania kołnierzyków, ale przyjmowano tam kołnierzyki tylko w ilościach dziesiętnych (dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści i tak dalej), więc trzeba było ich mieć kilkadziesiąt, bo brudziły się przecież szybko, a na usztywnienie parę dni się czekało. Przypinało się je do specjalnych guziczków w tyle kołnierza, a z przodu – podobnie jak krawat – mocowało przy guziku za pomocą gumki.

Służba to dwie dziewczyny, Ukrainki – jedna na pokoje, do kuchni i do zajmowania się zakupami, druga do opieki nad psami (cztery psy rasy doberman, jeden zakupiony od policji), karmienia drobiu, czyszczenia pomieszczeń dla zwierząt – no i ja do pielęgnacji ogrodu kwiatowego i ochrony całego dobytku przed złodziejami, których było tam podobno za dużo. Przed moim przyjazdem okradli ten dom dwa razy, zabierając prawie cały drób z kurników, pomimo że były cztery psy. Stąd ja się tam znalazłem, chłopak niezwiązany znajomościami z mafią złodziejską, bo obcy i pochodzący z porządnej rodziny, ze wsi oddalonej dwieście kilometrów od Brzuchowic.

Otrzymałem piękny murowany domeczek obok ogrodu kwiatowego, wybudowany z myślą o przeznaczeniu go dla rodziny stróża nocnego, który miał być zatrudniony na stałe, z czego później zrezygnowano. Przedpokój, kuchnia i dość obszerny pokój. Wynagrodzenie: zakwaterowanie, pełne wyżywienie, opranie plus dwadzieścia pięć złotych miesięcznie. Czułem się jak w raju; byłem szanowany, doskonale i po burżujsku karmiony, bo był tam zwyczaj „demokratycznego" karmienia – i pracodawcy, i służby takimi samymi potrawami. A przecież było tam dużo drobiu, samych indyków trzydzieści–czterdzieści sztuk co rok, i to wszystko zjadano w domu. Panował u pana Żydoczewskiego dobrobyt.

Nadeszła zima – mroźna i śnieżna, jak w tamtych wschodnich stronach. Praca w ogrodzie skończyła się. Mój pracodawca zabiera mnie do swojej drukarni podręczników szkolnych. Pracuję tam jako pomocnik maszynisty wraz z czterema mężczyznami. W sumie zatrudnionych jest w drukarni kilkadziesiąt osób. Mężczyźni jako zecerzy, maszyniści na linotypach, maszyniści od maszyn drukarskich, pomocnicy na hali maszyn; kobiety zaś jako nakładaczki, odbieraczki do maszyn poziomych i pionowych, operatorki na gilotynach, a także przy innych różnych specjalnych czynnościach. Podoba mi się tu. Pracuję też przy odlewaniu walców drukarskich. Dojeżdżam codziennie pociągiem motorowym Lwów–Żółkiew o ósmej, wracam o czwartej po południu. I tak cała zima schodzi.

Na wiosnę właściciel kupuje konia i zleca wykonanie dwóch uprzęży. Jedna jest z czarnej skóry, robocza, druga z żółtej, z pięknymi metalowymi ozdobami typu okulary, dzwonki i tym podobne. Każe także wykonać dla siebie roboczy wóz i piękne spacerowe sanki. Kupuje powóz typu wiedeńskiego – koła gumowe, lampiony, kozioł dla woźnicy, zadaszenie ruchome (góra–dół). Przepych i duży koszt. Konie i gołębie. Dlaczego to wszystko? Bo ma dalsze plany. Na zakupionej dużej parceli przylegającej do ogrodu i już ogrodzonej chce założyć sad owocowy na kilkadziesiąt drzew. Poza tym koń i wóz roboczy pozwoli mu na codzienne wywożenie do introligatorni zadrukowanych ryz papieru. Zatrud-

nianie do tej czynności płatnych wozaków miejskich dużo kosztowało, a koń własny zrobi to za darmo.

Według fachowca, inżyniera ogrodnika, ziemia na parceli, gdzie ma być sad, jest zbyt piaszczysta; trzeba ją przemieszać z glinką i nawozem, wykonując doły – na kilkadziesiąt drzew – o średnicy dwa i pół metra oraz głębokości jednego metra. Właściciel decyduje się. Potrzebny do tego jest również koń i wóz roboczy. No i furman. Pyta mnie, czy ja umiem pielęgnować konia, bo wie, że pochodzę ze wsi. Wyjaśniam mu, że wprawdzie urodzony to ja jestem na wsi, ale ojciec nie jest rolnikiem, a ja na koniu nigdy nie siedziałem. Wpada więc od razu na kapitalny pomysł. W jego drukarni pracuje jako pomocnik maszynisty młody mężczyzna mieszkający w Brzuchowicach, żonaty z córką rolnika, mający konia i chcący tym koniem dorobić. Pyta więc tego pracownika, czy mógłby zająć się i jego koniem – bo jako urodzony w Brzuchowicach, wie gdzie kupić owies, siano, okuć konia – oraz roztoczyć opiekę nad ogrodem i planowaną wymianą ziemi. Ten się zgadza za te same pieniądze (sześćdziesiąt złotych miesięcznie), które pobierał za pracę w drukarni. Kierownik hali maszyn przystaje chętnie na zamianę pracowników. Od wiosny jestem więc zatrudniony na stałe jako pomocnik maszynisty, ale z uposażeniem niższym o połowę od płacy mojego poprzednika. Bo szef podwyższył mi wprawdzie wynagrodzenie o pięć złotych na bilet dojazdowy, ale utrzymał mnie nadal w moim domku, z wyżywieniem takim, jak opisałem wyżej, i praniem, za co odliczył trzydzieści złotych miesięcznie. Zostałem więc na tej samej płacy co dawniej. Cóż znaczy inicjatywa w interesie! Mój szef ją miał i dlatego dorobił się znacznego majątku. Zaczynał jako zwykły zecer, a został właścicielem całej drukarni (opis tej drogi pomijam, bo jest długa i zawiła, choć ciekawa). Niestety z nastaniem wojny w roku 1939 został przez Ukraińców zatrzymany jako burżuj i zamordowany w Kijowie. Cześć jego pamięci. Żona jego, niezaradna, uciekła pod opieką dyrektora technicznego z drukarni, podobno do Krakowa, pozostawiając piękną willę i cały majątek, tak jak tysiące mieszkańców południowo-wschodnich terenów Polski.

A ja wróciłem stamtąd latem w roku 1937, mając dwadzieścia dwa lata. Oczekiwałem, że jesienią otrzymam wezwanie do służby wojskowej, bo jeden z nas z tego samego rocznika został wezwany jeszcze wiosną i już służył w wojsku. Okazało się jednak, że w roku 1915 był większy przyrost urodzeń chłopców, a budżet wojskowy państwa przewidywał dwustupięćdziesięciotysięczną armię w tym roku. Wobec tego z rocznika 1915 pobrano do wojska tych tylko, którzy byli urodzeni w pierwszym półroczu, a urodzonym w drugim półroczu odroczono wykonanie służby o rok (ja urodziłem się 8 listopada). Wcześniejszych ustaleń ojca, że zgłoszę się do wojska ochotniczo po ukończeniu osiemnastu lat,

nie zrealizowałem. Dlaczego? Pracując we Lwowie od roku 1934, nie najgorzej zarabiałem. Wspomagałem biednych rodziców swoimi całomiesięcznymi zarobkami trzy razy w roku: na święta Bożego Narodzenia, na Święta Wielkanocne i w czasie tak zwanego przednówku, w maju lub czerwcu. Miałem w pracy kolegów i koleżanki – byłem już przecież dorosłym kawalerem – brałem udział w różnych imprezach. Był to ostatni mój okres cywilnego swobodnego życia. Chciałem więc wydłużyć go maksymalnie, a służbę wojskową rozpocząć dopiero od normalnej dojrzałości[14], po roku 1937. Wspomniane wyżej urzędowe przesunięcie rozpoczęcia służby o rok sprawiło, że wezwanie do stawienia się do 17 Pułku Piechoty w Rzeszowie otrzymałem z datą 18 marca 1938 roku. Skończył się mój okres swobody, ale i różnych kłopotów, i przeszedłem na utrzymanie niezależnego, wolnego państwa polskiego.

Służba wojskowa

18 marca 1938 roku, po pożegnaniu się z rodziną, kolegami, koleżankami, wraz z moim krewniakiem, też Stanisławem[15], no i z kuferkami wypełnionymi koniecznymi przyborami do golenia, czesania, przeglądania się, a także z różnego rodzaju kanapkami i nieodmowną ćwiartuchną (trochę już naruszoną), melduję się w Rzeszowie na placu koszarowym przy ulicy Kilińskiego. Tam jest już dużo takich jak my, wesołych, rozśpiewanych („Wojenko, wojenko"), ale nic urzędowego nie dzieje się, a tych z kuferkami i walizeczkami wciąż przybywa. (Piszę „z kuferkami", bo w wezwaniu wymóg był taki, że bagaż musi być zamykany na zamek lub kłódkę). Wesołość ogólna, przywitania, od razu życzenia: „Bądźmy razem, ja z tobą, ty ze mną, koło siebie". I tak ponad godzinę. Jest nas już kilkuset. Brama się zamyka. Na plac wjeżdża kocioł gorącej czarnej kawy. Można brać, ile kto chce, ale nie ma kubków, więc od jednego do drugiego i dalej czyjś kubek z kuferka wędruje szeregiem. Chleba nie dają, bo widać, że każdy z domu przywiózł. Wjeżdża też na plac długi stół. Wchodzi cała grupa oficerów i podoficerów z różnymi papierami. Za nimi kilku na biało ubranych żołnierzy ze stoliczkami i walizeczkami; ustawiają się z boku. Podoficerowie proszą o zgrupowanie się, spokój i ciszę. Na podium staje oficer. Wita przybyłych już żołnierzy i objaśnia pierwsze regulaminowe podziały, rozdziały i tym podobne. Krótko. Kończy. Wchodzi drugi z listą, sprawdza i fajkuje nazwiska, wskazując ręką, do której grupy ma się podejść. Podoficerowie pilnują, by nie pomylić grupy. My obaj z moim krewniakiem stoimy obok siebie, by nas razem odczytano. Nic z tego. Jego skierowano do innej grupy, mnie do innej. Każda grupa podchodzi do wyznaczonego „białego" żołnierza. To fryzjer, strzyże do gołej czaszki. Jest pomruk żalu, niektórzy popłakują. Szkoda fryzury. Zbliża się

wieczór, bo to wszystko długo trwa. Stoję w swojej grupie. Jest nas dużo, około stu. Spoglądam na twarze. Przecież chodziłem tu do szkoły. Nikogo znajomego jednak nie widzę. Jestem już ostrzyżony na glanc.

Podchodzi jakiś kapral. Odczytuje krótszą listę, chyba listę grupy. Odfajkowuje nazwiska tych, których brakuje. Nie dotarło kilkunastu podobno. Po chwili ustawia nas dwójkami, nakazuje, by się nie rozłazić, i wyprowadza nas z placu. Pytamy gdzie. Mówi, że do pierwszego batalionu na Wygnańcu[16]. Ucieszyłem się, bo znałem Rzeszów, wiedziałem, gdzie ten Wygnaniec. To przecież koszary sąsiadujące z moją szkołą Sienkiewicza, do której przez trzy lata uczęszczałem. (Teraz przechodzimy właśnie koło wejścia do niej. Jak to człowiek uczuciowo wiąże się nawet z murami, a nie tylko z ludźmi czy zwierzętami). Co więcej – w tym batalionie stacjonuje pułkowa orkiestra, za którą ja nieraz tak dreptałem! Szkoda, że krewniak Staszek trafił nie tu, a do innej grupy.

Jesteśmy już w koszarach, na pierwszym piętrze. Szeroki korytarz, sale po obu jego stronach. Zastajemy tam kilku podoficerów różnych stopni. Ustawiają nas w długim szeregu według wzrostu. Najwyżsi z lewej i potem coraz niżsi. Liczą po dziewiętnastu, bo kilku brakuje. Drużyny mają być dwudziestoosobowe. Ja trafiam do drużyny piątej. No przecież za wysoki – mam sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu – to nie jestem. Ale dobrze, bo jest i drużyna szósta, i tam są jeszcze mniejsi – pod stołem i w kapeluszu. Wybieramy sobie łóżka, dowolnie. Zapoznajemy się bliżej i od razu po imieniu. Mieszanina. Najwięcej nas spod Rzeszowa, a potem kieleckie, Śląsk, poznańskie; są nawet aż z Rypina – to pod Warszawą, daleko.

Wchodzi jakiś kapral. Wita się z nami, przedstawia. Nazywa się Marian Zapolski. Pójdzie do cywila po jesiennych manewrach. Uśmiechnięty, mówi, że zdąży nam jeszcze dokuczyć. Zapoznaje się z naszymi nazwiskami i pochodzeniem, pyta o zawód, wykształcenie. Ustala porządek dnia, mówi o czystości, koleżeńskości, posłuszeństwie. Trochę notuje. Przy mnie pyta:

– Szczepan to nazwisko czy imię?

Wyjaśniam. Przy nazwisku Zając, bo było takie, mówi:

– Tylko nie uciekaj, bo pies cię złapie.

Widać, że ma humor. Przed snem zapowiada, że mundury i układanie ich w kostki będzie obowiązywało od następnego dnia, i przestrzega, że cywilnych ubrań nie wolno rzucać byle jak. Nogi czyste? Przed capstrzykiem roznoszą menażki i manierki oraz łyżki i niezbędniki. Dają także porcjowany chleb z jakimś słodkim smarowidłem owocowym.

W nocy słychać bieganinę po korytarzu i śmiechy. Niektórzy nie zauważyli, że manierki smarowane były jakimś mazidłem w magazynie i nie obmyli ich

przed napełnieniem gorącą kawą. W ubikacji ciasno, a tu biegunka! Była wesoła cywilna jeszcze noc, bo resztę wódki dopijano. Tej nocy obowiązywała jednak pewna tolerancja dla takich naruszeń zasad porządkowych.

Drugi dzień: pobudka, golenie, mycie, ubieranie się, śniadanie. Szybko na czas. Popędzają! Zbiórka, zejście na dół, pod magazyny obuwniczo-mundurowe. Żołnierze starszego rocznika stoją na drabinkach przy półkach w magazynach. Podchodzi się pojedynczo i łapie mundur. Koszula, kalesony, spodnie, bluza, owijacze, beret, czapka. Następnie idzie się do drugiego magazynu po buty, onuce i ręcznik – związane razem sznurowadłami. Na korytarzu ubieranie się. To był komiczny widok. Różni wzrostem żołnierze dostali mundury i buty jak leciało z półki. Połowa tych rzeczy nie pasowała, ale poradziliśmy sobie. Wymiana, a raczej zamiana między żołnierzami – daj mi to, a ja daję ci moje – trwa karykaturalnie długi czas. Ci, którym ostatecznie nadal brakuje jakichś części ubioru, udają się znów do magazynów. Nasuwało się pytanie: czy taki tryb mundurowania był dowcipnym manewrem pozwalającym obserwować sposób radzenia sobie w kłopocie przez żołnierza, czy może zrobiono to dla zabawy i żartu z młodego, niedoświadczonego i nieporadnego chłopaka oderwanego od mamusi? Kończy się dobrze – każdy jakoś tam wygląda i z nogami w butach chodzi. Następuje ogólny przegląd dokonywany przez szefa kompanii, starszego sierżanta Rejmana. Każdy z dowódców drużyn ogląda swoich chłopców, radzi, poprawia i staje obok. Po godzinie dziesiątej z kancelarii wychodzi dwu oficerów i dwu podoficerów. Pada komenda „Baczność!", szef kompanii składa meldunek jednemu ze starszych oficerów. Jest nim dowódca kompanii porucznik Franciszek Lang. Obok dowódca pierwszego plutonu podporucznik Kaszycki i dowódca drugiego plutonu sierżant Żywiec. Po przywitaniu się porucznik Lang krótko wyjaśnia nam, że jesteśmy kompanią Korpusu Ochrony Pogranicza. Zostaniemy

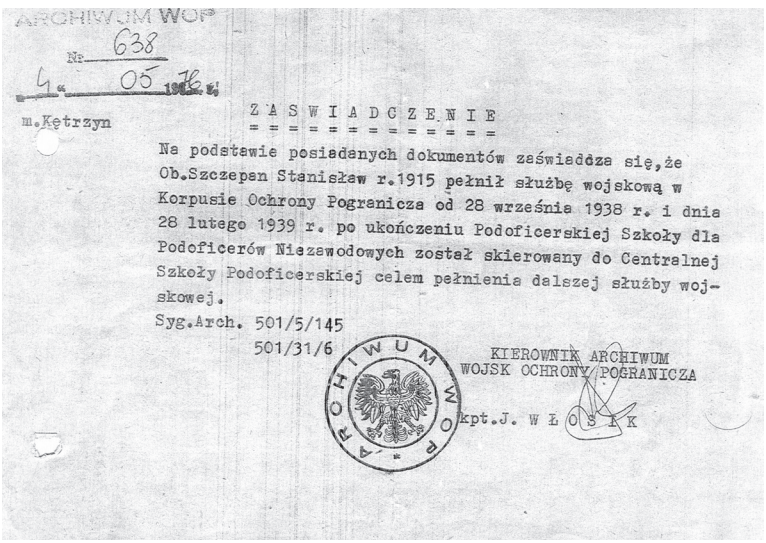
ARCHIWUM WOP
Nr 638
4 " 05 1938 r.
m. Ketrzyn

ZAŚWIADCZENIE

Na podstawie posiadanych dokumentów zaświadcza się, że Ob. Szczepan Stanisław r. 1915 pełnił służbę wojskową w Korpusie Ochrony Pogranicza od 28 września 1938 r. i dnia 28 lutego 1939 r. po ukończeniu Podoficerskiej Szkoły dla Podoficerów Niezawodowych został skierowany do Centralnej Szkoły Podoficerskiej celem pełnienia dalszej służby wojskowej.

Syg. Arch. 501/5/145
501/31/6

ARCHIWUM WOP

KIEROWNIK ARCHIWUM
WOJSK OCHRONY POGRANICZA
kpt. J. WŁOSIK

Zaświadczenie o pełnieniu przez Stanisława Szczepana służby wojskowej w Korpusie Ochrony Pogranicza. *Zbiory prywatne Janusza Szczepana*

tu, w 17 Pułku Piechoty, przez pół roku. Na wstępie odbędziemy przeszkolenie wojskowe, a następnie zostaniemy przekazani do ochrony granic Polski (na granice Litwy, Związku Radzieckiego, rumuńską i węgierską)*. Zaznacza, że jesteśmy wojskiem selekcjonowanym i czystej krwi polskiej, wzywa do dobrego wywiązywania się z żołnierskich obowiązków, zgodnie z historyczną tradycją.

Byłem bardzo ucieszony podaną informacją. Marzyłem bowiem o KOP-ie. Widziałem wcześniej żołnierzy KOP-u przyjeżdżających na urlopy; w mundurach o milszym kroju (węższe kołnierze, kieszonki, rozcięcia bluz z tyłu podwójne, spodnie „klosz", obuwie z cholewą do połowy łydki i bez tych dziwacznych owijaczy, często się rozwijających).

Dzień trzeci – szczepienia. Kilku stojących w kolejce przed obsługą lekarską zemdlało. Sanitariusze bili wtedy po twarzy – od razu pomagało to przywrócić przytomność. Następnie badania psychotechniczne na świetlicy, przy stolikach. Każdy otrzymuje jeden arkusz czysty, drugi z nadrukowanymi różnymi jakimiś kółkami – dużymi, małymi, z rozmaitymi zębami – jakimiś uchwytami, śrubami, trzonkami i tym podobnymi. Pod każdym przedmiotem numer. Jest ich kilkadziesiąt, może nawet ponad sto. Na czystym arkuszu każą pisać pod dyktando różne zdania, teksty z książek, urywki piosenek; na arkuszach zadrukowanych – odszukać logiczne związki między rysunkami, podając który numer łączy się z którym. Każdy poci się, podgląda, spieszy, wreszcie podpisuje i oddaje arkusze. Koniec. Obiad. Po obiedzie zbiórka – podaje się dla każdego oceny z arkuszy, wpisywane następnie do zeszytu żołnierskiego. Takie badania żołnierzy urodzonych przecież w niewoli i mających potworne braki w wykształceniu były konieczne. Czy w wojsku podejmowano jakieś przedsięwzięcia mające na celu podnoszenie poziomu wykształcenia i umiejętności zawodowych? Nie, ale sam fakt przebywania w dużych zespołach, posłuszeństwo, dyscyplina, koleżeńskość, racjonalne wyżywienie, ruch, unormowane tempo życia powodowały, że mężczyzna po odbyciu służby wojskowej był zupełnie inny – i fizycznie, i duchowo.

* KOP – wojsko tak zwane elitarne. Pobór do KOP-u był wybiórczy – nie przyjmowano Żydów, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i Polaków z takich rodzin, w których ojcowie solidaryzowali się z nielegalną wówczas partią komunistów lub PPS Lewica; Ślązaków i Wielkopolan brano, ale tylko z takich rodzin, w których ojcowie walczyli w powstaniach śląskim i wielkopolskim w roku 1920. Takie selekcje prowadziły tylko trzy pułki w Polsce: 17 Pułk Piechoty w Rzeszowie, 25 Pułk Piechoty w Piotrkowie Trybunalskim i 52 Pułk Piechoty gdzieś w województwie łódzkim (nazwy miasta nie pamiętam). KOP posiadał Centralną Szkołę Podoficerską w twierdzy Osowiec oraz Centralne Archiwum w Kwidzynie. Służba trwała dwa lata.

Nastąpiły dni intensywnych ćwiczeń – tworzenie różnych form zbiórkowych, gimnastyka, marsze i tym podobne. Kości bardzo bolały, nieprzyzwyczajone do całodziennego wysiłku. Ale został miesiąc do dnia trzeciego maja, a kompania nasza miała brać udział w defiladzie trzech pułków stacjonujących w mieście. Czas był krótki, a mieliśmy zaprezentować się przed publicznością jak stare wojska. Przed majem złożyliśmy jeszcze przysięgę na wierność ojczyźnie i Bogu. Nie było większych uroczystości. Przemówienia, lepszy niż zwykle obiad, bez rodzinnych odwiedzin i gali, po południu zamiast zajęć koncert orkiestry i to wszystko.

Wydawanie broni. Karabin mauzer, bagnet i ładownice na pas. To wszystko, co żołnierz musiał mieć przed defiladą. Na szczegółowe szkolenie o działaniu karabinu nie ma już czasu. Uczymy się tylko, jak go trzymać i zmieniać pozycje; reszta po defiladzie. Teraz parę dni bez przerwy – i przed, i po południu – ćwiczebne marsze przy orkiestrze.

Wreszcie nadszedł trzeci maja. Wszystko na błysk wyczyszczone. Ostatnie przypomnienia: „Lewa noga na bęben. Prosto do pasa. Ostry wyrzut dłoni do poziomu i w dół". Maszerujemy od zamku do ulicy Trzeciego Maja, ludzi na chodnikach dużo. Orkiestra już gra. Pułk piechoty idzie pierwszy, bo w wojsku piechota zwana była królową broni. Padają komendy, słychać oklaski (to nasze pierwsze takie przeżycie – jak nas to ekscytowało!). Poszło dobrze. Za nami 20 Pułk Ułanów na pięknych koniach. Pierwszy szereg to ułani przebrani w stroje, jakie nosili bohaterowie Trylogii Sienkiewicza. Następnie – 22 Pułk Artylerii Lekkiej. Toczą się działka przeciwpancerne i armatki siedemdziesiąt pięć milimetrów. Koniec na placu Sokoła. Wreszcie chwila wolnego i wypoczynek do wieczora. Nogi po tylu dniach ustawicznego marszu bolą.

Karabiny otrzymane przed defiladą są nam zupełnie nieznane. Umiemy je tylko trzymać na ramieniu, bo tego nas nauczono w pośpiechu. Nazajutrz po defiladzie zaczynamy od razu zapoznawanie się z tą bronią. Wykłada dowódca drużyny, Zapalski. Robi to dokładnie, powoli, wyraźnie. Rozkłada broń na części, objaśnia współdziałanie tych części w chwili strzału. Każe rozbierać karabin każdemu i składać z powrotem. Raz, drugi, trzeci. Szczegółowo objaśnia wnętrze lufy – pola bruzdy skrętne dwa i pół obrotu w prawo na całej długości lufy. Niby to rzecz prosta i zrozumiała, ale nie dla wszystkich. No bo jak może pocisk, który jest grubszy od otworu w lufie, przecisnąć się tam. A więc wykład następny jest o tym pocisku, a raczej naboju, bo to też różnica. Przyrządy celownicze: celownik, muszka, szczerbina. Układ tych części względem siebie warunkuje celność strzału.

W świetlicy karabiny na stojakach. Na przeciwległej ścianie tablica i narysowany cel. Jak ułożyć karabin na stojaku i jak ustawić muszkę w szczerbinie, by trafić w cel? Żołnierze męczą się, każdy przy swoim karabinie. Kapral sprawdza. Źle, u drugiego dobrze, ale u następnego znów źle, i tak dalej. Wreszcie zmęczył się i mówi:

– Szczepan, sprawdzaj.

Zaskoczyło mnie to, bo przecież była to czynność tak prosta, że każdy, nawet niepiśmienny, mógł to poprawnie wykonać. Ale dlaczego właśnie ja, a nie ktoś inny, kto robił to dobrze, miał sprawdzać? Wzbudziło to u mnie pewne uczucie satysfakcji.

W następnych dniach pokrewne tematy: linia celowania oko–cel, balistyka form pocisku, siła przebicia różnych materiałów, osłona ciała, odrzut gazów przy strzale i tym podobne. Przez cały kolejny tydzień w kółko to samo.

Po jakimś czasie wymarsz na strzelnicę ostrą na Staroniwie. Cel w odległości trzystu metrów. Trzy strzały z postawy leżącej z podpórką. Klasyfikacja trafień: dwadzieścia siedem punktów – wynik bardzo dobry, dwadzieścia cztery – dobry, osiemnaście – dostateczny. Napięcie duże. Niektórzy boją się „kopnięcia" w obojczyk. Strzelamy, z różnych stanowisk. Po zakończeniu każdej serii sygnał „Przerwij ogień". Ze schronów na trzysetnym metrze pokazują na tarczach kółka trafień. Różnie bywa. Dość często kółka, układając się w wachlarz, oznajmiały brak celnych strzałów.

Ja miałem dwa razy dziesięć i szóstkę u dołu tarczy (przy trzecim strzale łokieć zsunął mi się z podpórki). Wystrzelałem tylko dwadzieścia sześć punktów, to jest wynik dobry. Wypadek przy pracy.

Jak podano nam w dniu następnym przez szefa kompanii, średnia punktów na jednego żołnierza wynosiła niewiele, bo tylko nieco ponad dwadzieścia jeden, ale utrzymała się w średnim dobrym wyniku ogólnym. Było to jednak strzelanie pierwsze, wykonane przez żołnierzy, którzy przedtem nie mieli żadnych ćwiczeń przygotowawczych, jak na przykład organizacja Strzelec tuż po wyzwoleniu kraju.

Nastąpiły żmudne miesiące rozmaitych ćwiczeń polowych poza miastem. Z pełnym ekwipunkiem na plecach, do którego dochodziła jeszcze maska gazowa, chlebak, manierka z wodą, karabin, bagnet, ładownica. W letnim upale. Byliśmy spoceni i zmęczeni dźwiganiem kilku kilogramów. Wysiłek fizyczny bardzo duży. Bieganie, skakanie, kopanie dołów ochronnych, jakieś podchody, jakieś patrole, pozoracje ataku, ucieczki. Wyglądało to czasem na zabawę, a w istocie było ciężką pracą. Po południu ćwiczeń polowych nie ma. Są za to różne zajęcia teoretyczne, czyszczenie broni, ćwiczenia gimnastyczne na

podwórzu koszar. Wieczorem golenie, mycie nóg, bo sprawdzają w łóżkach, obcinanie paznokci. Drużyna dyżurna obiera ziemniaki na dzień następny (dla stu dwudziestu ludzi).

Młode, silne organizmy wszystko znoszą. Chociaż… Pamiętam przypadek z marca. To było kilka dni po przybyciu do wojska. Noce chłodne. Jednej takiej nocy słyszymy płacz na którymś z łóżek. Zaglądamy i widzimy, że leży tam nasz kolega Touber. Leży jednak nie na sienniku wypchanym słomą, lecz w tej słomie zagrzebany, i płacze. Pytamy dlaczego. Bo mu zimno pod jednym kocem. Taki jakiś był zawsze niewesoły. Pochodził z Rypina gdzieś koło Warszawy. Wciąż marnie wyglądał. Został skierowany do zbadania przez wojskową komisję lekarską. Stwierdzono niedorozwój fizyczny ciała. Zmieniono mu kategorię A na C i pod koniec kwietnia zwolniono z wojska.

Zaczynało się upalne lato. Zmieniono nam mundury sukienne na drelichowe. Ćwiczenia były coraz cięższe. Pot zalewał oczy. Zajęcia polowe w Przybyszówce – kopanie rowów ochronnych, tyralierą zdobywanie pomnika (przedstawiał Aprila – wyższego oficera armii niemieckiej, który zginął tu podczas pierwszej wojny światowej). Najczęściej ćwiczenia te prowadził w drugim plutonie sierżant Bijoś. Był bardzo wymagający. Na naszych plecach pojawiała się biała piana potu. Było dużo strzelania – ze ślepaków, czego nie lubiliśmy, bo ślepaki osadzały wewnątrz lufy grubą warstwę czarnego nalotu z prochu strzelniczego, co trzeba było po powrocie z ćwiczeń długo wycierać polistolem i wyciorem, żeby lufa błyszczała jak lustro. Obiad trwał krótko; znów czyszczenie menażek zimną wodą i piaskiem do połysku. Godzina spoczynku i cztery godziny zajęć teoretycznych, drużynowo na salach. Wykładali dowódcy drużyn, czasem dowódcy plutonów. Przed wieczorem trochę swobody, ale zaraz mycie, czyszczenie obuwia, golenie, obcinanie paznokci, przyszywanie guzików, pisanie listów i już kolacja, capstrzyk, cisza nocna. Następny dzień, tydzień, miesiąc podobne były do siebie, ale humor nie opuszczał nas. Zawsze zdarzało się coś do śmiechu.

Nadchodził wrzesień. Zaczęły się przygotowania do ćwiczeń manewrowych, jak co roku. Wojsko wychodziło na cały miesiąc z koszar z bronią towarzyszącą. Działka przeciwpancerne, czołgi, artyleria, tabor pułkowy, kuchnie. Oficerowie już działają w terenie (kwatery, namioty, strzelnice i tak dalej, i tak dalej). Dochodzi do nas informacja, że w tym roku (1938) manewry odbędą się w rejonie Żołynia, Rakszawy, Grodziska, Nienadówki, Leżajska. Cały klin koło Sanu i linii kolejowej Przeworsk–Sandomierz. Szykujemy całe swoje oporządzenie – pasy, ładownice, maski, obuwie, komplety bielizny, ręczników i tym podobne – robimy konieczne wymiany.

Pewnego dnia do naszej sali przychodzi goniec kompanijny i pyta:

– Szczepan, który to?

– Co jest?

– Zgłosić się natychmiast do szefa kompanii.

„Co? ja?" – myślę. Wchodzę, melduję się. Szef popatrzył i mówi:

– Szczepan, ty umiesz jeździć na rowerze?

– Umiem.

– Jesteś wytypowany na czas manewrów na łącznika dowódcy kompanii. Dostaniesz wojskowy rower, szkic sytuacyjny terenu manewrowego, portfel korespondencyjny, hasło i odzew na okresy dobowe. Będziesz rozwoził różną korespondencję, według potrzeb dowódcy kompanii. Zgadzasz się?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Ale strzeliłem:

– A w nocy też?

Uśmiechnął się.

– Co, boisz się duchów?

Łączników ma każda armia w warunkach wojennych i na manewrach, gdzie nie ma możliwości, ze względu na ciągły ruch wojsk, budować łączności kablowej czy radiowej. Poza tym na łączność radiową nasze wojsko nie jest jeszcze dostatecznie przygotowane. Dlatego utrzymuje się kontakt poprzez meldunki rozwożone. Każdy dowódca kompanii ma więc łącznika.

Podczas tej rozmowy myślałem o czymś innym. Przecież w kompanii jest stu dwudziestu chłopców. Niczym się spośród nich nie wyróżniałem. Skąd więc u szefa kompanii, który przecież mnie nie znał, to słowo „wytypowany"? Błysk myśli: czy to plus czy minus?

– Zgadzam się – odpowiedziałem i odszedłem.

Dowódca drużyny naszej, Zapalski, wyjaśnił mi jednak, że szef kompanii zebrał wszystkich sześciu dowódców drużyn i kazał im z ich drużyn wytypować po jednym żołnierzu do tej funkcji, więc on wytypował mnie. Sprawa wyjaśniła się. Podziękowałem.

Wymarsz wojska miał nastąpić za dwa dni. Pobrałem z magazynu wszystkie niezbędne akcesoria, zameldowałem się u porucznika Langa i zostałem wyłączony z drużyny piątej. Porucznik miał wynajęty pokój (na czas obozu przedmanewrowego) u jakiegoś rolnika. Ja i Stanisław Opioła z drugiej drużyny (ordynans porucznika) spaliśmy po przeciwnej stronie sieni, w malutkim, wąskim pomieszczeniu.

Straciłem na tej funkcji, bo wprawdzie nie brałem udziału w wyczerpujących ćwiczeniach, ale te dość częste wyjazdy i pokonywanie odległych od siebie tras po wyboistych wiejskich drogach i przeważnie ciemnymi wieczorami

też bardzo męczyło. Poza tym posiłki moje, chociaż obfite, były często już zimne, bo zdarzało się, że w porze ich wydawania byłem w drodze. Najgorsze jednak było ustawiczne wyczekiwanie u boku i pod ręką dowódcy kompanii. Wypoczywałem więc tylko w niedziele – przez trzy tygodnie wolne od ćwiczeń. Była wtedy frajda oficerska, w której uczestniczyli również attaché wojskowi z różnych państw akredytowani przy rządzie polskim.

Wszystko, co działo się dotąd, było jednak błogim spokojem. Spało się przez prawie trzy tygodnie na tym samym łożu, jadło prawie codziennie o tych samych porach, miało się zawsze dostęp do czystej wody z wiejskiej studni, były przygotowane żołnierskie latryny i tym podobne. Ostatnie cztery dni manewrowych ćwiczeń to był zaś czysto frontowy reżim.

Opuściliśmy wioskę i ruszyliśmy na zdobywanie lub obronę nowych terenów, nie wracając na następne noce. Ćwiczenia non stop. Żywność wydawano porcjami R; od czasu do czasu podjeżdżały kuchnie z gorącą kawą. Zdobywało się całe wsie wśród nieustannej strzelaniny. Zmęczenie potworne – i oficerów, i żołnierzy. Huk ognia armatniego przeciwpancernego i podjazdy, i salwy działek czołgowych. Wypoczynku prawie nie ma. I tak przez trzy dni i trzy noce.

Nareszcie spokój, błogi spokój. Ćwiczenia skończone. Kładziemy się pokotem, gdzie kto może, by choć godzinę, dwie wypocząć.

Nadjechały wreszcie kuchnie z gorącym posiłkiem, kawą, czystą wodą, taką zimną, upragnioną do picia. Po krótkim odpoczynku doprowadzamy samych siebie do porządku. Czyszczenie obuwia i mundurów z błota i kurzu, golenie, mycie – wszystko na rozkaz i szybko, by przez nadchodzącą już noc dotrzeć formacjami zebranymi razem do Sokołowa Małopolskiego. Tam krótki odpoczynek i obiad, po czym wymarsz do Rzeszowa na popołudniową defiladę powrotną z manewrów do koszar, ponad dwadzieścia kilometrów.

W tej sytuacji znalazłem się na wygranej pozycji. Nie musiałem na umęczonych nogach pokonywać jeszcze tych kilkudziesięciu kilometrów pieszo aż do Rzeszowa. Miałem przecież rower; a po zakończeniu ćwiczeń zostałem przez porucznika Langa zwolniony z funkcji łącznika (oficerowie w drodze powrotnej jechali konno). Dołączam do pułkowego taboru konnego wiozącego różne jakieś klamoty, skrzynie, tarcze, kubły, beczki, namioty. Droga kiepska, ale lepsza niż jej pobocze. Chwytam prawą ręką słupek nad tylnym kołem wozu, by nie pracować pedałami roweru. Dobrze się jedzie bez wysiłku. Tylko lewą ręką kieruje się rowerem. Jestem przemęczony. Noc. Senność ogarnia. Nagle trzask! Leżę na środku drogi. Rower pod wozem. Zrywam się,

bo następny wóz już nadjeżdża. Mnie nic się nie stało, ale rower tak starmoszony, że nie tylko jechać na nim nie można, ale nawet go prowadzić. Zatrzymuję drugi wóz. Nie reaguje. To samo trzeci, ostatni już. Zostaję w polu sam. Wreszcie słyszę nadjeżdżający samochód ciężarowy. Wychodzę na środek szosy i podnoszę ręce do góry. Samochód trąbi, ale w ostatnim momencie zatrzymuje się. Słyszę kilka soczystych zdań od kierowcy. Wyłuszczam swoje racje. Jest skutek. Do skrzyni wozu ładuję rower i sam się tam wpycham. Jedziemy. I po pół godziny jestem w Rzeszowie. W koszarach nikogo poza wartownikiem. Stawiam rower w korytarzu. Jest już prawie rano. Kompania będzie tu dopiero wieczorem. Głodny, kładę się na swoim łóżku. Po pewnym czasie przez sen słyszę jakieś głosy z korytarza. Wchodzi szef kompanii Reyman.

– Co się stało?

Opowiadam.

– Ojciec zapłaci za zniszczony rower.

Trochę się zmartwiłem, ale dowódca kompanii orzekł wypadek przy pracy i na tym się skończyło.

Kompania wróciła do koszar tak zmęczona, że po kolacji, bez jakichś regulaminowych przygotowań do snu, runęła do łóżek i spała do rana.

Powrót 17 Pułku Piechoty do garnizonu po letnich manewrach w 1938 roku. *https://forum.dobroni.pl/f/17-pulk/93375 [dostęp: 30.07.2018 r.]*

Zaczęło się oczekiwanie na niewiadomy nasz przyszły los. Gdzie przebiegać będzie nasza dalsza służba w KOP? Że gdzieś daleko – to było nam wiadomo. Ale czy będzie ona cięższa od dotychczasowej, czy lżejsza? Czy bezpieczniejsza? Czy będziemy gdzieś zgrupowani, czy rozsiani pojedynczo po rozległych pustkowiach Związku Radzieckiego i tam zmuszeni szukać nowych kolegów? Nie mieliśmy o tym czekającym nas życiu większego pojęcia.

Na drugi dzień wywołano nas kilkunastu mieszkających blisko Rzeszowa. Dostaliśmy pięciodniowe przepustki. Na ten czas wróciłem do rodziny i trochę odpocząłem. Piątego dnia znów opuściłem dom. W koszarach nie zastałem już nikogo oprócz tych, którzy tak jak ja wrócili z przepustek. Okazało się, że w tym czasie nadszedł z KOP w Osowcu oczekiwany rozdzielnik. Rozpisano rozkazy wyjazdu na całe polskie wschodnie granice i w ciągu dwu dni wszyscy niemal koledzy z kompanii wyruszyli już w drogę. Zrobiło nam się przykro. W wojsku jednak sentymentów nie ma, chociaż mówi się, że najtrwalsza więź koleżeńska to właśnie ta wojskowa.

Nas nękała teraz niepewność. Co dalej? Nie czekamy jednak długo. Kilku skierowano do szkoły podoficerskiej w Suwałkach, kilku do Osowca, a resztę do Oran koło Wilna. Wyjazd w tym samym dniu. Trasa: Lublin–Warszawa–Białystok. Potem rozjazdy w różnych kierunkach. My w siedmiu ruszamy na Grodno, na północ.

Jesteśmy w Suwałkach. Czujemy, że w całym mieście wdychamy jakiś nieznany nam dotąd zapach. Okazało się, że wszystkie domy opalane były koksem, bo był już koniec września. Zgłaszamy się na ulicę Filipowską. Przy tej ulicy mieściły się również koszary pułku szwoleżerów. Zastajemy naszą kompanię już w komplecie – osiemdziesiąt siedem osób, ale znajomych z Rzeszowa tylko dwudziestu kilku.

Suwałki

Dostajemy nowe mundury, obuwie, bieliznę, wyposażenie, broń.

Oficerowie na miejscu: dowódca kapitan Karolczyk, dowódcy plutonów porucznik Jankowski i porucznik Pakuła, szef kompanii starszy sierżant Chałas.

Ja trafiam do drużyny piątej, tak jak w Rzeszowie. Dowódcą tej drużyny jest kapral służby zawodowej Antoni Kopeć*. Jest nas w drużynie piętnastu

* Jedyny dowódca drużyny w stopniu kaprala (pozostali – w stopniach wyższych), ale w opinii żołnierzy starszego rocznika najlepszy wykładowca. Każda jego drużyna uzyskiwała najlepsze wyniki punktowe w ocenie szkoły. Zawsze elegancki, poważny, sprawiedliwy, z autorytetem.

Stanisław Szczepan jako uczeń szkoły podoficerskiej w Suwałkach w 1939 roku. *Autor nieznany, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

plus dwu starszych strzelców z poprzedniego turnusu szkolnego. Był taki system w szkole, że dwaj z poprzedniaka pełnili funkcję instruktorów przygotowujących ćwiczenia i sprawdzających ich wykonanie. Łóżka tu piętrowe, bo salki mniejsze. Nowi koledzy są z różnych stron Polski: Prudło i Ćwięk to Ślązacy (już gaworzą swoim językiem), Stach Lesicki pochodzi z Szamotuł, Jurek i Bartos z Piotrkowa, Jaszcza z Częstochowy, Sienkiewicz gdzieś spod Wilna, Gaicki, Michałowski, Olbracht z Małopolski.

Pierwsze ogólne zebranie prowadzi szef kompanii Chałas. Dowiadujemy się, że podlegamy Centralnej Szkole Podoficerskiej w Osowcu-Twierdzy. Są tam trzy kompanie szkolne, a to: saperska, łączności i ciężkich karabinów maszynowych. Nasza kompania, jako czwarta, jest kompanią instruktorską. W Suwałkach KOP-u poza nami nie ma. Dlaczego nie jesteśmy w Osowcu? Bo nasza kompania ma inny program ćwiczeń – wymagający rozległego terenu o urozmaiconym ukształtowaniu. W Osowcu-Twierdzy, zamkniętym z wszystkich stron stalowymi zaporami, brak jest przestrzeni do ćwiczeń terenowych. Dlatego dzierżawimy od pułku szwoleżerów w Suwałkach jeden piętrowy blok i część dziedzińca oraz pomieszczenia gospodarcze, kuchnie, łaźnie i tym podobne. Wokół Suwałk mamy natomiast dużo rozległego obszaru do ćwiczeń.

Koszary KOP w Suwałkach, widok obecny. *https://um.suwalki.pl/wp-content/uploads/2015/09/mops.jpg, https://um.suwalki.pl/nagroda-aniola-dobroci/ [dostęp: 30.07.2018 r.]*

Do tej szkoły kierowani są żołnierze wyłącznie z tak zwanym cenzusem naukowym (ukończone siedem klas szkoły podstawowej i wynik dobry z badań psychotechnicznych). Kierunek nauczania: czytanie i rysowanie map wojskowych, poziomica, topografia, klasyfikacja i wykorzystywanie ukształtowania terenu pod względem potrzeb wojskowych, znaki topograficzne, słownictwo meldunkowo-wojskowe, budowa treści w meldunkach, samodzielne kierowanie służbą na strażnicach KOP, doskonalenie w zakresie stosowania regulaminu służby wewnętrznej (część siódma – służba wartownicza), służba patrolowa, czajki, zasadzki, czaty, podchody.

Absolwenci szkoły kierowani będą na poszczególne strażnice graniczne, aby tam pełnić służbę zastępców dowódców przez pół roku. Następnie obejmą funkcję dowódców strażnic do końca służby czynnej w wojsku. Służba w KOP trwa dwa lata. Koniec.

Wysłuchaliśmy tego z uwagą i z pewnym zakłopotaniem, bo tematy nie były oczekiwane, a odpowiedzialność przy samodzielnym kierowaniu strażnicą duża. Na razie jednak, kiedy patrzyliśmy na siebie ubranych w nowy model mundurów, w sercach rosła radość. Zniknęły te uprzykrzone owijacze. Wprowadzono spodnie kloszowe spinane dołem, buty z cholewami do wyjścia poza koszary (w koszarach noszono sznurowane), bluzy o kołnierzach węższych i inaczej ciętych niż dotychczas. Rozcięcie tylne bluzy zlikwidowano na rzecz dwu cięć bocznych. Pojawiły się kieszonki piersiowe, których przedtem nie było. Do tego żaboty, a także czapki kroju okrągłego z daszkami z błyszczącą okuwką. Płaszcze miały nowy krój, węższe kołnierze i klapy obszywane KOP-owymi naszywkami. Wszystko dopasowane do wzrostu.

Żywność była lepsza od pułkowej. Do chleba na śniadanie i kolację dodawano smalec lub pół śledzia. Kawa była z kostek słodzonych; obiady przeważnie mięsne i obfite. Dostawało się papierosy Czołem, po pięć sztuk dziennie (w innych rodzajach armii niestosowany zwyczaj). Żołd był podwójny – jeden złoty i siedemdziesiąt groszy na dziesięć dni (w innych formacjach osiemdziesiąt pięć groszy). To wszystko składało się na ową elitarność KOP-u.

Dzień drugi to znów badania psychotechniczne, lecz nieco inne od tych w Rzeszowie. Tym razem otrzymujemy zadania o tematyce głównie wojskowej, sprawdzające znajomość wszystkich części uzbrojenia i wyposażenia żołnierskiego. Następnie organizacja teatrzyku i chóru kompanijnego. Zajmuje się tym plutonowy Czaplicki. Robi próby głosu i przyjmuje do zespołu tych, którzy wypadają dobrze. (Będziemy objeżdżać miasteczka przygraniczne ze swoimi skeczami i piosenkami wojskowymi).

Od następnego dnia rozpoczyna się już twarda nauka i rozpoznawanie różnic, jeśli chodzi o naszą wiedzę teoretyczną z zakresu wojskowości. Pochodzimy przecież z trzech różnych pułków, w których mogły być stosowane różne sposoby szkolenia. Kapral Kopeć informuje, że pierwszy miesiąc poświęcony będzie ujednoliceniu pewnych pojęć i metod poznanych w pułkach macierzystych. A więc poszerzenie wiadomości strzeleckich: charakterystyka broni – i powtarzalnej, i automatycznej (rkm); współdziałanie części, rozbieranie i składanie z zawiązanymi oczami na czas; celowanie, linia celowania, tor pocisku, balistyka; wpływ deszczu, śniegu i wiatru; siła przebicia, szybkość pocisku; działanie prądu wody początkowe osiemset dwanaście metrów na sekundę, donośność pocisku; nabój ślepy, ostry, pancerny, świetlny, budowa każdego, ciężar; osłony – drewno, darń, kamień, słoma, stal; ogień zbiorowy, celność i tak dalej.

Podobne powtórki z innych tematów odbywały się przez następny tydzień w godzinach popołudniowych. Przed południem organizowano ćwiczenia w terenie – plutonami, a następnie drużynami. Poznajemy Suwalszczyznę. Czarna Hańcza, wioska Krzywólka, Szwajcaria i miejscowości o ciekawych nazwach, jak Szypliszki, Prudziszki. Dużo kamieni na polach i wokół na skarpach, pryzmach, w budowlach inwentarskich. Niektóre olbrzymich rozmiarów, kamienie oborywane, średnie i małe (jedno-, dwukilogramowe), znoszone z pól uprawnych na pobocza. Jest tego dużo. Ich forma, kształt świadczy o tym, że są to resztki polodowcowe. Dużo lasów, dużo jezior. Chłodno, bo przecież już wrzesień.

Po kilku dniach w nocy alarm. Ubieramy się szybko, ale szok nas ogarnia. Wydaje nam się amunicję ostrą, hełmy bojowe, wymienia pochłaniacze w maskach gazowych. Sprawdza się kompletność pozostałego oporządzenia. Zauważamy zdenerwowanie oficerów. Zjawia się dowódca kompanii, kapitan Karolczyk. Wszyscy oficerowie i podoficerowie w oporządzeniu frontowym. Co się dzieje? Czyżby to zwykły ćwiczebny alarm sprawnościowy, jaki robi się w każdym wojsku? Po chwili sprawa wyjaśnia się. Dowódca kompanii informuje, że w tej chwili nasze wojska na południu kraju zajmują Frysztat i Śląsk Cieszyński leżące w sąsiedniej Czechosłowacji. Był to rozkaz marszałka Polski Rydza-Śmigłego, a my jako oddział KOP-u ochronić mamy granicę Polski z Litwą, z którą był konflikt o Wilno.

Maszerujemy w stronę Litwy. Spoczynek nad jakimś jeziorem o wschodzie słońca. Stoją kuchnie ze śniadaniem i gorącą kawą. Przepiękny suwalski krajobraz. Pluskające w jeziorze ryby, obudzone ptactwo i ogrzewające promienie słoneczne. Tereny niemal niezaludnione. Idziemy dalej. Po połu-

dniu kuchnie stoją w Sejnach. Maleńka mieścina. Obiad i marsz dalej parę kilometrów. Znów postój w jakiejś osadzie; kilka domów – strefa graniczna. Zostaje tam dowódca kompanii Karolczyk i dwu żołnierzy, w tym ja. Pyta mnie, czy byłem łącznikiem na manewrach w 17 Pułku Piechoty. Odpowiadam, że tak*.

Zajmujemy jeden duży pokój z łóżkiem. My z Groszkiem (bo tak się nazywał ten drugi kolega) śpimy w kącie na słomie. Reszta wojska w pewnym rozproszeniu, plutonami pomaszerowała do granicy. Samym wieczorem goniec od porucznika Pakuły przynosi meldunek do dowódcy kompanii. Wojsko prawidłowo rozlokowane, na granicy spokój. Śpimy, bo w poprzednią noc nie było nam to dane. Rano rozglądamy się koło domu i w gospodarstwie. Konie dwa, krowy cztery, świnie też cztery, ale ciekawa rzecz – tak chude, chociaż już duże, że uwiązane są na sznurach za szyje do olbrzymiej gruszki pełnej drobnych owoców padających na ziemię. One się tym żywiły! Gospodarz – kawaler, lat ponad czterdzieści. Służąca jedna, trochę młodsza. Oboje w dłubanych drewnianych trepach; brodzą w błocie po kostki. Gospodarz posiada osiemdziesiąt morgów pola, z czego pięćdziesiąt odziedziczył po ojcu, a trzydzieści dokupił. Nie ma ani jednej pary butów; na zimę owijał nogi szmatami (a zimy są tam ostre i długie). To wszystko powiedział kapitanowi Karolczykowi w przyjaznej rozmowie przy śniadaniu. Częstował nas mlekiem, więc piliśmy, ale rosło nam w ustach. Koło domu duży sad. Jabłoni jednak nie widzimy żadnej. Grusza jedna, za to śliw kilkadziesiąt, obsypanych dojrzałym owocem. Część śliwek już zerwana leżała w pokoju obok na kupie, gnijąc sobie spokojnie. Na pytania kapitana, dlaczego się nie żeni, dlaczego nie zakłada licznej rodziny do tak dużego majątku, komu on to zostawi i po co dokupił jeszcze trzydzieści morgów (piętnaście hektarów), mając już pięćdziesiąt morgów odłogu, gospodarz odpowiada w zaskakujący sposób. Przypuszczamy, że albo sobie drwi, albo coś ma w głowie poplątane, bo mówi z pewnym namysłem, że ziemia to jest ziemia – była, jest i będzie – a nie żeni się, bo dziewuch w okolicy brak, a on nawet butów takich nie ma, by udać się do Sejn na „szukanie baby". Wybuchnęliśmy śmiechem. A dlaczego nie sprzedaje gdzieś tych ton śliw? Mówi, że karmi nimi świnie. Czy w to wszystko, co on mówił i co widzieliśmy, można uwierzyć? Przecież to nieprawdopodobna rzecz. Jaka jest

* W wojsku każdy żołnierz posiadał zeszyt służbowy, do którego szef kompanii wpisywał wszystko: wyniki ze strzelania, funkcje, urlopy, choroby, kary i tym podobne. Widocznie był tam i wpis, że pełniłem służbę łącznika i to do mnie już przyrosło.

świadomość tego młodego jeszcze pustelnika mieszkającego na gołych rubieżach przygranicznych? Czy czytający to myśli, że ponosi mnie fantazja? Boże broń! Nic tu nie zmyślam, nic nie dodaję. Ale sam wtedy, pięćdziesiąt lat temu, też nie mogłem uwierzyć.

Minęło kilka dni. Pewnej nocy zostałem wysłany na granicę z meldunkiem do porucznika Pakuły. Koniec obsługi granicy i powrót do koszar. Wojna o Zaolzie skończona, u nas też spokój był zupełny.

Dzień odpoczynku i znów praca, praca i zdobywanie punktów. Powiedziano nam bowiem na samym początku, że stosowany będzie system punktowy, tak jak w szkole, z ocenami od jeden do pięć. Po każdym wykładzie i odpowiedzi na zadane pytanie, a także po każdym ćwiczeniu w terenie pojedynczy żołnierz – elew – lub mała grupka otrzymywała stopnie. Było to frapujące, bo stopnie stawiane były jawnie, w obecności całego oddziału, i z grubsza można było zorientować się zawsze, kto ile otrzymał w bieżącym dniu. Czy nie był to system dopingujący?

W następnych tygodniach przeprowadzają dwa ostre strzelania. Jedno na strzelnicy punktowej, drugie na poligonowej w Płocicznie koło Suwałk. U mnie oba te strzelania wypadły bardzo dobrze.

Z teatrzykiem i chórem wyjechaliśmy tylko raz, na strażnicę na granicy z Prusami Wschodnimi, do miasteczka Filipów. Reszta to występy niedzielne w koszarach. Mało wyjść na miasto. Była przecież zima, a w koszarach ciepło. Przeważnie odpoczywało się na salach lub w świetlicy, w obecności instruktorów ze starszego rocznika. No i ten wypoczynek bardzo był zasłużony. W poniedziałek znów szkoła, znów mapy, busole, poziomice, rysunki, meldunki i tak dalej. I znów punkty przez parę tygodni.

Jest jednak jakaś zmiana. Kapral Kopeć oznajmia, że od następnego dnia na okres dziesięciu dni dowódcą będzie elew (nie podaje nazwiska). Poprowadzi on życie drużyny od pobudki do capstrzyku. Poprowadzi również wszystkie ćwiczenia w terenie według podanego przez niego, kaprala, scenariusza uzgodnionego z innymi drużynami. Otrzyma wszystkie akcesoria potrzebne do ćwiczeń. Kapral będzie tylko obserwował i stawiał punkty od rana do wieczora. Zainterweniuje jedynie w przypadku poważnych błędów. Po upływie dekady dowództwo obejmie następny elew. I tak będzie już do końca w szkole. Padł strach na nas. Ile trzeba uwagi, by czegoś nie przeoczyć i wykonać wszystko na czas! Tego, żeby robić coś na złość, by obniżyć stopień koledze, nikt nawet nie rozważał. Byliśmy bowiem bardzo zżyci ze sobą. Ale czy nie myślało się czasem: jak ty mnie, tak ja potem tobie?

Na drugi dzień kapral Kopeć pojawia się już przed pobudką z notesem w ręce (nie pamiętam, który z nas był pierwszy – ja nie). Pobudka! Mycie, ubieranie się, ścielenie łóżka, robienie ogólnego porządku. Zbiórka na śniadanie. Szybko zjeść, umyć naczynia. Zbiórka do raportu rannego dowódcy plutonu. Meldunek i wymarsz na dziedziniec. Dowódca drużyny podaje założenia tematyczne do ćwiczeń, ale bez szczegółów. Jest zaś mapa wojskowa, kompas z oznaczeniem kierunków, podana odległość i główne zadanie – co mamy dalej zrobić, z jakim wynikiem wrócić i o jakim czasie. Zadanie uzyskania odwrotnego wyniku otrzymuje przeciwna drużyna, z opaską czerwoną na rękawie, startująca z innego punktu, ale według swojej mapy i kompasu tak ustawiona, byśmy w tym samym czasie spotkali się w tym samym miejscu. Po wykonaniu zadania następuje omówienie, co było dobrze, co źle, i stawiany jest stopień dla dowódcy drużyny – dobry lub zły. Godziny popołudniowe – to samo, ale inna teoria, ćwiczenia fizyczne lub wykłady, próby meldunków i tym podobne, rozkazodawstwo, przegląd czystości ciała i mundurów. Kapral Kopeć cały dzień tylko notuje i wyjaśnia, dlaczego tak dobrze, a dlaczego tak źle. Stopni w notesie przybywa. Po dekadzie jest ich już bardzo dużo i są różne. Powstaje średnia dekadowa.

Na drugą dekadę kapral wyznacza następnego z lewa i tak dalej, i dalej. Zmieniają się w tej roli uczniowie. Zmieniają się i rodzaje ćwiczeń, a także stopnie. Dowódcy drużyn pracują ciężko. Codziennie trzeba ustalić kto z kim co robi, ułożyć na mapach punkty rozpoczęcia i zakończenia ćwiczeń, ustalić wynik zadania. To jest żmudna praca, ale oni są tu stale i mają dużo różnych pomysłów i praktyki.

W takim trybie mijają dekady i miesiące. Zbliża się grudzień i trzydniowe manewry kompanii z wyjściem z koszar. Zima, śnieg, mróz. Są to ćwiczenia trwające dniem i nocą, z małymi przerwami na posiłek i trzema–czterema godzinami na sen w namiocie. Zdobywa się w nich dość dużo punktów ze względu na utrudnione warunki klimatyczne. W tym czasie leżę w szpitalu wojskowym. Nie biorę więc udziału w manewrach, ale nie zdobywam też punktów*.

* Na przełomie listopada i grudnia podczas ćwiczeń ze skoku w dal skaczę na przysypany piaskiem lód. Mam bardzo bolesny skręt stawu kolanowego. Jestem zabrany do szpitala. Leżę trzy tygodnie. Lekarz nie zgadza się na mój wyjazd na czternaście dni urlopu świątecznego i Nowy Rok. Wyjeżdża cała kompania. Po interwencji szefa kompanii – jedzie do Wiśniowej i przyrzeka roztoczyć nade mną opiekę – lekarz ulega, daje smarowidła, bandaże i do domu jadę prawie przez całą Polskę.

Kompania wyjeżdża na czternastodniowy urlop na święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Wracam przez Rzeszów. Widzę z pociągu, że na naszym polu ćwiczeń na Wygnańcu stoją już trzy bloki mieszkalne, a wokół leżą sterty cegieł, piasku i innych materiałów budowlanych. Przecież nie było mnie zaledwie rok!

Z początkiem stycznia 1939 roku kompania jest już w komplecie. Czeka nas jeszcze ponad dwa miesiące nauki. Już zaczynamy dyskutować o tym, gdzie spędzimy następny rok, na której granicy. Znowu się rozjedziemy. Zaczynamy robić sobie grupowe zdjęcia (niektóre są w moim albumie). Polubiłem bardzo Ślązaka Prudłę, Jurka, Bartosa, Lesickiego, Wilka.

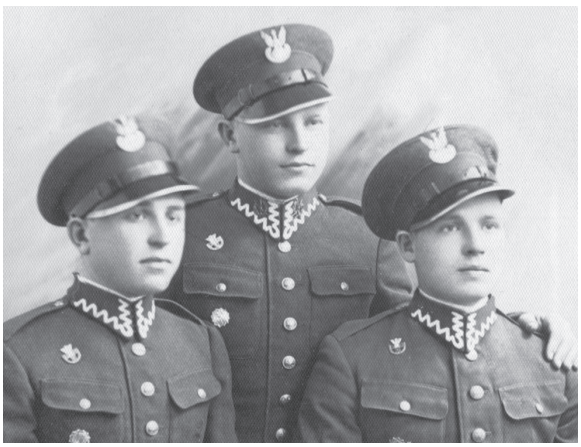

Stanisław Szczepan (z lewej) z kolegami ze szkoły podoficerskiej w Suwałkach: Bartosem (w środku) i Jurkiem (z prawej). Suwałki, 1939 rok. *Autor nieznany, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

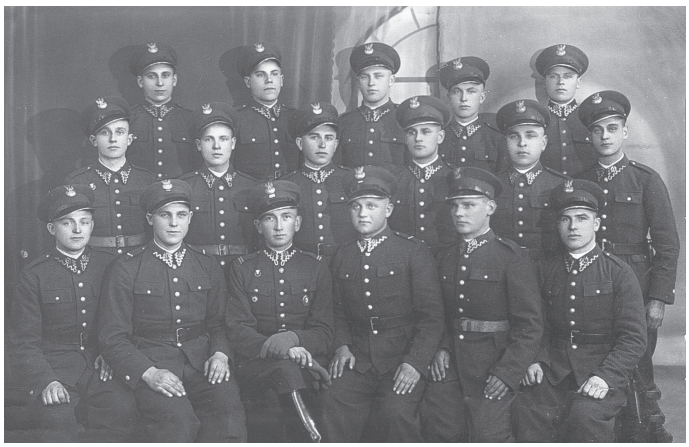

Uczniowie szkoły podoficerskiej w Suwałkach. Stanisław Szczepan w drugim rzędzie, trzeci z lewej. Suwałki, 1939 rok. *Autor nieznany, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

Każdy boi się Osowca, bo to twierdza bez ludności cywilnej. Koszary pod ziemią, a na górze las. Niesamowita dyscyplina. Coś na kształt zamku krzyżackiego w Malborku. Kanały wodne nabijane niewidocznymi podwodnymi lancami. Podobno wielu żołnierzy popełniło tam samobójstwo – bez jakiegoś istotnego powodu. Jest legenda, że to nieżyjący już car Rosji i jego rodzina przypominają się. Temu podobne wersje są rozsiewane po cichu. Nasi instruktorzy mówią zaś, że po każdym roku nauki Osowiec zabiera do siebie kilku żołnierzy. Stąd obawy nasze.

Kapral Kopeć daje nam do zrozumienia, ale oględnie, że kilku z naszej drużyny jest w ścisłej czołówce punktowej. Zaleca nie spoczywać na laurach, bo finał się już zbliża. Czy to jakiś doping? Każdy z nas już przeszedł

to, co miał przejść. Czy w tym finale coś da się poprawić? Wieczorami, już w łóżkach – różne przemyślenia i szepty*.

W której grupie się uplasuję? Są cztery, jak nas informują instruktorzy: bardzo dobra, dobra, dostateczna i niedostateczna (i w tej jest w każdym turnusie kilku). Niepewność trwa przez prawie połowę lutego. Im bliżej końca miesiąca, tym większe napięcie u żołnierzy. U dowódców również. Wreszcie dowódcy drużyn ujawniają bardzo ogólne dane.

Z naszej drużyny w grupie czwartej nie ma nikogo. W grupie pierwszej czterech, w drugiej i trzeciej reszta, ale konkretów jeszcze nie podają. Pytamy o nazwiska z pierwszej grupy. Trzy są wiadome: Bartos, Szczepan, Michałowski. Dowódca jednak ostrzega, że grupa pierwsza będzie przechodzić jeszcze przez egzamin teoretyczny, po którym mogą być przesunięcia do grupy drugiej. Dla reszty ustalone będą lokaty. W kompanii robi się szum. Trwa i w dzień, i w nocy (ćwiczeń już nie ma). Kopeć jest zdenerwowany. No bo skoro drużyn jest sześć, a ogólnie kompania liczy dwadzieścia osiem osób, to z jego drużyny powinno być co najmniej pięć osób z wynikiem bardzo dobrym, a nie tylko cztery. Tego rodzaju wyliczenia, przeliczenia i domysły to główny temat.

Na drugi dzień wszystko jest już jasne. Grupa pierwsza to dwadzieścia pięć osób (ja tam jestem na siódmym miejscu). Kapral Kopeć już ma dobre informacje. Brakło mi wielu punktów z manewrów zimowych, w których nie brałem udziału. Szkoda, bo mogłem być w „primusowej" trójce.

Następnego dnia szef kompanii wyczytuje nazwiska z grupy A. Idziemy na świetlicę. Siadamy, przed nami kartki czystego papieru i mapa. Za stołem pojawia się komisja egzaminacyjna: kapitan Karolczyk, dowódcy plutonów, porucznik Jankowski, porucznik Pakuła, szef kompanii Chałas i dowódcy drużyn. Padają pytania ze wszystkich tematów szkoleniowych. Piszemy

* Opisany sposób szkolenia był nieczęsto stosowany w szkołach ze względu na jego kłopotliwość. O co chodziło? O pewne dane statystyczne zbierane na przestrzeni lat o stopniu wyszkolenia poszczególnych drużyn w kompanii i o różnice punktowe między grupami. O wejściu do danej grupy decydowała liczba punktów uzyskanych w okresie próbnego dowodzenia. Do grupy A trafiali żołnierze z wynikiem bardzo dobrym, do grupy B – z dobrym, do grupy C – z dostatecznym, do grupy D – z niedostatecznym. Elewi zakwalifikowani do grupy pierwszej (A) byli egzaminowani przez komisję kompanijną jeszcze raz, bardzo szczegółowo, z wszystkich tematów. Część z nich trafiała po tym egzaminie do grupy niższej. Dla elewów pozostałych w grupie A ustalano kolejne lokaty według liczby zdobytych punktów, uwidocznione na świadectwach. Liczba lokat zdobytych przez drużynę decydowała o ocenie dla dowódcy drużyny.

meldunki o różnej treści, odczytujemy mapy, mierzymy wysokości wzniesień w terenie przy pomocy poziomic. Jest dużo pytań podchwytliwych ze znawstwa broni i z służby wartowniczej. Trwa to do wieczora (nie jemy nawet obiadu). Definitywny koniec szkoły.

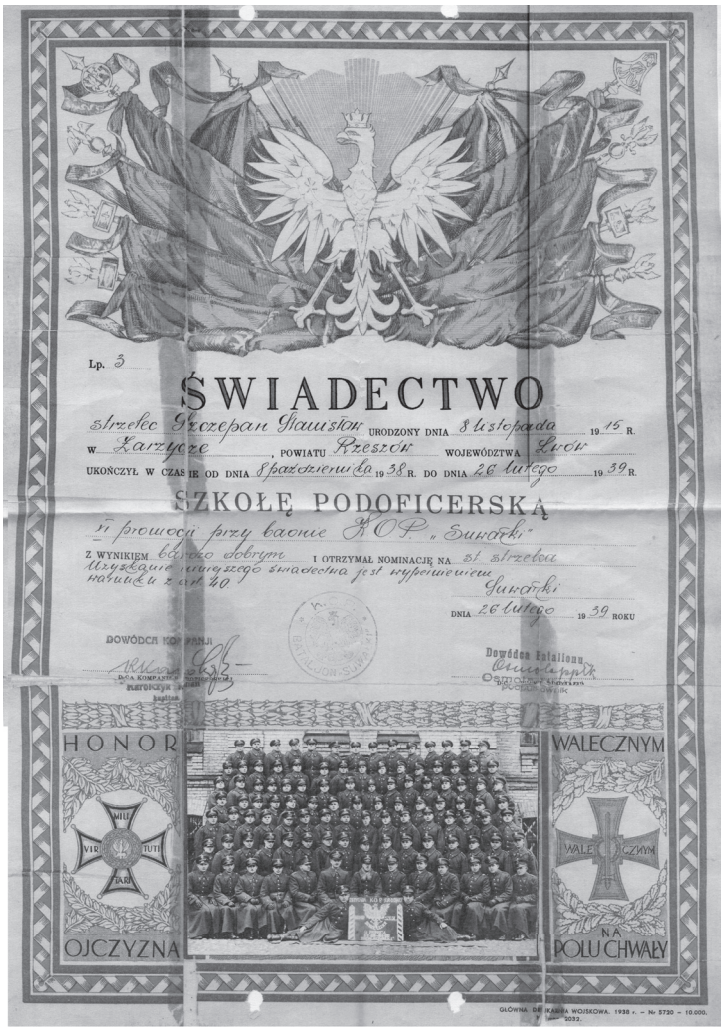
Lp. 3

ŚWIADECTWO

Strzelec Szczepan Stanisław URODZONY DNIA 8 listopada 19 15 R.
w Zarzycze, POWIATU Rzeszów WOJEWÓDZTWA Lwów
UKOŃCZYŁ W CZASIE OD DNIA 8 października 19 38 R. DO DNIA 26 lutego 19 39 R.

SZKOŁĘ PODOFICERSKĄ

V promocji przy baonie KOP „Suwałki"

Z WYNIKIEM bardzo dobrym I OTRZYMAŁ NOMINACJĘ NA st. strzelca

Uzyskanie niniejszego świadectwa jest wypełnieniem warunku z art. 40

Suwałki

DNIA 26 lutego 19 39 ROKU

DOWÓDCA KOMPANII

Dowódca Batalionu

HONOR

WALECZNYM

OJCZYZNA

NA POLU CHWAŁY

Świadectwo Stanisława Szczepana ze szkoły podoficerskiej w Suwałkach. *Zbiory prywatne Janusza Szczepana*

Kolejnego dnia oficjalne zakończenie szkolenia, ogólne zebranie, przemówienia, podziękowania za trud włożony w naukę i życzenia powodzenia na nowych stanowiskach w granicznych strażnicach. Rozdawane są świadectwa. Ja wywindowałem się na trzecią lokatę. Następują pożegnania z kolegami, bo wiemy, że każdy z nas trafi sam do strażnicy odpowiedzialnej za ochronę granicy na długości ponad tysiąca kilometrów. Padają obietnice utrzymywania kontaktu poprzez listy, odbywa się wymiana zdjęć, podawane są setki adresów cywilnych, do rodzinnych domów. Potem czekamy znów zdenerwowani na nadejście rozdzielnika z Osowca. Już na drugi dzień rano poruszenie. Przyszedł rozdzielnik. Po południu wchodzi szef kompanii z kartką.

– Gaicki, Kolasa, Rejman, Szczepan, Krawczyk, Guliński. Zdawać broń i oporządzenie. O godzinie osiemnastej wyjeżdżacie do Osowca.

Cios w serca. Dlaczego trafiło to na nas właśnie? Słychać pomruk współczucia kolegów. Pośpiech, ostatnie jeszcze pożegnania, bo rozkaz już przygotowany. Co się stało z resztą kolegów, już nie wiedzieliśmy. Na pewno tych

osiemdziesięciu chłopców rozsiano po całym pograniczu, ale kto gdzie miał trafić okazało się w następnych dniach. Tak to jest w wojsku – sentymentów nie ma.

Jedziemy do Osowca-Twierdzy całą noc. O świcie wysiadamy. Na stacji tylko my. Ani jednej cywilnej osoby. Podchodzi patrol żandarmerii wojskowej – kanary. Sprawdzają dokumenty. W porządku. Jeden z nich wyprowadza nas z dworca i prowadzi do jakiejś salki, w której służbę pełni podoficer służbowy twierdzy. Przejmuje nas i prowadzi dalej. Tam bloki i znów pusta świetlica. Każe rozgościć się aż do pobudki, która będzie za pół godziny.

Osowiec-Twierdza

Czekamy w nocnej ciszy, spać się nie chce. Rzeczywiście ruchu miejskiego nie słyszy się. Wreszcie pobudka, ale ogłoszona nie przez wartownika, a przez radio. Robi się ruch. Po chwili wchodzi jakiś kapitan.

– Dzień dobry. Nowi goście? – Przegląda nasze dokumenty, bo mieliśmy je ze sobą. Same bardzo dobre lokaty, z pierwszej dziesiątki. Zaczyna z nami rozmawiać przyjaznym tonem. – Potrzebujemy kilku pisarzy do biur w dowództwie i dowódców drużyn. Kto z was ma ochotę na te zajęcia?

Zgłaszamy się z Kolasą i Krawczykiem. Gaicki umie grać na jakiejś tam trąbie i od razu dostaje przydział do kapitana Kizewetera*. Rejman ma być dowódcą drużyny, Guliński – zająć jakieś stanowisko w aprowizacji. Kolasa ma służyć jako pisarz w dziale aprowizacji, Krawczyk jako pisarz w dziale płatniczym, a ja jako pisarz w kancelarii rozdzielczej i wysyłkowej. Muszę jednak złożyć dodatkową przysięgę na zachowanie tajemnicy służbowej. Tu bowiem ma się do czynienia z pocztą poufną, tajną i ściśle tajną. Składam taką przysięgę w dziale osobowym. Kierownikiem mojego działu i tej kancelarii jest starszy sierżant Wojciech Tabaka. Pracuje tam też plutonowy Węgiel i kapral Curlej oraz goniec – starszy strzelec Górski.

Tabaka zapoznaje mnie ogólnie z zakresem czynności wykonywanych w ramach tego działu. Dostaję biurko, krzesło, szafę. Moje obawy z Suwałk okazują się na wyrost; żadnych trudności w tej pracy nie zauważałem. Przydzielony byłem, co zrozumiałe, do kompanii administracyjnej jako dowódca drużyny, do której należą pisarze, pracownicy radiowęzła i stolarze. A więc z Kolasą i Krawczykiem byliśmy znów razem. Po tygodniu zadbałem też o kwestie związane z dalszym mym życiem zawodowym. Po zebraniu pewnych infor-

* Kapitan Kizeweter – sławny w kraju kompozytor marszów wojskowych i innych melodii na orkiestry dęte.

macji u szefa kancelarii oraz u szefa kompanii administracyjnej sierżanta Zaborowskiego złożyłem prośbę do komendanta twierdzy pułkownika Tadeusza Tabaczyńskiego o przyjęcie mnie do służby nadterminowej, a następnie zawodowej. Szefowie podanie moje zaopiniowali i skierowano je do gabinetu pułkownika. Po kilkunastu dniach otrzymałem rozkaz stawienia się tamże. Miałem obawę. Odbyła się jednak tylko rozmowa o moich stosunkach rodzinnych oraz podjęciu takiej decyzji i na tym się skończyło. Zostałem przyjęty od dnia 18 marca 1939 roku do służby nadterminowej. Byłem uradowany, bo wreszcie załatwiłem sprawę mego zawodu.

W pracy układało mi się dobrze, a stosowany tam dziesiętny system korespondencyjny nie był trudny. Szybko się z nim oswoiłem. Osowiec okazał się dla mnie twierdzą szczęśliwą, a zasłyszane budzące strach pogłoski – nieprawdziwe. Strachy na Lachy.

Była to twierdza położona na Bagnach Biebrzańskich, zabezpieczona okratowaniem ze wszystkich stron, z dwiema tylko bramami – Rudzką i Białostocką. Poszczególne forty otoczone były kanałami pełnymi wody i chronione mostami. Lasów dużo, a pod nimi obszerne lochy, magazyny opancerzone, z których to magazynów wyglądały otwory wentylatorów, i do tych miejsc nie wolno było wchodzić. Ale koszar pod ziemią to tam nie było. Na terenie pierwszego fortu stał wprawdzie budynek, w którym mieściła się kompania łączności i nad tym budynkiem rósł las sosnowy wieloletni, ale jego fronton, cała przednia ściana z oknami, wychodził na plac. Były tam ulice, przy których stały jednorodzinne domki dla żołnierzy z rodzinami. Było targowisko, na które wieśniaczki z owocami, drobiem i różnym nabiałem mogły otrzymać przepustki stałe. Było kino wojskowe, łaźnie, kościół, kasyno oficerskie, kantyna żołnierska, rzeźnia, piekarnia i stadion. Co było potrzebne jeszcze? Osoby cywilne mogły tam wysiadać z pociągu, jeśli miały przepustkę wojskową. Na stacji był zawsze patrol. Nie było dzieci ani szkół. Kobiet też niewiele. Tylko żony i osoby dorosłe, które tam pracowały. Żadne dodatkowe obostrzenia dyscyplinarne dla wojska nie obowiązywały. Były tam jednak różne takie miejsca w zaroślach leśnych, gdzie wchodzić nie było wolno; wionęły jakąś tajemniczością, stąd może ta fama o samobójstwach z nieznanych powodów. Słońce świeciło tam tak samo jak wszędzie, a że reżim był, to rzecz oczywista – było tam przecież prawie samo wojsko. Ja czułem się w Osowcu dobrze. Z pracą oswoiłem się szybko i czas prędko uciekał. Lato robiło się gorące. Marzyłem już, że za pół roku, gdy skończy się moja służba zasadnicza, będę mógł pobierać jakąś część wynagrodzenia. Pisałem do rodziców z rozczuleniem i żalem trochę, bo zdawałem sobie sprawę, że chyba nie wrócę do nich tak prędko. Żal

mi było tej wioski, w której się urodziłem i wychowałem – wioski biednej i bez konkretnych widoków na przyszłość, ale pełnej znajomych mi ludzi, kolegów, koleżanek. A tu tak przecież daleko – drugi koniec Polski, pełny obcych mi ludzi. Czy w ogóle będę miał kiedyś tylu przyjaciół i tyle ciepłych serc wokół co wcześniej? Przecież tu płynie wciąż rzeka żołnierzy. Jedni odpływają, drudzy przypływają i nie ma czasu na nawiązanie dłuższej przyjaźni. A marzyłem o założeniu jakiegoś stałego gniazda i rodziny. O tym marzy każdy. Nasuwała się uparta myśl: Czy ja dobrze zrobiłem? Czy dobrze będzie żyć wciąż w mundurze i wojskowej dyscyplinie? Koledzy moi już cieszyli się na swój powrót do cywila za pół roku. Mieli tam czekające na nich dziewczyny, mieli jakiś zawód. Ja nie miałem nic, a skończyłem już dwadzieścia cztery lata. I tu urywała się myśl. Pan Bóg kazał mieć dużo dzieci, ale na te dzieci zapomniał dawać, więc trzeba było szukać tu na ziemi tych okruchów, jak „niebiescy ptacy", którzy nie orzą, nie sieją, a żyć jakoś muszą.

Czas leciał, był już początek maja. Dużo zieleni i kwiatów. W tej wiosennej atmosferze wyczuwało się jednak jakiś niepokój. Szczególnie wśród oficerów. Do pułkownika Tabaczyńskiego przyjechał z wizytą naczelny dowódca straży granicznej Estonii generał Kurwitz. Trwały w gabinecie różne narady – i dniem, i nocą. Odjechał swoją salonką po trzech dniach. Ta cała wizyta odbyła się jakoś po cichu, w tajemnicy, bez gali, normalnie przygotowywanej w takich przypadkach. Po kilku dniach pojawił się nieznany w Osowcu kapral Jacyna. Wyjeżdżali z pułkownikiem gdzieś na całe dnie i wracali. Krążyć zaczęły pogłoski, że ten Jacyna to naczelny w Polsce północnej saper. I że chodzi podobno o budowę umocnień; gdzie dokładnie – nikt nie wiedział. Czuło się jakiś pośpiech i nerwowość. Po paru dniach twierdzę najechał znienacka Rydz-Śmigły ze swoją świtą. (I to tak niespodziewanie, że zastał nas wygrzewających się w słońcu na trawce obok biur w przerwie obiadowej. Zmykaliśmy do budynku jak szczury, pomimo że ta dwugodzinna przerwa przysługiwała nam). Natychmiast w gronie kilku naszych oficerów wyjechał gdzieś na północ i tyle Rydza widzieliśmy. Nasi oficerowie rano byli już w pracy. Co się stało? Nikt nic nie wiedział. Kilka dni później znów nastał błogi spokój i normalnie pracowano.

Trzeciego maja dostaję awans na kaprala. Zdziwienie i moje, i moich kolegów, którzy przyjechali tu ze mną z Suwałk. Dlaczego już? Przecież taki awans otrzymywało się po sześciu miesiącach, a nie po dwu. Oni tego awansu nie dostali. Domyślamy się, że ma to związek z moim podaniem o służbę nadterminową. I tak w istocie było, bo znów za parę dni otrzymuję pismo, że przydziela mi się opiekę nad zachowaniem przepisowego porządku w kinie

w czasie wyświetlania filmów. Za tę czynność będę otrzymywał czternaście złotych miesięcznie. Takie samo pismo otrzymał kolega Curlej pracujący razem ze mną. Wyszło więc szydło z worka. Był to chyba dobry gest naszego kierownika kancelarii Tabaki. Bo – chociaż ta funkcja w kinie nie bardzo nam się podobała, gdyż polegała na kontroli biletów i sadzaniu zwykłych żołnierzy na fotelach, a zawodowych oficerów i osoby z ich rodzin na przeznaczonych dla nich miejscach w rzędach – te czternaście złotych to dla żołnierza była kupa grosza. Od razu założyłem sobie pierwszą w życiu książeczkę PKO; ale te pierwsze czternaście złotych przeznaczyłem na oblanie awansu.

Mija już maj i czerwiec. W szeregach żołnierskich nic nadzwyczajnego nie dzieje się. Ale pracujemy, i to wśród oficerów i podoficerów. A tam mówi się, acz cicho jeszcze, że wojna jest nieunikniona. Że te wszystkie u nas poprzednie odwiedziny miały związek z organizowaniem obrony. Że buduje się jakieś betonowe umocnienia na granicy z Prusami Wschodnimi. Że Francja i Anglia za nami, że są podpisane umowy i tak dalej. Ale na obliczach zauważa się już zasępienie i powagę. Czekamy na dalszy rozwój wypadków.

W połowie lipca przychodzi do mnie szef kompanii administracyjnej starszy sierżant Zaborowski i mówi:

– Szczepan, mam do ciebie prośbę.

Jestem zdziwiony. Prośba? Przecież w wojsku daje się rozkazy, a nie prośby. Wybałuszam oczy i słucham.

– Weź tę cholerną podchorążówkę w swoje ręce*. Wiesz, co się tam dzieje? Brud, smród i ubóstwo. Bractwo niegolone, niemyte. Łóżka, kostki to barłogi. I piją nocami.

– A kapral? – pytam.

– Pije z nimi, już go kilkakrotnie upominałem. Na wiosnę idzie do cywila. Nie pomaga.

– Czy pan wie, że ja osiem godzin dziennie pracuję?

– Wiem! – odpowiada i wyjaśnia, że tam mogę sobie upatrzyć zastępcę, bo przecież nie wszyscy są tacy źli; że rano oddeleguję ich do prac w maga-

* Podchorążówką nazywano grupę pięćdziesięciu pięciu żołnierzy usuniętych z trzech szkół podoficerskich za nienadążanie za programem zajęć lub na ich własną prośbę. Umieszczeni byli w jednej sali. Dowódcą ich był kapral służby czynnej Kapuściński. Wykorzystywano ich do wartowania i do prac w podziemnych schronach-magazynach. Był u nich na sali wielki bałagan. Chodzili brudni, nieogoleni, z guzikami na zapałkach. Kapral lubił bardzo wódkę, więc popijali nocą. Oficerowie i podoficerowie pełniący służby nocne w twierdzy widzieli to, opisywali w protokołach i żądali od dowódcy kompanii administracyjnej wprowadzenia porządku wojskowego w tej grupie, by nie kompromitowała całej twierdzy.

zynach, bo podoficerowie o to proszą, po południu tak samo, a wieczorem, od szóstej do dziewiątej, będę miał trzy godziny wolne. Mówi, że ma w kompanii kilku kaprali, ale oni nie nadają się do tego. Mówi też, że nie będzie ingerował w żadne metody stosowane przeze mnie. Nie zgadzam się, mam zresztą dużo powodów do tego, bo pracuję. Ale on użył najcięższego swojego argumentu:

– Słuchaj, ty zostałeś już przyjęty do służby zawodowej. Ja ci twoje podanie zaopiniowałem bardzo dobrze. A czy ty wiesz, jak ci się to, co ci proponuję, przyda w dalszej służbie? Przecież jak zrobisz z nich wojsko, to opinia przełożonych o tobie wzrośnie. Będziesz mógł mieć jakieś częstsze awanse, jakieś intratne funkcje i tak dalej. W wojsku tak jest, ja to przeszedłem.

Skapitulowałem. A może stary wyga ma rację? Zgadzam się, ale proszę:

– Gdy to już zrobię, to mnie pan z tego obowiązku zwolni.

– Przyrzekam! – odpowiedział.

Nazajutrz rano ta zmiana ukazała się w raporcie dziennym. Kiedy przyszedłem na miejsce, kaprala Kapuścińskiego już nie było. Rozkaz działał natychmiast. Wchodzę zaraz po pobudce. Pada komenda „Baczność!". Podchodzi do mnie jakiś żołnierz, melduje ręką do pustej głowy i mówi donośnym głosem:

– Panie majorze, moja kobyła spać nie może, może pan major pomoże?

Zdębiałem, bo zawtórował mu śmiech na sali, ale dałem komendę „Spocznij!" i pytam:

– Chłopcze, jak się ty nazywasz?

– Kolaczek, panie majorze, jestem zastępcą Kapuścińskiego.

Mówię:

– Od teraz już nie jesteś, a jutro staniesz do raportu karnego dowódcy kompanii.

On nagle spoważniał, śmiechy ucichły. Mówię dalej:

– Słyszeliście wszyscy. Co się tu dzieje? Co wy z siebie zrobiliście? Przecież w waszych pułkach macierzystych was właśnie wytypowano jako nadających się do szkoły podoficerskiej. Jak można więc tak nisko upaść? Czy wam nie wstyd? – Podobne tłumaczenia trwały kilka minut. – Czy wszyscy jesteście tacy sami? Przecież słyszałem te głupie śmiechy tylko od części z was. Chcę wam pomóc, po to tu jestem skierowany. Może coś wam się nie podoba w postępowaniu z wami, coś może dolega? Mówcie. W porze obiadowej znów tu będę. Namyślcie się i pomyślcie nad sobą. A póki co zawiadamiam, że jutro rano do kościoła nie pójdziemy, bo na razie to wstydzę się z wami pokazać przy orkiestrze i widowni. Zbiórka będzie na sali i w terenie zaraz po śniadaniu. Cześć!

Na koniec zawiadomiłem jeszcze, że do południa mają posprzątać swoją salę do czysta oraz uporządkować mundury, szafki i obuwie. (Na brak zajęć w sobotę uzyskałem zgodę szefa kompanii poprzedniego dnia). Odszedłem do swojej pracy.

Po obiedzie znów tam jestem. Rozglądam się. Trochę porządniej. Rozpoczynają ze mną rozmowę o tym, że traktuje się ich nie po żołniersku. Mianowicie mają żal do podoficerów zawodowo kierujących robotami w podziemnych schronach. Tamci żywieni są w swoich domach; na obiady chodzą o różnych porach, nie licząc się z tym, że oni jadają w ustalonych godzinach w wojskowej kuchni. Zwalniają ich na te obiady, ale nieraz z poważnym opóźnieniem. Posiłki wprawdzie kuchnia wtedy też wydaje, ale zimne, czasem byle jakie ostatki. To samo bywa w soboty w łaźniach. Woda zazwyczaj nie jest już ciepła, a przecież oni wykonują tu często prace brudzące, jak kompanie szkolne. Zgłaszają jeszcze podobne problemy, narzekają na brak jakichś imprez czy konkursów. Notuję to wszystko. Następnie podejmuję kwestię wyboru jakichś porządkowych w umywalni, ustępie, no i mego zastępcy, który załatwiałby wszystkie drobne sprawy jakoś sprawiedliwiej, niż było to dotychczas. Potem myjemy mydłem i szczotkami duże blaty stołów obrośniętych różnymi pozostałościami po pokarmach i libacjach pijackich, i to w kanałach wypełnionych wodą z Biebrzy. Otrzymujemy – jak w każdą sobotę – wymianę bielizny. Następnego dnia niedziela. Do kościoła nie idziemy. Zbiórka na placu ujeżdżalni. Proszę Janka Czerwińskiego obsługującego radiowęzeł, by nastawił z płyt głośną muzykę marszową. Uczymy się maszerować. Godzinę, dwie, trzy, do obiadu. Zrobił się skwar, koszule są całkiem mokre, pić się chce, unosi się kurz – i to nie czysty, bo to była ujeżdżalnia dla koni.

Przerwa. Koszule płuczemy w kanałach, bo już brudne, i wieszamy na gałęziach, by obeschły. Ale frajda. Jest humor, są kawały, śmiechy i ciężko zapracowany obiad na czystym stole. Po południu wybór tych dyżurnych i mego zastępcy. Kolaczek sposępniał (w raporcie karnym otrzymał siedem dni aresztu ścisłego o chlebie i wodzie).

Zauważyłem, że nie jest tak źle. Duża grupa chłopców to wcale nie najgorsi żołnierze; szanowali się, chociaż prym wiedli ci od kielicha. Mój zastępca to Baran (tak się nazywał). Był w kompanii saperskiej, gdzie trzeba było umieć pływać, jeździć konno i pokonywać wysokości, to znaczy wdrapywać się na drzewa, słupy i tym podobne. On zaś żadnej z tych czynności nie potrafił wykonać i nie chciał się ich uczyć, więc go usunięto ze szkoły, z czego był zadowolony.

W następnych dniach omówiłem z szefem zgłoszone mi przez żołnierzy uwagi; z miejsca obiecał wszystko pozytywnie załatwić. I obeszło się bez stosowania jakichś metod kapralskiego przymusu. To jednak, co za głęboko weszło im w krew, ciężko było wykorzenić całkowicie i natychmiast. Do kościoła mimo to już chodzili jako oddział zwarty, brali udział w defiladzie i dostawali oklaski*.

A czas płynął, zdenerwowanie rosło. Na początku sierpnia wiedzieliśmy już, że wojna będzie na pewno. Zauważyliśmy, że jakoś więcej widać w twierdzy oficerów, których dotychczas nie było – w czapkach i mundurach ćwiczebnych. Więcej było też koni, jakichś wozów. W pobliżu schronów pojawiły się działka przeciwpancerne.

Przesunięcia, reorganizacja, wzmocnione warty na stanowiskach ochronnych. Wymiana kobiet pracujących w kuchniach na mężczyzn. Kompania szkolna łączności w ostrym pogotowiu, kompania cekaem także. I tak co dzień więcej, szybciej. U pułkownika w gabinecie coraz częściej narady. Podawane są komunikaty przez radiowęzeł. Zgłosić się po koce, pochłaniacze do masek gazowych, po amunicję i broń. Lecimy. Stoją już wozy konne z tymi rzeczami. Zabieramy je, kwitujemy i wracamy na miejsca pracy. Co się dzieje? Curleja już nie zastaję. Szef Tabaka mówi:

– Szczepan, goń na dworzec kolejowy, tam już poszedł Curlej. Będziecie odprowadzać nadjeżdżających rezerwistów do świetlicy do przemundurowania i uzbrojenia. Tam już się nimi zajmą inni.

Minął 25 sierpnia. Biegnę po drodze na pocztę, by wybrać z książeczki te kilkadziesiąt złotych. Już nie można. Książeczkę wysyłam do rodziców. Jak się później okazało, nigdy jej nie dostali.

Podają jakieś krótkie informacje. Że mamy bronić przepraw przez Bagna Biebrzańskie. Że tam są jakieś betonowe umocnienia. Że mamy się połączyć z kimś tam, nawet nie wiadomo z kim. Tworzą z nas pułk, to znaczy z czterech kompanii KOP-istów z Osowca i z rezerwistów, których najechało kilkuset. Nazywamy się już nie KOP, a 135 Pułk Piechoty. Dowódcą jest pułkownik Tabaczyński. Oficerowie już mają uniformy nie galowe, a polowe. W pułku

* Był zwyczaj, że do kościoła kompanie szły razem, każda ze swoim dowódcą. Kościół mieścił się na terenie pierwszego fortu, za kanałem. Przy głównej ulicy, którą wracało się do fortu centralnego – bo tam stacjonowały kompanie – ustawiona była obszerna, podwyższona arena, z której defiladę odbierał zawsze oficer inspekcyjny twierdzy mający służbę w tym dniu. Czasem był tam również pułkownik Tabaczyński, czasem podoficer służbowy. Dużo stało tam osób cywilnych z rodzin oficerskich i rodzin pracujących podoficerów zawodowych. Orkiestra grała marsze defiladowe.

poznajemy majora Nowickiego, kapitana Janiurka, porucznika Krępickiego (pracowali w zarządzie twierdzy). Słyszymy też o jakimś kapitanie Raginisie. Zobaczyłem go raz. Jakiś taki młody. Formują się kompanie. Jak grom z jasnego nieba spada na mnie wiadomość, że zostałem wcielony do kompanii trzeciej porucznika Więcka jako dowódca drużyny. Przecież ja pracuję w biurze! Dowiaduje się o tym szef Tabaka. Interweniuje, mówiąc, że ja jestem jego pracownikiem, a poza tym inwalidą, bo mam chorą nogę. Jakimś cudem w ostatnim momencie pomaga to, zostaję wycofany. Podejrzewamy, że byłem ofiarą serii. Likwidowano bowiem ową podchorążówkę, przydzielając żołnierzy stamtąd do grup frontowych, więc i mnie jako chwilowego ich dowódcę przydzielono do kompanii frontowej.

Dwa dni później cały pułk 135 pod dowództwem pułkownika Tabaczyńskiego wyruszył na obsadzenie granicy polskiej w rejonie Wizny i Góry Strękowej. Wojna jeszcze nie wybuchła. Osowiec opustoszał, ale nie całkowicie. Pozostały różne oddziały pomocnicze i gospodarcze, a także prawie całe biuro twierdzy. Utrzymywano łączność z pułkiem. Tworzony był tabor pułkowy, bo wiadomo było, że wobec bliskości granicy pułk się w tym miejscu nie utrzyma. Pakowało się różne akta z wszystkich wydziałów, rozmaite urządzenia z kuchni, rzeźni, piekarni, zasoby magazynowe, broń, żywność. To były przygotowania do ruchu frontowego.

Dociera do nas wiadomość, że polskie wojska na południu kraju rozpoczęły już walkę, zajmując stację rozgłośni radiowej w Gliwicach. Przecież wojny jeszcze nie ma, a Gliwice leżą kilkadziesiąt kilometrów za naszą granicą. Co? Jak? Konsternacja. Dopiero po dłuższym czasie okazało się, że był to fałszywy zarzut niemieckiej propagandy. Niemcy chcieli mieć powód do ataku na Polskę. Zebrali więc ze swoich więzień kilkunastu skazanych na karę śmierci, przebrali w mundury polskie i sami uszkodzili radiostację, przy czym więźniów rozstrzelali, a następnie rozgłosili, że był to oddział polski.

1 września 1939 roku wybucha wojna. Przez radio otrzymujemy wiadomości z frontu w Westerplatte i na zachodzie. Na odcinku z Prusami Wschodnimi spokój. Następnego dnia słyszymy pomruki samolotów niemieckich i informacje o koncentracji artylerii w Prusach. Wreszcie pierwsza wiadomość z frontu. Wojska niemieckie uderzyły na wschodni odcinek granicy strzeżony przez nasz pułk. Polacy odrzucili atak i zajęli już niemiecką miejscowość Prostken (teraz nazywa się Prostki, to małe miasteczko). Uciecha! Ale ginie pierwszy polski żołnierz – kapral Zych, sanitariusz. Podczas opatrywania rannego żołnierza. Dostaje w plecy odłamkiem artyleryjskim i umiera na miejscu.

Rozpoczyna się morderczy ogień artylerii niemieckiej – naszej artylerii jest tu bardzo mało, jak wszędzie. Nie widzimy w ogóle polskiego lotnictwa. Za moczarami biebrzańskimi stoją całe dywizje czołgów feldmarszałka Guderiana*.

W tym czasie zginął w Osowcu Jerzy Czerwiński, mój kolega, który przed wojną obsługiwał radiowęzeł lokalny. Na wojnie otrzymał zadanie zaopatrywania żołnierzy frontowych w różne artykuły spożywcze, jak pieczywo, konserwy, papierosy, rozmaite wyroby cukiernicze i tym podobne (żołnierze mogli je od niego kupić; oprócz tego dostawali normalne wyżywienie z kuchni wojskowych). Posiadał do tego potrzebny sprzęt – trzy wozy parokonne z furmanami – oraz zastępcę. Wozy wyładowane były tymi wszystkimi towarami. Miał działać na tak zwanym oddechu lub odwodzie, kiedy żołnierze po walce odpoczywali. Pewnego dnia samolot niemiecki heinkel zbombardował dworzec w Osowcu i został rozbity cały wagon konserw puszkowych. On podjechał tam i chciał nabrać na wozy trochę tych konserw. Dostał serię z karabinu maszynowego z samolotu, krew uszła, zginął na miejscu. Sierżant Tabaka natychmiast zareagował (chyba wiedział już, że czeka nas długa tułaczka):

– Szczepan, siadaj na te wozy, masz chorą nogę.

Poinformował mnie, że mam prawo zaopatrywać się w różne towary na trasach wojennych, a nawet konfiskować na kwity. Rozliczać będę się z pełnomocnikiem od tych spraw, porucznikiem Madejem z działu płatnika. Było mi to na rękę, tym bardziej że podobne funkcje frontowe otrzymali i moi koledzy ze szkoły, Kolasa i Krawczyk. A wszystkimi takimi zajęciami zajmował się szef kancelarii Tabaka.

Szkoda mi było Jasia (bo tak go nazywaliśmy), gdyż dopiero przed paru tygodniami puszczał mi z głośnika marsze, jak uczyłem podchorążówkę chodzić.

---

* Czterodniowa walka o zdobycie przejazdu przez bagna całej dywizji czołgów opisana jest w wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej pod tytułem *Reduta pod Wizną* (broszura jest w moim posiadaniu). Tytułowa reduta był to wał obronny z sześcioma betonowymi stanowiskami ogniowymi. Bronił jej kapitan Raginis (którego widziałem raz w Osowcu) oraz jego zastępca porucznik, nazwiska nie pamiętam. Obaj ci dowódcy popełnili samobójstwo po przegranej walce. W wyżej wymienionej broszurze opisuje się też rozmowę pułkownika Tabaczyńskiego z Rydzem-Śmigłym, który wydał rozkaz opuszczenia przez pułk placu boju, co wiązało się z pozostawieniem samotnych żołnierzy w schronach bojowych. Pułkownik sprzeciwił się, ale otrzymał kategoryczny nakaz wykonania rozkazu. Zebrał resztki pułku z Osowca i kontynuował kurs na południe Polski. Dywizja Guderiana zajęła część kraju na wschód od Warszawy. Z naszych żołnierzy niewielu pozostało, a było ich siedmiuset czterdziestu.

Była już noc, gdy reszta pułku z pułkownikiem dotarli do Osowca. Po paru godzinach opuściliśmy go na zawsze*.

Znajdujemy się koło Augustowa, w jakiejś nieznanej nam wiosce. Noc. Ładujemy cały tabor pułkowy na podstawiony pociąg ciężarowy. Są lory pod wozy, są wagony kryte, węglarki. Dużo kłopotu jest z końmi, wozami, dyszlami, uprzężą, ładunkiem na wozach. Trwa to do rana. Ruszamy na wschód. Kręcimy się nieraz w kółko, bo niektóre tory są rozerwane przez bomby. Jedziemy przez Łonimeć, Słonim, Skidel, Baranowicze. Witają nas w tych miasteczkach jakieś młode dziewczyny, biją brawa – nie wiemy za co – rzucają kwiaty. Jakoś wydostajemy się z tego nowogródzkiego gąszczu. Rzucamy mężczyznom stojącym koło torów papierosy, których nam jeszcze nie brakuje. Obserwujemy wykopki i różne dziwy. Kobiety boso, ale z nogami od kostek do kolan owiniętymi jakimiś szmatami. Po co? Długie i cienkie żerdzie wbite skośnie w miękką ziemię. Na ich końcach, u góry, wiszą jakieś zawiniątka ruchome – żerdzie się kiwają. Pytamy, co to. To małe dzieci, umieszczone tam, by nie plątały się pod nogami i nie brudziły. A te owinięte nogi u kobiet to przeciw komarom. Na wszystko są sposoby.

Jedziemy na południe, w stronę Polesia. Stop! Jedyny prowadzący tam tor kolejowy zbombardowany. Cofamy się więc do najbliższej stacji z rampą wykładową. To stacja Kamień Koszyrski (szukałem jej w atlasie po powrocie do domu, ale nie znalazłem – była to chyba jakaś wioska). Wyładowujemy cały pociąg i formujemy z powrotem tabor. Trwa to do połowy następnej nocy. Znów idziemy dalej i dalej, wciąż na południe, po piachach, polnych drogach, bo innych – dobrych – tu nie znajdujemy. Map wojskowych na te tereny już nie mamy. Pchamy nieraz wozy, bo konie słabną. Nigdzie nie znajdujemy wody do picia, bo wsi tu też niewiele, na tych moczarach Prypeci. Zresztą w studniach często wody nie ma. Wyschła z powodu ciągłych upałów.

---

* O Osowcu już trochę opowiedziałem. Kilka razy pisałem tam, by odnaleźć dziewczynę, Zosię Masłowską, którą bardzo kochałem i to z wzajemnością. (Miałem tam zostać, bo jej ojciec akceptował nasze uczucia). Odpowiedzi jednak nigdy nie otrzymałem. Po wielu, wielu latach czytałem w prasie reportaż z Osowca. Prawie nic tam już nie ma. Został zbombardowany. To, co pozostało z twierdzy, jest pilnowane przez jakiś oddział wojskowy i trzeba mieć przepustkę, aby wejść. Wszystko jednak już w zgliszczach i bez życia. Żal mi jest Osowca do dziś. W tym reportażu była opowiedziana anegdota, że któryś z carów Rosji, gdy wizytował nowo oddaną do użytku twierdzę, z uśmiechem na ustach oświadczył: „Na ten Osowiec to poszło, jak widzę, tyle złota, ile ważą wszyscy nasi żołnierze tu przebywający". Oczywiście był to żart, który jednak świadczył o rozmachu tej inwestycji i ogromnym koszcie jej zrealizowania.

W nocy przejeżdżamy przez ciężki do pokonania bór. Trzy wozy ze skrzyniami wpadają nagle w jakąś niewidzialność, jakąś przepaść. Nie można ich stamtąd wydostać. Jeden koń ma połamane nogi. Wozy porzucamy. Koń zostaje zastrzelony i przekazany kucharzom. Kuchnie nadal jadą z nami; może będzie konina na obiad…

Wydostaliśmy się jakoś z tego lasu. Przed nami wieś. Wchodzimy tam wczesnym rankiem. Brama tryumfalna z napisem „Witajte braty". Dom ludowy, a w nim jakiś komitet powitalny. Konsternacja – oni oczekiwali na inne wojsko, nie nasze. Kapitan Naróg (był w Osowcu szefem umundurowania) strasznie zaklął, zebrał kilkunastu żołnierzy, wpadł tam i każdemu z tych delegatów dał po kilka kopniaków w tyłek. Uciekali w popłochu. Za chwilę jednak zaczęły płonąć trzy domy zamieszkałych tam Polaków. Opuszczamy szybko tę wieś. I znów na południe. Po obiedzie nad nasz korowód pułkowy nadlatują od wschodu trzy radzieckie dwupłatowce. Lecą dość nisko, widzimy lufy karabinów maszynowych wmontowanych w boczne ściany samolotów. Nie strzelają do nas, lecz machają białymi płótnami i zrzucają ulotki. Czytamy. Wzywają do rozbrojenia się, bo nasi dowódcy nas już opuścili i tym podobne. Po okrążeniu pułku odlatują na wschód. Idziemy dalej do końca dnia i zatrzymujemy się w lesie na wypoczynek nocny. Pijemy kawę gorącą i posilamy się. Drzemiemy na uciętych pniach drzew. Rano, wypoczęci, niektórzy nawet ogoleni i umyci, jedziemy, a raczej idziemy pieszo koło wozów. Jakaś babcia stoi przy drodze z dużą butlą i kiwa na nas. Podbiega do niej mój zastępca (kapral Surowiec) i pyta, o co chodzi. Ona chce naszemu wojsku to dać za darmo.

– To jest sok z borówkami – mówi.

Surowiec dźwiga butlę do wozów naszych i pyta:

– Dać tej babci co za to?

– Daj jej kawał mydła i jakąś konserwę – odpowiadam (te rzeczy miałem dla żołnierzy w sprzedaży).

On złapał ponad kilo tego mydła i kilową konserwę. Podziękowała, uśmiechnęła się i otarła łzy z oczu. To była dobra Polka.

Idziemy dalej. Który to już dzień? Straciliśmy rachubę. Słońce nadal przypieka. Wchodzimy w duży kawał wyciętego lasu. Rozkaz zatrzymać się. Siadamy na pniach po ściętych drzewach. Kuchnie wydają już obiad. Jemy go właśnie, gdy od wschodu nadlatują znów, tak samo jak wczoraj, samoloty. Też trzy. Może te same? I znów kiwają do nas białymi kawałkami płótna. My do nich też, bo rozkazu do ostrzelania ich nie było, pomimo że naruszyli już granicę naszego kraju. I znów okrążyli nas, zawrócili i odlecieli. Po obiedzie przeszliśmy ten las; dalsza jego część nie była wycięta. Natrafiliśmy na wieś, taką jakąś niepolską. W środku

duży i dość głęboki staw, nad nim remiza strażacka kryta blachą, a nie słomą, a wokół stawu gęste zabudowania – chałupy chłopskie z drewna kryte słomą. Było ich około czterdziestu–pięćdziesięciu. Słońce już chyliło się ku zachodowi. Rozkaz: „Wypoczywamy. Konie napoić, karmić. Ruszamy stąd nocą". Zrobił się rwetes. Furmani za wiadra, bo zwierzęta były tak spragnione, że piana ciekła im z pysków. Jest podobno takie przeświadczenie, że koń pije tylko czystą wodę. A tu piły i piły tę wodę ze stawu, pomimo że czysta wcale nie była. My, żołnierze, pozdejmowaliśmy buty, by nogi wypoczęły, i ułożyliśmy się na trawie. Odpoczywamy. Ludności za wiele nie widzimy. Tylko kilka starszych kobiet.

Po chwili wypoczynku słyszymy nad lasem, z którego wyszliśmy, jakiś głuchy pomruk. Nasila się. Znad drzew wylatuje eskadra, za nią druga, trzecia i kolejne. Zrywamy się, wciągamy buty, chwytamy karabiny. Liczymy. Jest ich osiem, w każdej po trzy samoloty. Ale przelatują nad nami dość nisko i lecą dalej. Patrzymy za nimi. Wreszcie widzimy wystrzeloną czerwoną rakietę. Samoloty robią jakieś przeformowanie i zawracają. Słyszymy huk kilku bomb i strzały z cekaemu, dość daleko jeszcze. Wiedzieliśmy jednak, że tam znajduje się jakaś nasza kompania podążająca szlakiem równoległym do naszego, też na południe. Nie ma czasu na domysły. Te dwadzieścia cztery samoloty są już nad nami. Zrzucają bomby – małe, dwudziestokilogramowe, zapalające. Huk karabinów maszynowych. We wsi palą się domy, jeden po drugim; widzimy straszne sceny wśród cywilnej ludności. My w środku tych pożarów. Konie w zaprzęgach skaczą w panice po sobie. Biegniemy bezładnie, niektórzy jeszcze boso. Nie ma żadnych rozkazów. Zupełne zaskoczenie. Gonimy do remizy. Ona jeszcze się nie pali. Ma dach z blachy i sufit z desek. Serie pocisków przebijają je. Deski zaczynają się tlić koło przebić. Wpada do remizy Franio Krawczyk, blady. Na jego plecach widzę dużą plamę krwawej piany. Słania się. Pomagam mu usiąść na podłodze koło ściany, ale nie może. Patrzę na jego przedziurawioną cholewę od buta. Mówi:

– Tam też dostałem. Chciałem tylko wrócić się po karabin*.

A samoloty latają w kółko, tam i z powrotem, leją bez przerwy. Palą się już chyba wszystkie domy. Zauważamy w niektórych jakieś wybuchy. Może była tam gromadzona broń? Chcemy ratować przestraszone konie. Pasy i uprzęże

* W wojsku była taka zasada: „Jeżeli masz broń, to trzymaj ją zawsze w zasięgu ręki, nawet we śnie". Leżeliśmy przedtem na trawie razem. Ja i Kolasa mieliśmy karabiny przy sobie. Franio Krawczyk zostawił swój przy wozie. Chciał więc po niego podbiec i tam dostał pięć postrzeleń – cztery w plecy i jedno w nogę. Był jedynakiem. Kochał bardzo swoją matkę i często do niej pisał. Był też dobrym kolegą… I zginął.

są jednak tak napięte, że nie możemy ich ani rozpiąć, ani przeciąć. Wiele koni z przełamanymi orczykami i poobrywanymi pasami biega daleko po polu. Strzelamy do tych, które już kończą życie. Takie piekło trwa piętnaście–dwadzieścia minut. Robi się ciemno. Samoloty odleciały. Teraz słyszymy rozkazy naszych przełożonych. Łapać zdrowe konie, gasić pożary w taborze, gromadzić rannych w miejscu, gdzie działa nasz jedyny lekarz. Zebrać wszystko, co się jeszcze nada do dalszego marszu. Nikt do nikogo nie ma żadnych pretensji. Wszyscy byliśmy tak perfidnie przecież zaskoczeni. Co będzie dalej?

Straciliśmy parę koni, kilka nam chyba ukradli ludzie z sąsiednich wsi. Trochę mamy pokiereszowaną zawartość wozów, bo strzały i bombki padały gęsto. Strat w ludziach niewiele. Trudno jednak obliczyć ile. Może część po prostu uciekła w tej panice do swoich domów, widząc, że wojna ma się już ku końcowi? Zginęło jednak dużo ludności cywilnej. Od tych pożarów, od tych wybuchów dziwnych. Wielu, jak przypuszczamy, spaliło się żywcem w domach, które płonęły jak pochodnie. Ja straciłem dwa konie. Jeden zginął od kul, drugiego nie odnalazłem. Albo ktoś go zdołał odpiąć i uciekł gdzieś dalej, albo został może przez kogoś złapany. Jeden wóz był nadpalony, ale nadawał się do użytku. Przeładowaliśmy z niego pozostałe towary do naszych dwu i oddaliśmy do dyspozycji taboru. Furmani przeżyli bez szwanku.

Rano wyjeżdżamy z tych zgliszcz. Gdzie, po co – sami już nie wiemy. Jedziemy jakąś polną drogą. Obok, na ściernisku, widzimy kilka ciał ułożonych w rzędzie. Podchodzę i rozpoznaję Krawczyka. Ściska mi się serce. Kolasa dowiaduje się od jednego z podoficerów, że rannych z tej wsi sanitariusze zabrali do swojego wozu z zamiarem ulokowania ich gdzieś w szpitalu. Zmarłych w transporcie zostawiono koło drogi; oddział sanitarny grzebał ich i ewidencjonował tabliczki.

Tracimy coraz więcej sił. Co i rusz większe, dłuższe lasy. Piachy. Brniemy przez to wszystko na nogach. Czy jesteśmy już gdzieś w rejonach Puszczy Białowieskiej? Czy może nie minęliśmy jeszcze Brześcia? Bo nie widziałem na pozostałych drogowskazach nazwy tego miasta, przecież dużego. Jeszcze trochę, jeszcze trochę… Ile kilometrów możemy w ciągu dnia pokonać? Dwadzieścia? Trzydzieści?

Nadszedł wreszcie koniec tej mordęgi. Kapitan Naróg (ten, który w jakiejś wsi przedtem tak pięknie przywitał komitet z bramą tryumfalną „Witajte braty") wstrzymał cały nasz biedny pochód. Powołał się na pułkownika Tabaczyńskiego; przemówił do nas krótko, ale dosadnie. Tak olbrzymim siłom, zjednoczonym w tajnym porozumieniu, napierającym z dwu stron, Polska – jako młode jeszcze i biedne państwo – nie może stawić czoła swoją małą armią. Dziękuje nam zatem za dotychczasowy trud i rozwiązuje 135 pułk. Wzywa przy tym do

oddania salw honorowych. Broń rozbroić, zamki z karabinów wyjąć, wyrzucić do znajdującego się obok bagniska, broń też. Dokumenty spalić, wozy opróżnić, konie wyprząść i można, kto umie, jechać na nich do swoich domów.

Tak skończyło się życie pułku – w sposób nieoczekiwany. Wyższych oficerów przy tym rozwiązaniu nie widzieliśmy. Chaotyczne było również nasze ogólne pożegnanie. Nie widziało się tworzących się grupek, które zmierzałyby w jednym kierunku; jakichś powiązań z pracy i jakiegoś zżycia się. Każdy pakował do wojskowych torb takie rzeczy, które pomóc mu mogły w powrotnej drodze, i spokojnie, z powagą na twarzy, odchodził w swoją stronę.

My z Kolasą, kolegą z suwalskiej szkoły, dumaliśmy, co robić dalej. On miał swój dom koło Ostrowca Świętokrzyskiego, ja koło Rzeszowa. Drogi nasze rozwidlały się: on szedł na zachód, ja na południowy zachód. Postanowiliśmy jednak iść jeszcze kawał drogi wspólnie. Nagle pojawił się koło nas Guliński Stefek, z którym też znaliśmy się jeszcze z Suwałk. Szukał nas, bo wiedział, że my pracowaliśmy razem w kancelarii Tabaki. Dźwigał coś ciężkiego na plecach. Była to słonina, taki duży płat sięgający mu od szyi do bioder, do którego dodrutował jakieś pasy na ramiona. Śmiejemy się razem, ale on odpowiada:

– A z czego będziemy żyć w drodze? Przecież do domu daleko.

Miał rację. Szybko opróżniamy nasze torby z masek gazowych, chlebaków, tornistrów, ładownic. Napychamy tam, co się da, ale głównie jedzenie. Ja na obu wozach mam jeszcze dużo towarów. Resztki konserw, miód, kostki sucharów wojskowych. Najwięcej, bo cały jeden wóz, to tytoń: średni, przedni i najprzedniejszy. Całe pudła bardzo dobrych i drogich papierosów, jak Korale, Złota Pani, Damesy, Egipskie, i trochę gorsze marki – Sport, Wiarus, Czołem. Jest jeszcze pół gąsiora borówek, które podarowała nam babcia. Są piękne wełniane koce wojskowe – zielone, nieużywane jeszcze, wydane prosto z magazynu, po jednym na żołnierza. Kolasa ma sporo spirytusu i wódek oraz wina, bo prowadził w zastępstwie frontowe kasyno oficerskie. Guliński, jak się okazało, ostatnio zaopatrywał kuchnie – stąd ta słonina.

Pakujemy wszystko gdzie się da, nawet trochę do koców. Szkoda to tak zostawić. Podchodzi też wielu różnych żołnierzy, pytają, czy można. Oczywiście. My już opuszczamy ten cały wojenny majdan. Ja mam przy sobie dość znaczną sumę pieniędzy, bo porucznik Madej nie zgłosił się po nie. Kolasa i Guliński prowadzili jakąś sprzedaż w swoich działach i też chyba coś grosza mają. Jest nas już trzech starych kolegów z niemałym ciężarem. Idziemy na południowy zachód.

Słońce zbliża się do horyzontu. Trzeba by gdzieś zanocować. Przed nami wioska Wyżwa Nowa, jak głosi tablica informacyjna. Idziemy do pierwszej chaty. Pytamy, czy by tu nie można przenocować. Młoda kobieta każe zaczekać, aż

mąż wróci z pola. Mówi po polsku, ale z wykoślawionym akcentem. Usiedliśmy. Mąż wraca. Pytamy o nocleg i częstuję go od razu egipskim. Zdziwiony ogląda, wącha. Mówi, że można, ale mają ciasno, bo izba jedna, i musielibyśmy spać na słomie. Zgadzamy się – spaliśmy jeszcze gorzej. Zaczynamy rozmawiać. On bierze się za obieranie ziemniaków. Malutkich. Ja mówię, że takie drobne to u nas daje się kurom i dla świń.

– U nas większe nie rosną, panie. Tu ziemia chuda i piach, sam piach. Zboże się nie udaje. Na dobrych kawałkach to można siać jęczmień, ale rośnie jakiś nijaki. Sieje się proso, tatarkę i sadzi takie ziemniaki.

Ja mówię:

– A na przykład na jakieś święta?

Żona wtrąca się do rozmowy:

– Panie, kupuje się kilo mąki pszennej na pierogi i placek.

Pytam o mięso, wędliny, chleb.

– Czasem zabije się królika, chleba mało się piecze, ale pieczemy placki z żytniej mąki, bo można ją dostać w sklepie.

Guliński odkrawa cały pasek słoniny i daje jej, mówiąc, że zjemy kolację.

– Macie jajka? Zapłacimy.

Ona zakłopotana, ale śmieje się.

– A ile tych jaj trzeba?

Mówimy, że dwadzieścia–trzydzieści sztuk. Znów śmiech. Ja wyjmuję puszkę konserwy i daję jej dziesięć złotych z tysiąca, który mam przy sobie. To przecież nasza pierwsza napotkana na wojnie polska rodzina. Kobieta leci gdzieś do sąsiadów i za chwilę przynosi w podołku trochę jaj i jakiś rondel. Sami przygotowujemy tę kolację, bo widzimy duże zakłopotanie i jej, i męża. Kolasa wyciąga pół litra wina. Pojedliśmy i napiliśmy się wspólnie, porozmawialiśmy trochę o warunkach u nich i w naszych stronach. Mieli syna sześcio- czy siedmioletniego; nawet nie pytaliśmy, czy chodzi do szkoły. Mąż i żona spali na piecu, tam było ich legowisko, syn w kącie pokoju, na skleconej jakiejś desce. Biedni nie do opisania. Opuściliśmy ten dom rano, bo miliony much nie dały długo spać. Żegnali nas czule.

Niedaleko od tego miejsca wchodzimy na jakąś szeroką drogę, po której jedzie kilkanaście czołgów radzieckich. Ale widzimy też, że poboczem dość gęsto idą na zachód żołnierze z rozbrojonych polskich oddziałów. Rozmawiają z Rosjanami, częstują papierosami. Dołączamy się i my, bo suchą drogą zawsze lżej maszerować. Idziemy tak parę godzin. Za nami widać jakiś mały zwarty oddział ruskich. Atmosfera przyjazna.

Guliński trochę kuleje. Mówi do nas:

– Idźcie powoli, bo mnie zwinęła się w bucie onuca i muszę poprawić. – Schodzi do rowu, ściąga buta.

Coś się nagle zaczyna dziać. Drogą przejeżdża samochód ruski, jakiś oficer wychyla się i krzyczy coś. Nie rozumiemy go. Rosjanie nagle zaczynają łapać naszych żołnierzy i ciągnąć ich do samochodu. Zrobiło się zamieszanie, rwetes nie do opisania. Z Kolasą zaczynamy wołać Stefka, ale go nie widzimy. Uciekamy obaj w pole co sił w nogach. Za nami trzech ruskich, ale zatrzymują się, bo byliśmy już daleko. Żołnierze nasi, których jeszcze nie zdołano zamknąć w samochodzie, rozbiegli się.

Co się tak nagle stało? Rosjanie otrzymali chyba jakiś pilny rozkaz wyłapywania polskich żołnierzy. My z Kolasą zostaliśmy znów sami. Zaszyliśmy się głęboko w lesie i postanowiliśmy unikać już dróg.

Kierujemy się ciągle na zachód, chcąc oddalić się od granic Związku Radzieckiego. Już długo po południu napotykamy w lesie szałas i zarośniętego starszego mężczyznę. Pali ognisko; koło szałasu stoją jakieś beczki. Zbliżamy się, bo on coś tam grzebie. Na nasze pozdrowienia nie odpowiada, długo na nas patrzy. Po chwili się odzywa i zaczyna z nami rozmawiać. Myślał, że my to ruscy, bo nie znał naszych mundurów. A siedzi tu w lesie całymi tygodniami, ponieważ zbiera żywicę i handluje nią. Z kim? Po co? Co się z tego robi? On też nie wie, ale zbiera całe beczułki, bo kupuje to od niego jakiś pan. I on z tego żyje od dawna. Wie, że wybuchła wojna – słyszał już samoloty i strzały – ale o co i z kim to nie ma pojęcia. Zanocowaliśmy u niego, a raczej koło jego ogniska. Rano pytamy, w którą stronę jest Brześć, bo straciliśmy orientację. Pokazał ręką na południe. Zobaczymy, czy się nie pomylił.

Ten jego kierunek trochę nam się nie podobał, jednak pomaszerowaliśmy w stronę, którą wskazał. Okazało się, że starzec miał rację. Uszliśmy chyba tylko dwadzieścia kilometrów, gdy ujrzeliśmy pierwszy drogowskaz z polskim jeszcze napisem „Brześć Litewski". Przyspieszyliśmy kroku – tak chcieliśmy mieć już to miasto za sobą. Zbliżał się wieczór, gdy dotarliśmy w jego okolice. Omijaliśmy je, trzymając się jakieś dwadzieścia kilometrów od jego granic, gdyż nadziewaliśmy się tam już na rusków.

Zanocowaliśmy niedaleko Bugu, u jakiegoś chłopa gaduły, który opowiadał nam bez końca, jak Niemcy bombardowali most kolejowy na rzece przez trzy dni. Zryli bombami wszystkie pobliskie łąki, a w most trafili tylko jedną. I to tak, że przez Bug po przęsłach przejść wciąż można, tylko pociąg nie przejedzie. Był bardzo gościnny. Poczęstował nas dobrym wiejskim chlebem, którego od tak dawna nie jedliśmy, i pełnym mlekiem. Rankiem ruszyliśmy w drogę do tego mostu, o którym opowiadał, by przekroczyć Bug. Widzieliśmy te poniszczone

bombami łąki, a przez most faktycznie bez trudu przeszliśmy, trochę jednak ze strachem, spoglądając na szumiące pod nami fale tej ważnej polskiej rzeki.

Na drugim brzegu nie zastajemy jednak spokoju. Wojsko radzieckie już opanowało te tereny. Mosty na rzekach poniszczone. Zgrupowania wojsk rosyjskich utrudniają swobodne poruszanie się wojsku polskiemu po rozbrojeniu. Są łapanki na drogach, polach, wszędzie. Trudno przebrać się w jakieś cywilne łachmany. Idziemy, jak się da, głównie lasami, omijając wsie, drogi, rzeki. Niedługo po przekroczeniu Bugu widzimy leżący na brzegu jakiejś rzeki pień drzewa. Nie ma tam nikogo. Zbliżamy się. To było czółno dłubane w pniu. Wsiadamy, bo nam pasowała ta przeprawa. Woda czysta. Dość głęboko, ale widać dno i płoszące się duże ryby; jest ich dużo. Nie wiedzieliśmy, jaka to rzeka. Któryś dopływ Bugu. Może Wieprz? Idziemy dalej na południe polną drogą. Nagle podjeżdża do nas jednokonny wóz i woźnica krzyczy:

– Siadać, siadać szybko!

Siadamy. On popędza batem konia i mkniemy. Gdzie? Wjeżdżamy na otoczone kilkoma zabudowaniami podwórko jakiegoś gospodarstwa.

– Wysiadać! Do stodoły!

Wpycha nas do jakiejś ciemnej dziury w słomie. Odstawia jedną wiązankę, robi się jaśniej. Widzimy tam około dziesięciu żołnierzy w polskich mundurach. Okazuje się, że w rejonie tej wsi – Siedliszcze czy jakoś inaczej, już dokładnie nie pamiętam – ruscy zorganizowali generalną łapankę żołnierzy polskich. Gospodarze jeździli konno i wozami po polach, chcąc ratować naszych. Melinowali ich w tej stodole; inni zaś zabierali stamtąd po jednym lub po dwóch – niby jako robotników – do siebie na dwa, trzy dni, aż ta akcja ucichnie. (Chwała im!) Siedzieliśmy z Kolasą przez trzy dni u jakiegoś bogatszego gospodarza. Spaliśmy na strychu. Potem, wypoczęci i syci, ruszyliśmy w dalszą wędrówkę.

Po przejściu kilkudziesięciu kilometrów widzimy, jak z zarośli wyłania się jakiś patrol – trzech mężczyzn w ciekawych czapach i mundurkach. Wołają:

– Stać! Stać! Ręce do góry!

Mają broń, więc wykonujemy polecenie. Podchodzą do nas, pytają, czy jesteśmy uzbrojeni, obmacują od stóp do głów. Przedstawiają się jako ukraińscy patrioci. Częstuję jednego z nich papierosem. Nie bierze, dziękuje i mówi, że są nacjonalistami czy czymś tam; dokładnie nie zrozumiałem, bo języka ukraińskiego nie znam. Zaciekawiło mnie jednak, że w tym rejonie są już Ukraińcy. Przecież jesteśmy dopiero powyżej Chełma. Ruś Zakarpacka, gdzie masowo mordowało i paliło się Polaków, jest daleko stąd na południu. Może to była jakaś samozwańcza samotna grupa? Przekonaliśmy się jednak dwa dni później, że Ukraińców było tam już wielu.

Niedziela. Idziemy dróżką tuż pod jakimś lasem. Z prawej strony mamy rozległe łąki, na których, dość daleko od nas, jacyś chłopcy pasą krowy. Dostrzegają nas, zaczynają coś wołać, a po chwili strzelać w naszą stronę z karabinów. Mali chłopcy! Pociski trzaskają koło nas. Wchodzimy szybko w las i zaczynamy oddalać się od nich. Zostają w tyle. Spokojnie idziemy w stronę wsi, bo przedtem dowiedzieliśmy się, że tam jest bród na rzece, przez który można przejść na drugą jej stronę (most był zerwany). Dochodzimy do szerokiej drogi biegnącej w poprzek lasu, wiodącej wprost przez wieś i do rzeki. Jakiś staruszek pędzi tą drogą kilka krów z lasu do wsi. Czekamy, aż te krowy przejdą. Za nimi wychodzi spacerkiem grupka młodych ludzi, kobiety i mężczyźni. Weseli, rozbawieni, śmiejący się. Ukraińcy! Poznajemy ich po świątecznych ubiorach i pięknych naszywkach kolorowych na kołnierzach, rękawach i zapinkach. Czekamy, aż przejdą, ale oni otaczają nas. Naigrywają się z nas, urągają nam. Robimy krok naprzód, by nas przepuścili. Śmieją się i nie puszczają. I znów wymyślają. Ale idzie od strony wsi jakiś starszy już mężczyzna, krzyczy na nich z daleka i zaczyna ich łajać. Ostro i długo. Spoważnieli i zaczynają odchodzić. Mężczyzna zbliża się do nas.

– Wy z wojny? – pyta.

– Tak, idziemy do domu.

– Dokąd?

– Jeden do Kielc, drugi do Rzeszowa.

– Nie mieliście innej drogi?

Tłumaczymy, że tu jest podobno przejście przez rzekę.

– Jest – mówi – ale czy wiecie, ilu takich jak wy leży tu, koło tego brodu?

Struchleliśmy i nic nie mogliśmy odpowiedzieć. On wyjaśnia. Okazuje się, że to sołtys tej wsi. Jest Ukraińcem, tak jak ci, którzy nas zaczepiali. Ożenił się z Polką dwadzieścia lat temu. Był zawsze poważany. Słuchali go. Służył w wojsku polskim, tak jak my teraz, w Radymnie koło Przemyśla. Zna rodziców tych młodych ludzi. Ale ci młodzi zwariowali. Wielu z nich stało się mordercami, jak zaczęła się przed wojną ta sprawa na Rusi. On nie ma już sił, chociaż robi, co może, żeby nie brnęli w to dalej. Rodzice ich są obojętni na jego starania. On teraz po prostu boi się o swoje życie. Jest odosobniony, oparcie ma jeszcze w pewnej liczbie mieszkających tu Polaków i w niektórych Ukraińcach. A ci młodzi są już winni wielu zabójstw i rozbojów na tym terenie. Jest wojna, chaos, brak dozoru, oni zaś działają skrycie.

Mówi całkiem nieźle po polsku, ale niezbyt dobrze go rozumiemy. Zastanawia się chwilę.

– Prześpicie się u mnie. Ja was rankiem przeprowadzę przez ten bród.

Jesteśmy ucieszeni. Dziękujemy różnymi słowami. Idziemy szybko. Dajemy mu każdy po jednym kocu i sporo papierosów; Kolasa wyciąga spirytus. Żona jego Ukrainką nie jest, ale ukraiński język dobrze zna i miesza go z polskimi wyrazami. Częstuje nas kromami chleba z masłem i gorącym mlekiem. On ponagla nas do spania, bo jako sołtys boi się, by ktoś nie zobaczył nas w jego domu. Idziemy na tył podwórza, do murowanego budynku z chlewami. Tam będziemy spać, na stryszku na sianie. Włazimy po drabince do facjatki. Siano ładnie pachnie, pomruku świnek nie słychać. On zamyka nas od zewnątrz na kłódkę i odchodzi.

Zaczynamy się zastanawiać. Jest Ukraińcem, ci młodzi przedtem tak jakoś go szybko usłuchali i odeszli, nie zauważyliśmy nawet dokąd. On widział, że my mamy nowe porządne mundury i wypełnione czymś torby. Przecież może w nocy razem z nimi popodrzynać nam gardła, bo nas zamknął, pozabierać nam wszystko, nas zakopać lub rzucić do rzeki... Może jego różne opowiadania o sobie to mistyfikacja? Boimy się i zaplanowaliśmy usunąć z daszku trochę dachówek, by w razie czego móc uciekać w ciemną noc, a przede wszystkim nie spać i nasłuchiwać, czy nie będzie się coś koło nas działo. Chcieliśmy, by przynajmniej jeden z nas nie spał. Nie udało się.

Jak długo trwał nasz sen – nie wiemy. Ciemno jeszcze było, gdy usłyszałem jakiś szelest na podwórku. Szarpię Ignacego za kolano. Budzi się. Ktoś stąpa tuż koło ścian chlewika. Słyszę drabinkę opieraną o deskę facjatki i stąpanie po szczeblach. Zgrzyt klucza w kłódce. Otwierają się drzwiczki i jakaś ręka maca po sianie i mojej nodze.

– Panowie, wstawać. – Słyszymy wypowiedziane półgłosem. To gospodarz.

Odetchnęliśmy. Zerwaliśmy się na równe nogi. Na podwórku stał już zaprzęgnięty w jednego konia wóz. Gospodarz poucza nas cicho, byśmy leżeli w słomie na pomoście wozu. A gdyby w rzece woda zalewała nam usta, to mamy unieść głowy do góry. Podciął konia, ruszyliśmy raźno przez wieś i cicho nawet, bo droga była piaszczysta. Wjechaliśmy w rzekę. Woda troszkę nam boki zmoczyła, ale nie widzieliśmy żadnych band rabunkowych. Za rzeką wstaliśmy. Jechaliśmy jeszcze dwanaście kilometrów, do jakiejś wsi, gdzie jak się okazało, ten nasz wybawiciel miał siostrę zamężną z Polakiem. Powitali nas miło w swoim gospodarstwie; zastaliśmy w ich domu pełne dwie beczułki, każda z dwudziestoma pięcioma litrami spirytusu. Pochodził on z niedalekiego browaru, który został podczas wojny rozgrabiony. Był to spirytus nieoczyszczony jeszcze, mętny, z pierwszego ciągu, ale spirytus. Była libacja, dużo gotowanych jaj, chleba, mleka.

Bandy nacjonalistycznych „patriotów" ukraińskich też tu atakowały, ale już nie z takim ślepym okrucieństwem i nie tak często. Małżeństwa mieszane pozo-

stawiano w spokoju. Polskich rodzin było tu już więcej. Nasza biesiada trwała do późnego wieczora.

Następnego dnia z Kolasą zaczęliśmy debatować nad możliwością przemundurowania się na cywilów, bo patrole wojsk radzieckich w dalszym ciągu wyłapywały wojsko polskie. Tutejszy nasz gospodarz, znający mieszkańców wsi dobrze, zaczął przypominać sobie chłopców, którzy mniej więcej odpowiadaliby naszym wzrostom i figurom (Kolasa był o wiele wyższy ode mnie). Chodziło również o tak zwane dogadanie się z kandydatem, bo chociaż my mieliśmy mundury prawie nowe, to jednak mundury o kroju i kolorze wojskowym. Kolasa miał większe szczęście, bo jeszcze w tym samym dniu zamienił się ubraniem ze starszym już mężczyzną, któremu do gustu przypadły wojskowe buty z cholewami. Zaczął mi nawet salutować, bo ja byłem jeszcze wojskowym.

Dopiero dwa dni później i mnie się udało zdobyć cywilne ubranie. Syn jakiegoś gospodarza zgodził się na zamianę. Poszedłem je przymierzyć. Pasowało wielkością i było nawet niedługo noszone. Garnitur, kurtka ocieplana z kołnierzem ze sztucznej skóry i czapka. Po targu dopłaciłem sześćdziesiąt złotych i wróciłem już jako cywil.

Zatrzymało to nas na całe trzy dni. Mogliśmy jeść i spać do woli. Ustaliliśmy tam też trasę dalszego marszu, bo uważaliśmy, że za kilka dni drogi nasze muszą się rozejść. Kolasa na zachód, ja na południowy zachód. Wyznaczyliśmy większe miasta jako główny kierunek.

Idziemy żwawo, po wojskowemu, chociaż już cywile, i pewniejsi, że nas teraz nie zaczepi żaden obcy oddział. Okrążamy Włodawę. Mija dzień. Nocujemy w kopie suchego pachnącego siana na łące. Znów dalej. Omijamy Chełm. To już bliższe nam miasta, bliżsi ludzie. Łatwiej się zatrzymać, pogadać, napić wody, zapytać o czystą od Rosjan drogę, o niezerwane mosty, o wszystko.

Krasnystaw. Brodzimy po plątaninie jakichś porozrywanych szyn kolejowych, bo to miasto też chcemy obejść. Z daleka mijamy Lublin. Mamy już koło dróg drogowskazy. Nocujemy u kogoś w stodole. Wcześniej, do kolacji, dostajemy herbatę, jakąś taką o bardzo miłym zapachu. Informuje nas gospodyni, że tam jest i mięta, i szałwia, i rumianek, i wiele innych ziół zbieranych „gdziekolwiek". (Jak długo nie piliśmy herbaty? W wojsku była zawsze kawa – czarna i mocno chrzczona). Na śniadanie jest gotowana kura.

– Tak na drogę – mówi gospodyni.

Dajemy jej parę złotych. Nie chce wziąć, ale kładziemy pieniądze na stole i tam już zostają.

Kierujemy się do Kraśnika. Boże, już niedaleko nasza Wisła. Drogi nasze się rozejdą. Kolasa z radością mówi o swej ukochanej dziewczynie, która czeka na

niego. Byliby się już pobrali, gdyby nie wojsko. Zrobią to zaraz, jak wróci. Ja nie mam nikogo poza rodziną. On wie o tym. Namyśla się, po chwili mówi:

– Stachu, stąd do mnie jest bliżej niż do ciebie. Chodź ze mną. Napiszesz do rodziny, że jesteś chwilowo u mnie, by się nie martwili. Zapoznam cię z tą Stasią, o której tyle razy ci opowiadałem. To taka dobra dziewczyna. Ożeń się z nią – nie pożałujesz. Bylibyśmy cały czas razem, tak jak dotąd.

Perswaduję mu któryś raz z kolei, że przecież ja nie mam ani żadnego zawodu, ani ziemi. On znowu, że ona jest bogata z domu, niczego mi tam nie braknie. Ja pytam, co tam będę robił. Pracował u niej jako parobek? Ten przekonuje nadal i tak w kółko.

Nie dałem się jednak namówić. Przecież mój sposób na życie był całkiem nierolniczy. Nawet się na tym nie znałem. Uzgadniamy, że będziemy ze sobą korespondować, przyjaźnić się, odwiedzać – przecież z Opatowa do Rzeszowa to nie tak daleko. Dużo obietnic na następne lata. Mijamy Kraśnik. Zaraz za miastem nocujemy. Ostatnia wspólna noc. Tyle było tych poprzednich – w Rzeszowie, w Suwałkach, w Osowcu, na froncie, w tułaczce. Zginęli nasi dobrzy koledzy – Czerwiński, Krawczyk. Guliński gdzieś przepadł; nie wiemy nawet, czy żyje, a jeśli to gdzie.

Ostatni wspólny dzień. Zbliżamy się do Wisły. Annopol. Tu się rozstajemy. Obaj mamy dużo łez w oczach. Ściskamy się, całujemy, życzymy sobie dalszej szczęśliwej drogi. Kilkadziesiąt chyba razy. Cześć, cześć, cześć… Oddalamy się od siebie – on idzie na zachód, ja na południe.

Po rozstaniu

Wróciliśmy szczęśliwie do swoich domów. Trwała okupacja niemiecka. Ożenił się z tą dziewczyną. Na ślub byłem proszony. Nie pojechałem jednak, bo obowiązywały wtedy ostre ograniczenia w ruchu. Stasia, o której mi ciągle wspominał, napisała do mnie miły list, prosząc o odwiedzenie ich stron. Coś jej tam odpisałem, nie pamiętam dokładnie, bo te trudności w podróżowaniu wciąż istniały.

Z Kolasą pisaliśmy do siebie parę lat. Pod koniec okupacji musiałem ukrywać się jako działacz AK pod różnymi nazwiskami, wobec czego korespondencja była już niemożliwa. W roku 1995 postanowiłem odnowić z nim kontakt listowny i napisałem do niego. Po pewnym czasie otrzymałem list od jego żony. Ignacy zmarł młodo, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Miał dwóch synów, z których młodszy też zmarł, krótko po nim. Nie dowiedziałem się jednak, jaka choroba zabrała obu. Złożyłem kondolencje, bardzo już opóźnione. Straciłem ostatniego kolegę z wojska. Cześć jego pamięci.

Dalsza droga do domu rodzinnego

Idę już sam. Rozmyślam. Nie mam do kogo się odezwać. Tak ciężka jest ta samotność. Słońce cały czas praży. Dochodzę do dużej dość rzeki. To San. Robi się już wieczór. Znów nocleg. Wstępuję do jakiejś chaty. W środku starsza kobieta, jest sama. Pytam, czy można by u niej zanocować. Długo się namyśla i nie odpowiada, ale każe spocząć. Wypytuje co, jak, skąd, dokąd. Opowiadam. Wpada jakiś wysoki, szczupły, przystojny młodzieniec.

– Mamo – mówi – (wymienia nazwisko jakieś) zarżnął krowę. Kupimy trochę mięsa?

– Synu, nie mamy przecież pieniędzy.

Słyszę to. Mam dość gotówki, a i ochotę na mięso, więc mówię:

– Idź, kup, dam ci pieniądze.

Popatrzył i na mnie, i na mamę pytająco. Zakłopotanie. Ale wyciągnąłem kilka banknotów i daję mu. On pyta:

– Panu też?

Odpowiadam z humorem, że „panu też". Mówię, żeby kupił cztery kilo, ale bez gnatów. Mama jego zaczęła coś tam bąkać pod nosem, ale on był już za drzwiami. Kobiecina zagaja rozmowę. Mówi, że ma jeszcze drugiego syna; to bliźniaki. Mąż już nie żyje od paru lat. Trochę narzeka, że bieda, że synowie różnie dorabiają, pomagają, a tu wojna. Nie pytam o szczegóły. Znam to z własnego doświadczenia, bo też jestem z biednej małopolskiej wioski. Po chwili wpada syn i przynosi mięso. Mówię:

– Daj mamie, niech coś z tego zrobi na kolację i ugotuje na jutro. Kawałek wezmę sobie na drogę, reszta dla was.

Ożywia się kobiecina, ale widać, że ma doświadczenie w kuchni. Niedługo potem przychodzi drugi syn. Podobni są do siebie. Chłopaki jak dęby. Rozmawiamy wszyscy razem. Bardzo się interesują tą moją całą drogą wojenną; trochę opowiadam. Całkiem miły wieczór. Ta wołowinka przyprawiona na cebulce z jakimś sosem była bardzo dobra.

Spałem zdrowo i długo w wąziutkiej klitce obok kuchni. Słyszałem, że rano synowie coś tam tłumaczą kobiecie. Nie rozumiałem przez zamknięte drzwi, o co chodzi. Kiedy wstałem, sprawa się wyjaśniła. Mówią mi, że jeśli chcę iść na Rzeszów, muszę przekroczyć San i ominąć Stalową Wolę, bo tam jest dużo wojska niemieckiego. Kawałek stąd kursuje na Sanie prom. Na promie jednak jest zawsze żołnierz niemiecki kontrolujący mężczyzn. Podobno zdejmuje im z głów czapki i po długości włosów poznaje, kto był w armii, a kto nie. Tych z krótkimi włosami przekazuje na przeciwległym brzegu Niemcom, a ci wsadzają ich do stojącego tam samochodu. Oni to widzieli. Ja o włosy nie obawiałem się, bo od

roku prawie nosiłem już dłuższe. Ubiór też mam cywilny. Jestem jednak w wieku wojskowym – mogą pojawić się wątpliwości. Chłopcy przekonywali więc matkę, by wybrała się promem do Rozwadowa z jakimiś tam jajkami, serem czy czymś jeszcze, załadowała mi to na plecy w koszyku i mówiła mi „synu". Pomysł tych obu cwaniaków był śmieszny, ale w gruncie rzeczy nie taki znów zły. Bo a nuż… Byłaby wielka szkoda po tak długiej drodze wpaść przy samym jej końcu. Fajne to były chłopaki. Zgodziłem się na tę maskaradę, a kobieta śmiała się do łez i była nieco onieśmielona. Załadowali mi do kosza trochę tych wiejskich produktów i jakąś bańkę z mlekiem i ruszyliśmy do promu. Obawiałem się o ten kawał gotowanej wołowiny, który wziąłem ze sobą na drogę, bo mogło to wzbudzić jakieś podejrzenia, ale owinięty w szmatę, nie był widoczny. Przed promem pożegnałem się z chłopcami.

Na promie żołnierz był, ale na mnie nie zwrócił uwagi. Wysiadłem spokojnie, podziękowałem kobiecie – mojej przybranej mamie – i ruszyłem w stronę Stalowej Woli. Uwagę, że jest tam wojsko, trochę zlekceważyłem, bo byłem już cywilem i nawet na tym promie nie wzbudziłem zainteresowania. Przemaszerowałem główną ulicą i spotkałem tylko dwu wyższych oficerów niemieckich.

Następnym miasteczkiem na szlaku mojej wędrówki było Nisko. Przechodzę je bez zatrzymywania się. Idę jeszcze parę kilometrów. Jakaś leśniczówka. Słońce kieruje się w dół. Zatrzymuję się i zaczynam gryźć tę wołowinę. Przychodzi jakiś mężczyzna. Też siada. Rozmawiamy. Dowiedziawszy się, że idę do Rzeszowa, mówi, że źle się wybrałem tą trasą, bo prowadzi wiele kilometrów przez spalony las, a słońce niedługo zajdzie. Zrobi się ciemno. Aby wrócić do głównej drogi, trzeba cofnąć się parę kilometrów. Jestem zmęczony. On proponuje mi, bym zanocował u niego. Mieszkał w tej leśniczówce z żoną i małą córeczką.

Gawędziliśmy do późnej nocy, bo jemu nudziło się w tej leśnej samotni. Ruszyłem od niego tą samą drogą, przez spalony las. Miał rację, że mnie zatrzymał. Las był nie tyle spalony, co raczej opalony. Niestary, mógł mieć jakieś dziesięć–piętnaście lat, sosnowy, gęsty, bo jeszcze niepielęgnowany. Pnie, gałęzie czarne, opalone od ziemi do wierzchołków, jeszcze stojących. To trupy leśne. Szedłem tą drogą może z dziesięć kilometrów, wąchając spaleniznę. Żywej duszy nie spotkałem. Ani jednego ptaszka. Cmentarz. Ale wylazłem z tego jakoś. Idę przez pola, małe rzeczki. Po południu dochodzę do Raniżowa. Taka jakaś mieścina, ale cała, nieruszona wojną, przy drodze kilka kramów. Babcie sprzedają jajka, ser. Kupuję u jednej dziesięć deko cukierków w papierowej torebce. Nic innego nie miała, a ja zapragnąłem trochę słodyczy. Pytam ją:

– Stąd daleko do Rzeszowa?

– Koło trzydziestu kilometrów – mówi.

Co? Zaczynam liczyć. To do domu tylko nieco ponad czterdzieści? A tu jeszcze prawie pół dnia przede mną! Dostaję wigoru. Maszeruję żwawo, mijam wieś Widełkę. Pamiętam, że przechodziliśmy przez nią w 1938 roku, idąc do Kolbuszowej po odbiór ufundowanego przez tamtejsze społeczeństwo karabinu maszynowego dla naszego 17 Pułku Piechoty. Była wtedy warta honorowa. Przybyliśmy z orkiestrą jako kompania. Biskup Gawlina odprawiał nabożeństwo i poświęcił ten karabin, po który szliśmy, taka zgraja, ponad pięćdziesiąt kilometrów. Tak to wtedy Polska była biedna.

Mijam Głogów Małopolski. To miasteczko znam. Wracaliśmy przez nie z manewrów w 1938 roku. Stąd do Rzeszowa dwadzieścia kilometrów, a potem jeszcze dziesięć do mego domu. Zdążę przed nocą? Zdążyłem. 22 października 1939 roku o godzinie dwudziestej wpadłem w objęcia rodziny. Mama moja z oczyma pełnymi łez nie odezwała się chwilę ani słowem. Wiem. Ona była już prawie pewna, że mnie więcej nie zobaczy, bo przecież wszyscy mężczyźni wrócili jeszcze pod koniec września, a mnie wciąż nie było.

Zaczęły się długie dnie opowiadań o tej wyczerpującej, ponad sześciusetkilometrowej wędrówce. Ale już w szczęściu, bo wszyscy przeżyliśmy ten początek kataklizmu zdrowo i bez strat.

Droga główna przez Zarzecze, po lewej figura Matki Boskiej stojąca nad mostkiem, w głębi po prawej dom Władysława Szczepana (okolice domu Stanisława Szczepana, jednak jego posesji nie widać, znajduje się za domami po prawej). Okres tuż przed drugą wojną światową, po 1937 roku. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

Część II

OKUPACJA

Dowiaduję się, że wrócili prawie wszyscy, którzy uczestniczyli w tej wojnie – czy to jako żołnierze, czy jako uchodźcy uciekający na wschód w obawie o własne życie. Sam Rzeszów i jego okolice niewiele ucierpiały. Nie było tu żadnych walk, nie było zniszczeń. Spadły gdzieś w mieście dwie bomby o niewielkim tonażu; czołgi i wojska niemieckie przeszły spokojnie i zaczęły się okupacyjne dni. Strach ustąpił. Ludzie wracali do domów, zajęli się jesiennymi pracami. Niektórzy zaczęli chomikować w różnych

Od lewej: Józef Pasternak, Zofia Szczepan (siostra autora), Józefa Szczepan (siostra autora), Stanisław Szczepan, Waleria Szczepan (siostra autora), Zofia Pasternak, Franciszek Korona. Zarzecze, początek lat czterdziestych. *Autor nieznany, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

skrytkach rozmaite dobra, mając w pamięci doświadczenia z poprzedniej wojny. Sklepy opustoszały. Towary w mig wykupiono lub ukryto. Nieprzygotowana do tego ludność została pozbawiona różnych artykułów, bez których trudno było się obejść, jak sól, cukier, mydło, nafta. Gdzieś tam w podkarpackich górkach odkryto strumyk, w którym płynęła słona woda[17]. Ludzie wędrowali dziesiątki kilometrów po tę wodę, by ugotować coś na niej. Cukier zastępowano melasą z buraków cukrowych, mydło zaczęto produkować domowymi sposobami z krowiego łoju i sody kaustycznej. Cebula stała się nagle pożądanym warzywem, bo pełnym witamin, dodawanym do wszystkiego. Tytoń dał się uprawiać między kukurydzą; nasiona jego były poszukiwane. Weszła do gospodarstw nieznana dotąd sacharyna, kamyczki do zapalniczek, kamień karbidowy i gotowe lampy do niego: gorsze, lepsze i coraz lepsze. Polacy mieli teraz dużo pomysłowych inicjatyw mających na celu znalezienie czegoś, co zastąpiłoby brakujące dobra przyrody. Nie sposób ich nawet wymienić. Ale niektórych rzeczy zastąpić się nie dało.

Sól wszelaka, biała, kamienna, szara sypka i ta do lizania przez bydło, każda, była poszukiwana. Wędrowano po nią do Bochni, a nawet do Wieliczki, ponad sto kilometrów. Czasem udało się coś załatwić pokątnie, bo kopalnie były zamknięte. Mówiono, że choć to daleko, to przecież bez soli obejść się nie można. Porwała mnie ta myśl. Pieniądze miałem. Z bratem Tadkiem namówiliśmy naszego sąsiada prawie, Antoniego Drozda, na wyjazd. Miał on zwinną białą klaczkę. Zgodził się z nami pojechać do Bochni, gdzieś około stu dwudziestu kilometrów. Ruszyliśmy nazajutrz raniutko, licząc, że za dwa dni będziemy na miejscu.

Za Tarnowem spotkaliśmy znajomych z sąsiedniej wsi. Wracali właśnie stamtąd. Soli nie wiozą. Jeden z nich ma tylko chyba kilogram. A stali w Bochni trzy dni, penetrowali całe miasto, ale wykupione zostało z soli zupełnie. Namawiają nas do zawrócenia się do domu. Zbaranieliśmy! Ale byłem uparty. Oni odjechali. My chwilę później nocujemy u jakiegoś gospodarza. On też mówi, że tu ludzie wracają z Bochni bez niczego. Mamy jeszcze co jeść, koń też. Jedziemy dalej, jeszcze prawie cały dzień. Wreszcie Bochnia. Światła na ulicach już płoną. Na naszym wozie jest trochę siana dla konia, duży okrągły kosz z cebulą i taki sam kosz jabłek – to na wszelki wypadek wziąłem z sobą. Po ulicy powoli przechadza się jakiś pan w meloniku. Popatrzył się na nas, kiwnął palcem i pyta:

– To na sprzedaż?

– Tak – mówię.

– A po ile?

Ja odpowiadam, że to za sól.

– Za sól? A gdzie tu sól?

Ja się nie odzywam. On chwilę pomyślał i mówi:

– Panowie, ja tu blisko mieszkam, spocznijcie momencik na podwórku.

Prowadzi nas na to podwórko. Poznaję, że to Żyd. Zaprasza do siebie. Wchodzimy; dość ładne mieszkanko. On mówi do żony:

– Gotuj gorącą herbatę, panowie zmarzli.

Miał rację, był przecież listopad. Znowu naciska na sprzedaż tej cebuli, zapłaci, ile chcę. Ja powtarzam, że przyjechałem z daleka i bez soli nie wyjadę; cebulę dam za pieniądze, a jabłka za darmo. On się zrywa, wkłada melonik na głowę i mówi:

– Chodź pan ze mną, bo dzień się kończy. Brat i furman zostają.

Biegamy po różnych zakamarkach, które on zna. Mijamy już kilka takich miejsc bez skutku. Idziemy poza śródmieście; wokół jakieś stare speluny. On gdzieś tam wlazł, ja stoję na ulicy. Wychodzi z jakimś mężczyzną. Ten pyta mnie:

– Potrzebuje pan soli? Ile?

Ja odpowiadam:

– Dużo, jestem wozem.

– Ja mam szarą mieloną w woreczkach po dwadzieścia kilogramów.

Pytam:

– Po ile?

– Po siedem groszy kilo.

Zbaraniałem! Cud się stał. Przecież dopiero co przyjechałem. Wezmę, zaraz podjeżdżam. Żyd goni po wóz do domu, ja zostaję na miejscu. Po chwili przyjeżdżają. Pytam Drozda:

– Ile można wziąć na wóz?

Zastanawia się chwilkę i mówi:

– No trochę ponad pół tony, bo ja też wezmę dwa woreczki.

– To co? Siedemset kilo uciągniecie?

– Tak.

Po paru minutach siedemset kilogramów soli mamy na wozie. Płacę. Żyd mówi:

– Panowie, ale musicie z tym wyjechać z miasta zaraz, bo godzina policyjna niedługo.

Już na ulicy płaci mi za tę cebulę, kosz jabłek daję mu za darmo. On się śmieje:

– Z Żydem to jest interes? Jedźcie już, panowie, szczęśliwej drogi.

Wyjeżdżamy z Bochni uradowani bardzo z wozem pełnym soli. Szarej co prawda, ale tak samo słonej jak biała i nadającej się do wszystkiego. Śmiejemy się sami do siebie. Jak mogło się nam to tak udać? Zmęczeni już jednak jesteśmy; koń trochę naciąga tylne nogi. Idziemy pieszo koło wozu. Drogi przecież już nam ubywa. Mijamy jakieś gospodarstwo; przy tej trasie stoi ich kilka. Znajdujemy nocleg. Wtaczamy wóz i konia pod dach dużej szopy. Tadek zostaje spać obok wozu na słomie, by ktoś czegoś nam nie ukradł. My spaliśmy na podłodze w domu, bo cieplej. Rano chłop mówi, że będzie chyba padać, bo rozciągają się chmury. Trochę nas to martwi – przecież na wozie mamy sól. Prosimy, by sprzedał nam na wszelki wypadek ze dwie wiązki słomy. Trochę mu to nie na rękę, ale sprzedaje.

Co się później działo, długo by opisywać szczegółowo. Same nieszczęścia. Deszcz zaczął padać. Sól nakryta słomą, a na niej nasze płaszcze, by nie zamokła. Nam w samych garniturach, mokrych już, trochę zimno. Nie jedziemy, ale cały czas idziemy. Droga, choć główna, nie była jeszcze asfaltowa, lecz żwirowa. Wóz o kołach kutych wrzynał się w jezdnię, bo rozmokła. Kończy nam się chleb i pasza dla konia. Dowlekliśmy się za Tarnów. To prawie połowa drogi do domu. Deszcz – taka plucha listopadowa – nie ustaje. Trochę ukradkiem zrywamy dla konia okrawki liściowe z buraków cukrowych nadzianych na płoty przy drodze. Widzimy przecież, że słabnie, bo po takiej drodze to mu ciężko. Sami też ledwo już wleczemy nogami po błocie.

Gdzieś koło Dębicy musimy nocować drugi raz, a liczyliśmy, że w dwa dni zajedziemy. Nocleg też się nie udał. Spaliśmy w trójkę w stodole. Zimno było. Koń jakoś się wysupłał z uwiązania i uciekł nam gdzieś. Myśleliśmy, że go ktoś ukradł. Noc ciemna. Szukaliśmy go po polach chyba ponad godzinę. Znaleźliśmy jakieś dwieście–trzysta metrów od domu, chrupiącego zieloną oziminkę. Dobre i to. Pożywił się trochę. Uprosiliśmy gospodynię domu, by nam sprzedała parę jaj na drogę. Biadoliła chwilę, ale przyniosła sześć sztuk. Zjedliśmy ze smakiem; chleba nie miała albo nie chciała dać. Wlekliśmy się znów coraz wolniej. Drozd szedł już koło końskiej głowy – trzymał za uzdę i pociągał do przodu, by koń nie zwalniał biegu. Żal nam było tego głodnego, zziębniętego i ochlapanego błotem zwierzęcia. Wszyscy trzej oddaliśmy mu nasze ostatnie kawałki chleba, bo byliśmy już pod Rzeszowem. Jeszcze dziesięć kilometrów do Zarzecza. Co kawałek przystajemy. Na koniec coś mi się nagle stało w kostkę u nogi. Nie zrobię kroku. Psiakrew, na ostatnich prawie metrach. Ale to nie było zwichnięcie.

To moja noga nie wytrzymała. Wsadzili mnie na wóz i zajechaliśmy do Zarzecza. Z domu wyskoczyli wszyscy i bardzo się uradowali na wieść, ile przywieźliśmy soli*.

Odpoczywam i myślę. Jak to się mogło stać, że wielu ludzi szukało w Bochni tej upragnionej soli przez parę kolejnych dni i nie znalazło, a tu nagle trafia się okazja jednemu z nich i od razu bez trudu udaje mu się zdobyć to, czego szuka? Kto czy co rządzi takimi przypadkami? Co zadecydowało u mnie? Czy to ten kontakt z Żydem, czy może ta cebula, czy po prostu zwykłe szczęście? Dochodzę do przekonania, że podobne historie zdarzały mi się już, czyli trochę szczęścia mam. Wyłaziłem czasem z zamkniętego worka, nie zawsze co prawda tą stroną, co potrzeba, ale wyłaziłem.

Przerywa mi te rozważania mój dobry sąsiad i w nawiązaniu do ostatniej przygody z solą wspomina, że podobno cukier można dostać w Sandomierzu, w jakiejś spółdzielni, nawet pięć kilogramów, a gdyby udało się w kolejce stanąć dwa razy, to można by z dziesięcioma kilogramami wrócić do domu. Zatruł mi myśli ten cukier. Zastanawiam się. Przecież to nie tak daleko – przejadę się. Władowałem worek do teczki i za parę godzin byłem już w Sandomierzu. Odszukałem tę spółdzielnię. Było wcześnie rano. Staję w kolejce, przede mną już dość dużo osób. Różnie opowiadają. Jedni mówią, że dają po dwa kilogramy, inni twierdzą, że po kilogramie. Otwierają po godzinie dziesiątej. I nikt nie ma pewności, że ten cukier będzie i dla ilu osób starczy. Ja stoję gdzieś w trzeciej dziesiątce. Czuję się trochę zawiedziony. Postanowiłem wrócić do domu. W pociągu siedzi w przedziale jakiś kolejarz. Zaczynamy rozmawiać.

– Cukier to pan może kupić w Dębicy, a nie w Sandomierzu – mówi. Nie wie, jaka jest cena, ale można dostać, ile się chce. Przycisza głos:

– Panie, tam nasi zmajstrowali Niemcom cały wagon cukru. Chce pan kupić?

– Chcę.

Tłumaczy mi:

– Niech pan wysiądzie w Dębicy. Koło dworca, na rogu ulicy, jest malutka kawiarnia. Tam, przy stoliku w kącie, siedzi zawsze starszy siwy kolejarz.

* Sprzedawałem tę sól po dwadzieścia pięć groszy za kilogram. Ludzie rozkupili ją w jeden dzień. Nazajutrz sołtys Władysław Zieliński ogłosił, że przyjechał dla gminy wagon soli do Czudca i dla wsi Zarzecze przeznaczono jakąś tam jej ilość. Wiedział o tym trzy dni wcześniej, tylko czekał, aż ja sprzedam swoją. Tamta była też podobno szara, ale z Wieliczki, więc niby lepsza. Ja w domu zostałem przy tej z Bochni.

Nazywa się Szadko. Ma dość długie bokobrody. Przysiądzie się pan do jego stolika i załatwi interes.

Wysiadłem, ale boję się tam podejść. Zbliżam się ostrożnie. Wszystko się niby zgadza. Wchodzę i jest tak, jak mówił. Przysiadam się, wymieniam nazwisko i słyszę:

– Ile pan potrzebuje?

Odpowiadam, że mam worek na pięćdziesiąt kilo.

On na to:

– Siedemdziesiąt pięć złotych.

Płacę. On wyjmuje z kieszeni bloczek, pisze „Pięćdziesiąt kilogramów", przybija jakąś pieczątkę i podpisuje jakimś hieroglifem. Mówi dalej:

– Pójdzie pan na ostatni tor po drugiej stronie. Stoi tam kryty towarowy wagon. Zapuka pan dwa razy po trzy i odda blankiet. Tam panu wydadzą. A gdzie pan jedzie?

Mówię, że do Rzeszowa. On na to:

– Stanie pan przy czole z tyłu peronu. Jak pociąg podjedzie, to pan wsiada.

Wszystko to wykonałem ze strachem i podziwem zarazem. Bałem się jakiejś zdradliwej zasadzki i że zamiast sprzedać mi cukier doprowadzą mnie na policję. Przydźwigałem ten wór do wskazanego miejsca i spaceruję. Podchodzi jakiś kolejarz, pyta:

– Dokąd jedziemy?

– Do Rzeszowa – odpowiadam.

– Wsadzę – mówi i odchodzi.

Pociągu jeszcze nie ma, więc przechadzając się, rozmyślam. Jak to wszystko składnie zorganizowane; jak w banku, tyle że grzeczniej. Drożej o połowę, niż było przed wojną, ale za to z obsługą, bo towar wnoszą i wynoszą z wagonu kolejarze, nic za to nie żądając. Usłużny naród.

W pociągu do Rzeszowa siedzę sam w przedziale. Worek leży na podłodze. Koło moich nóg. Kasuje mi bilet konduktor.

– Co pan tam wiezie? – pyta.

– Mąkę – mówię.

Pomacał palcami worek.

– O, będzie słodki chleb.

Z Rzeszowa dojechałem do mego przystanku bez kłopotów. To się nazywa antyokupacyjna inicjatywa Polaków. Jak się w późniejszym czasie okazało, był to dopiero początek kiwania Niemców, którzy jako naród zdyscyplinowany, nie mieli o takich chwytach zielonego pojęcia. Polak to jednak potrafi. Pięćdziesiąt kilogramów cukru załatwiłem w ciągu jednego dnia. I znów z pomo-

cą szczęścia, w które zacząłem wierzyć. Czy będzie ze mną zawsze i wszędzie, okaże się.

Zacząłem wyjeżdżać do miasta, by kupić coś dla siebie, bo te łaszki wymienione za mundur to było niewiele i ani nie były one nowe, ani ładne. Wróciłem z bardzo dobrym materiałem na garnitur i jeszcze z pięknym garniturem, już używanym, ale naprawdę mało, i pasującym jak ulał na mnie. Załatwiłem sobie to wszystko za pośrednictwem kolegi ze szkoły, do którego wstąpiłem.

Wróciłem więc szybko do cywilnego życia. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i nowy rok 1940. Martwiłem się jednak tym, że moje plany sprzed wojny zostały zniweczone. Miałem początki swego zawodu za sobą. Byłem już przyjęty do służby zawodowej w wojsku. Miałem dobrą pracę w biurze, w którym chciałem zostać. Kochałem Zosię Masłowską i byłem przez jej ojca zaakceptowany. I wszystko nagle zniknęło jak dym. Myślałem jednak – jak prawie cały naród polski, sławni politycy, nawet historycy – że okupacja nie będzie trwać długo, że przecież są za nami silne i bogate kraje. Że chodzi tylko o ten Gdańsk i korytarz do Prus Wschodnich, jak głosiła propaganda niemiecka. Że potem wszystko wróci do starego przedwojennego ładu. Że Polska, która powstała dwadzieścia lat temu, będzie znowu silna i wielka. Miała przecież w przeszłości tylu królów sławnych, mocarnych. Teraz odżyła nagle i tak zaczęła się rozwijać. Gdynia, Cegielski z Centralnym Okręgiem Przemysłowym, lotnictwo, statki, armia; wszystko nowe, ludzie chętni do życia, do pracy. To przecież nie może nagle zginąć.

Tymczasem robi się nudno i trudno zarazem. Polska zostaje podzielona na strefy. Część kraju włączono do Reichu, dawną Małopolskę – do Generalnej Guberni z siedzibą w Krakowie. Ukazują się prawie codziennie rozmaite regulaminy, zakazy, groźby i tym podobne. Sołtysi otrzymują coraz to nowe nakazy odnośnie kontyngentów: zbóż, ziemniaków, mleka, mięsa, nawet miodu. Przybywają do wsi mieszkańcy województw wcielonych do Niemiec. Rodziny te wysiedlone były ze swoich gospodarstw. Trzeba je karmić, dać im schronienie, bo idzie zima. Wydaje się nakazy wysyłania ludzi na roboty do Niemiec. Niewykonanie ich karane jest srogo. W więzieniach Niemcy tworzą grupy tak zwanych zakładników i grożą rozstrzelaniem ich w wypadku stwierdzonego sabotażu. I wciąż wykonywane są takie egzekucje. Atmosfera strachu w narodzie jest ciągle podsycana. Ogarniają nas buntownicze nastroje. Powstają różne organizacje podziemne, grupujące starszych i młodszych o różnych zainteresowaniach i zawodach. Szkoły są w większości zamknięte. Organizuje się nauczanie tajne, prowadzone i w miastach, i na wsiach.

Rok 1940. Niemcy po zdobyciu Polski zajmują Belgię, Luksemburg, Holandię, Danię i połowę Francji. A mają zakusy na całą Europę i nie tylko. W maju zgłasza się do mnie mój kolega z dawnych lat. Rozmawia ze mną przyjacielsko, ale jakoś dziwnie niejasno. Wreszcie wykłada kawę na ławę. W okolicy powstał Związek Walki Zbrojnej i on jest już zaprzysiężony przez znajomego z sąsiedniej wsi. Pytam co, jak i bez większych skrupułów zgadzam się. Zostaję z miejsca przyjęty. Wiedziałem, że coś takiego nastąpić musi, nie przypuszczałem jednak, że tak szybko. Wstąpiła we mnie otucha, ucieszyłem się, że będę mógł nadal działać w żołnierskim zawodzie. Kilka dni po tym fakcie zjawia się u mnie ten właśnie „znajomy z sąsiedniej wsi". Znałem go już wcześniej, ale tylko tak przelotnie. Był starszy o kilka lat. Już wszystko wiedział o mnie z relacji mego kolegi – że skończoną mam szkołę podoficerską, że miałem przyjęcie do służby zawodowej i że jestem już zaprzysiężony. Teraz ja dowiedziałem się reszty – że ZWZ to organizacja wojskowa działająca już w całym kraju; że my należymy bezpośrednio do placówki w gminie Czudec, ta zaś do okręgu na powiat w Rzeszowie, i że kryptonim naszej placówki to „Czeremcha"[18]. Powiadamia mnie jeszcze, że mój pseudonim to „Szary", bo tak już został zgłoszony do Rzeszowa dowódca drużyny w Zarzeczu (mam pełnić tę funkcję, bo jestem jedynym podoficerem we wsi), on jest dowódcą plutonu i jemu będę podlegał, jego pseudonim brzmi „Świder"[19]. Odszedł zadowolony i zostawił mnie również zadowolonego, że wreszcie się zaczęło. Nie śpię całą noc. Rozmyślam. Z grubsza zaczynam liczyć młodszych znanych mi z poprzednich lat chłopców w wieku wojskowym, których należałoby również objąć tym patriotycznym obowiązkiem wobec ojczyzny. Doliczyłem się kilkunastu tylko, bo wieś jest mała.

Zacząłem od swego brata Tadka. Przecież skończył już dwadzieścia lat. Nie mam żadnej broni, by pokazać mu, z czym oswajać się będzie trzeba. Polecam mu obsługę tak zwanej skrzynki pocztowej, zapowiedzianej mi już prasą konspiracyjną. Nadaję mu pseudonim „Orzech" i zgłaszam to do „Świdra". Są już początki jakiejś pracy.

Porozumiewam się z moim poprzednikiem, który mnie zaprzysiągł, co do powiększenia liczby kandydatów do ZWZ (on mieszkał tu dłużej i nieprzerwanie). Przybyło kilku. Będą wzięci w krzyżowy ogień pytań w późniejszym czasie.

Zaczynają już działać na terenie placówki oddziały dywersyjne. Likwidują dokumenty w parafiach i urzędach gminnych dotyczące ruchu ludności. Uszkadzane są w wiejskich zlewniach mleka duże – czterdziestolitrowe – bańki przez dziurawienie ich den, co uwalnia od przymusowego dawania

Niemcom kontyngentu mleka. Niszczone są różne urządzenia przetwórcze. Stosuje się rozmaite formy sabotażu[20]. Niemcy grozili śmiertelnymi restrykcjami za takie działania i zaczęli je już nawet stosować. Niestety Polacy okazali się narodem nie całkiem skonsolidowanym patriotycznie. Zdarzały się dość często przypadki podpisywania folkslist i współpracy z wrogiem. Bojówki ruchu podziemnego zaczęły wykonywać wyroki śmierci na takich odstępcach. Na terenie naszej placówki wykonano już dwa. Wymierzano też i inne, lżejsze kary, szczególnie kobietom mającym z oficerami niemieckimi rozmaite romanse, które prowadziły w konsekwencji do dekonspiracji grup wolnościowych.

U nas w domu zaczęli się pojawiać co jakiś czas nieznani młodzieńcy. Byli to kurierzy z nielegalną pocztą. (Wychodziła ona w Rzeszowie i kolportowana była promieniście na wszystkie placówki wokół miasta i na cały powiat). Brat Tadek znikał później z domu. Rozprowadzał prasę dalej, do innych wsi w naszej placówce.

Mama obserwowała te nie bardzo jeszcze znaczne zmiany, nie reagowała, ale po kilku dniach podeszła do mnie siedzącego w ogrodzie. Przysiadła obok i zaczęliśmy rozmawiać ot tak sobie, o niczym. Ale po chwili powiedziała:

– Stasiu, ja cię bardzo proszę, nie strzelaj do ludzi.

Bardzo zdziwiła mnie ta prośba niespodziewana, ale mówię:

– Mamo, przecież ja nikogo nie zabiłem i nie mam takiego zamiaru.

– Ale ja cię jeszcze raz o to proszę. Wiem, przecież wróciłeś już z jednej wojny; nie mam pojęcia, co tam było. Patrzę teraz i na ciebie, i na Tadka i widzę, że jest coś nie tak. A ludzie już giną koło nas. Ja też przeżyłam już jedną wojnę. Ojciec wasz był na froncie, a ja z pięciorgiem niedorosłych dzieci zostałam sama. Wiem, co to znaczy. Wtedy różnie może być…

Przerwałem jej:

– Mamo! Na wojnie to ja byłem, ale nie na froncie, gdzie się walczy. I nie oddałem tam do nikogo ani jednego strzału. A tu teraz też nie jestem od strzelania do ludzi. Wojna jednak jeszcze trwa i gdybym się znalazł kiedy w takiej sytuacji, że będę musiał wybierać, czy ja mam zginąć, czy ten ktoś drugi, to wybieram tego drugiego.

Pokiwała głową.

– Wojna, wojna… – mruknęła i odeszła.

Zrozumiałem, że ona już wie wszystko – że spokojnie to ja przestałem siedzieć.

Powoli przybywa w Zarzeczu chłopców chętnych do ZWZ. Podpisują się i składają przysięgę z powagą, skupieniem i z radością w sercach. Jest ich już

jedenastu. Wybrani w pierwszej kolejności to ci, którzy służbę wojskową już poznali – roczniki 1913 i 1914. Jest stosowana zasada jeden plus pięć. Oznacza to, że każdy upoważniony może odebrać przysięgę od nie więcej jak pięciu osób. Chodziło o zabezpieczenie się przed dekonspiracją w razie wpadki pojedynczego członka. Nie była to dobra zasada i sprawdzała się raczej w miastach i tylko wśród członków już wyszkolonych wojskowo. Wkrótce ją zniesiono; utrzymała się jedynie w organizacji tajnego szkolenia.

Powoli placówka dozbrajała się – różną bronią, z niemal całego świata. Zgodnie z planem powinna liczyć sześciuset członków; na terenie ośmiu wsi i jednego miasteczka miało działać sześć pełnych kompanii. To powtarzano na różnych spotkaniach dowódców oddziałów. Na razie było nas o połowę mniej. Stan liczebny wciąż się jednak powiększał, pomimo wykruszenia się niektórych spowodowanego przede wszystkim wywozem na przymusowe roboty do Niemiec. By nadrobić znaczne opóźnienie Zarzecza w pracy konspiracyjnej, starałem się zapoznać z całym szeregiem kolegów w innych wsiach i w miasteczku Czudcu, gdzie działało dowództwo placówki. Poznawałem tam też chłopców z mego rocznika, którzy dojeżdżali do szkoły w Rzeszowie w tym samym czasie co ja. Tadek, mój brat, niewiele nadziałał się w konspiracji. Został wyznaczony z kilkoma innymi na przymusowe roboty do Niemiec i musiał tam wyjechać.

Pierwsza akcja

W jakiejś nieprzewidzianej potyczce z oddziałem Niemców zginęło naszych dwu chłopców i kilku niemieckich żołnierzy. Niemcy zabrali swoich zabitych do samochodu, a naszych rozebrano do naga (by sprawdzić chyba, czy gdzieś w garnitury mają wszyte nazwiska i adresy) i zakopano ich na placu boju. Było to rozległe pastwisko koło cmentarza w Czudcu, siedem kilometrów od nas. Noc ciemna. Krótszą drogą idzie się tam trzydzieści pięć minut. Niesiemy lizol do dezynfekcji rąk, sznury, dwa koce, miednicę. „Świder" jest z nami, bo my nie znamy tego miejsca. Jesteśmy już u celu. Szukamy na pastwisku śladów kopania. Jest nas sześciu. Wysyłam na pobliski cmentarz trzech chłopców, by wykopali obok siebie dwa groby. Trzech zaczyna grzebać na pastwisku. Wyrzucili już trochę ziemi. Zwracam uwagę, by kopali teraz ostrożnie, bo ciała są nagie i pewnie leżą płytko. Można je rydlami przez nieostrożność poprzecinać. Kilka minut i jedno już dostrzegamy. Drugiego nie widać. Kiedy patrzymy na to ciało, robi się nam trochę niedobrze, ale wyciągamy je z dołu. Któryś z chłopaków dalej przerzuca ziemię. Dokopał się po chwili, ale stoi w dole, na tym ciele, i rydlem pracować już nie może. Więc podajemy mu tam

sznur, by zawiązał go u nogi lub u ręki mężczyzny, gdziekolwiek, bo przecież to już trup. Nachyla się nad nim, ale zaraz się podnosi i mówi, żeby ktoś inny to zrobił, bo jemu jest nieprzyjemnie dotknąć martwego zimnego ciała. Wylazł blady tak samo jak trup. Wchodzi drugi. Zawiązał sznur u ręki mężczyzny powyżej łokcia. Pociągnęliśmy i struchleliśmy wszyscy razem. Z grobu wydobywał się przez kilkanaście sekund jakiś głuchy świszczący jęk. Co się stało? Żyje? Oczywiście nie żył. Ciało miał zimne jak lód i nic więcej już nie usłyszeliśmy. Wysnuliśmy po dyskusji wniosek, że wszystko było związane z pozycją, w jakiej był ułożony w ziemi. Leżał na wznak z ustami otwartymi. Na jego ciele było przecież dużo ciężkiej ziemi, która zgniotła mu klatkę piersiową. Z chwilą kiedy ziemia została usunięta, a sznur podciągnął rękę do góry, klatka rozszerzyła się, a pęcherzyki płucne wypełniły powietrzem. Nie mogliśmy znaleźć innego wytłumaczenia.

Ciała owinęliśmy w koce i przenieśliśmy na cmentarz do nowych grobów. Poszedłem do grabarza, który mieszkał niedaleko – jego dom wskazał mi „Świder". Była noc bardzo ciemna. Pukam do drzwi raz, drugi. Ktoś w bieliźnie leciutko uchyla drzwi i nagle z trzaskiem zamyka. Pukam dalej i dalej. Dopiero za chwilę ktoś woła:

– Kto tam, do jasnej cholery!?

– Panie, otwórz, przecież nie będę do pana mówił przez zamknięte drzwi.

Otworzył. Przekazuję mu, że na cmentarzu przybyło dwa groby, ale w ciemnej nocy nie mogliśmy ich porządnie wykończyć. Kto tam leży, dowie się w odpowiednim czasie. To sprawa polityczna. Przyrzekł, że uporządkuje je zaraz następnego dnia.

Wróciliśmy do domów nad ranem. Została nam na zawsze w pamięci ta pierwsza humanitarna akcja po zaprzysiężeniu.

Wesoły pogrzeb

W komendzie policji w Czudcu pracowało ośmiu mundurowych, głównie Polaków. Jeden z nich tylko był Niemcem. Musiał tam być, by czuwać, aby pozostali spełniali swe obowiązki sumiennie i zgodnie z wymogami ładu niemieckiego. (Nazwiska jego nie wymieniam, ale było ono też niemieckie). Pełnił swą służbę wiernie, a nawet z nawiązką, bo był przecież z klanu nadludzi. A Polacy to Polacy – także tę służbę pełnili, ale tak jakoś dziwnie, że do jego służby ta ich nie pasowała. A i sukcesów nie było. Jeden tylko – Chamera się nazywał – tak zawsze coś mu w ucho szeptał i szeptał, że nie żadna to policja, że to tacy przestępcy jak i reszta Polaków. Pojechał więc ten Niemiec w końcu do Strzyżowa, gdzie mieściła się jakaś nadrzędna władza nad tą policyjną

hołotą polską, a ta obiecała się sprawie przyjrzeć dokładnie. Zaczął się wtedy trochę bać Polaków koło siebie i tych łażących na wolności, którym nadokuczał już niemało. Wolał więc cicho siedzieć na posterunku i czekać, aż to władza zrobi z nimi porządek. Chciał sobie jednak zapalić, a nie miał już papierosów. Popatrzył przez okno na ryneczek, sprawdzając jaka pogoda, i udał się do sklepu. Karabinu nawet nie brał, bo było to parę kroków. Na ryneczku babcie sprzedawały różności, stało parę wozów. Przechodził spacerkiem obok i nagle padł skądś strzał, a on upadł. Jakiś rolnik w kapeluszu zbliżył się, rzucił na niego bat i spokojnie odszedł. Był podobno stary już i zarośnięty. Zrobił się rwetes. Szukają tego furmana, ale zgłasza się jakiś młody i całkiem inny. Władza zjechała się, bo zadzwoniono tam z informacją, że zginął funkcjonariusz, i to taki dobry. Policja, pełna żalu, pozostała sama. Zarządzono więc, że pogrzeb ma być uroczysty. Zwołano na ten dzień wszystkich ośmiu sołtysów i delegacje różne z wieńcami. Brakło tylko orkiestry, ale takiej w Czudcu nie było. Padły przyrzeczenia, że władza nie spocznie, dopóki nie wyłapie zbrodniarzy, którzy przecięli tę piękną nić życia.

Następnego dnia odbył się wspaniały pogrzeb – pogrzeb-manifestacja, bo tak zadecydowała żandarmeria niemiecka ze Strzyżowa. Zginął przecież Niemiec.

Kondukt od głównej ulicy zmierza drogą na cmentarz. Kilku mężczyzn niesie trumnę. Dowódca żandarmerii ze Strzyżowa już kroczy między pomnikami do gotowego grobu. Nagle świat zagrał masą pocisków i granatów*. Panika. Strzały padają z kwitnących właśnie badyli ziemniaczanych rosnących tuż za cmentarzem. Ludzie uciekają w różne strony. Trumna ze zwłokami leży na ziemi koło drogi, bo w obawie o własne życie w pośpiechu pozostawili ją tam ci, co ją nieśli. Gdy strzały ucichły, kilku pozostałych na miejscu uczestników pogrzebu zebrało się i jakoś zakończono pochówek.

Fabryka porcelany stołowej i technicznej w Boguchwale

Co pewien czas urząd gminy dostaje od władz niemieckich nowe żądania obowiązkowego dostarczania do Niemiec robotników polskich. Boję się, że moja swoboda niebawem się skończy. Jest nas w domu cztery młode osoby bezrobotne prawie, bo roli ani gospodarstwa żadnego nie posiadamy, więc

* Do tej orkiestry pogrzebowej również należałem wraz z innymi członkami ZWZ z sąsiedniej wsi. Zorganizował ją „Świder". Tego policjanta nie znałem i nie wiem, kto był wykonawcą wyroku na nim. Dlaczego grzebano go na polskim cmentarzu, też nie rozumieliśmy, skoro był Niemcem. Czy miał mundur polskiego policjanta? Takich niejasności było więcej w różnych sprawach.

rada sołecka może następnym razem ruszyć kogoś z nas. Podejmujemy z siostrą decyzję o podjęciu pracy w fabryce porcelany w Boguchwale. Co prawda dojazd tam jest niewygodny, iść pieszo trochę za daleko, bo to cztery kilometry, ale innych możliwości nie widzimy.

Zostajemy zatrudnieni. Siostra trafia do magazynu wysyłkowego. Ja zostaję przyjęty do glazurowni, i to z radością, bo mój poprzednik, młody człowiek i wątły, miał za słabą rękę do tej pracy. Polegała ona na powlekaniu glazurą izolatorów różnych typów, a najwięcej tak zwanych francuzów. Ważyły one ponad osiem kilogramów każdy. Glazurowanie to zanurzanie izolatora w płynnej glazurze na dwie sekundy, szybkie wynurzenie go i wykonywanie nim ruchu obrotowego przez parę sekund dla równomiernego opływu glazury. Gdy izolator jest zanurzony w glazurze ponad dwie sekundy, jego sucha masa, jeszcze niewypalona, tak zwany biskwit, rozsypuje się i cała dotychczasowa praca nad jego wyprodukowaniem idzie na marne. Trzeba było mieć silną rękę, by te czynności w czasie wykonać. Mój poprzednik tej siły nie miał i jego straty wynosiły około dwudziestu procent. Zwolniono go więc. Ja z początku ponosiłem sześć procent strat, a w krótkim czasie doszedłem do dwóch procent.

Tą sensacją zachwycony był dyrektor naczelny, Gardziejewski – Polak, ale zaprzedany zupełnie Niemcom. Obiecał mi więc, że otrzymam kierownictwo całej glazurowni (w drugiej jej części, tak zwanej stołowiźnie, pracowało ponad dwadzieścia pięć kobiet). Ponadto aby mnie zachęcić, zlecił wydanie mi trzech metrów kwadratowych materiału zwanego przeciekowym, który doskonale nadawał się na letnie sportowe garnitury (to był jakiś specjalny materiał stosowany w szlamowni do tworzenia masy ceramicznej).

Ta sielanka trwała około dwóch miesięcy. W tym czasie w Zarzeczu rozpoczęto budowę arterii odwadniającej na terenie przeznaczonym dla mających się tu osiedlić Niemców. Kierownikiem tej budowy był pan Czaja, który namówił mnie do pracy jako jego zastępca. Mogłem zarobić więcej na miejscu i na świeżym powietrzu. Piszę więc podanie o zwolnienie z pracy i idę do działu personalnego w fabryce. Mazanek, bo tak nazywał się kierownik działu, wyszedł do drugiego pokoju, ale za chwileczkę wrócił. Wpada Gardziejewski; jest czerwony na twarzy i wściekły. Krzyczy:

– Co robisz? Co to jest?

– Panie dyrektorze, nie mogę tu pracować. Zachorowałem – mówię.

– Zachorowałeś? Na co? Teraz, kiedy mogłeś zdobyć dobry zawód jako kierownik? Przecież ci to obiecałem.

– Tak, ale jak się nawąchałem na dmuchawie tych pyłów, zacząłem kaszleć.

– Zacząłeś kaszleć? Świadectwo lekarskie masz? Co? Idź do pracy!

Złapał z wściekłością podanie, podarł na kawałki, rzucił na podłogę. Trzasnął drzwiami i wyleciał jak wariat. Zmartwiłem się.

W placówce ZWZ pracowała jako konspiracyjny lekarz doktor Karol[21]. Starsza już kobieta. Zgłosiłem się do niej. Wyłuszczam, o co chodzi naprawdę, bo przed nią nie mam co kręcić. Wysłuchała mnie i dała zaświadczenie z pieczątką szpitala w Strzyżowie, ponieważ tam na pół etatu pracowała. Wynikało z niego, że po przeprowadzonym badaniu stwierdzono u mnie stany chorobowe obu płatów płucnych i wapienne naloty na ścianach przewodu oddechowego.

Zjawiam się znowu w fabryce. Wyciągam to badanie i lekko pokasłuję. Historia się powtarza. Dyrektor znów krzyczy, znów się czerwieni, nawet po przeczytaniu zaświadczenia lekarskiego. Na koniec słyszę:

– Chcesz świeżego powietrza, to ja ci go dam! Jutro składam wniosek o zatrudnienie cię w Baudienście w Przeworsku. – Zwrócił się następnie do Mazanka i rzekł: – Rozliczyć go. – Potem wyszedł.

Trochę nie wierzyłem w tę jego groźbę. Ale co, jeśli…?

Nie skończyło się na tym. Po tygodniu dostaję z Urzędu Powiatowego w Rzeszowie nakaz stawienia się w Przeworsku w tym obiecanym mi przedsiębiorstwie. Zdębiałem. Pokazuję to panu Czai. Podumał trochę i poradził mi udać się w Rzeszowie do urzędu melioracyjnego, który prowadził roboty w Zarzeczu. Dał mi też list polecający, bo sam tam pracował. Dyrektorem urzędu był Niemiec Miller, który ożenił się z Polką w czasie pierwszej wojny światowej i w Polsce został z polskim obywatelstwem.

Już tam jestem. Starszy, siwy pan przyjmuje mnie, czyta list Czai, zamienia ze mną parę słów. Coś pisze, kopertuje i mówi:

– Pójdzie pan do zamku*, do gabinetu Kreishauptmanna. Tam jedną z sekretarek jest moja córka. Taka blondynka w okularach. Odda jej pan ten list.

Wykonałem, doręczyłem, przeczytała, po chwili zaniosła list do gabinetu Niemca starosty. Czekałem ponad pół godziny, strasznie zdenerwowany. Siedziało tam też trzech innych mężczyzn, w tym drugi Stanisław Szczepan z Zarzecza – mój krewniak, syn Michała Szczepana, młodszy ode mnie o trzy lata, a pracujący na stacji PKP w Rzeszowie jako kasjer. Popatrzyliśmy na siebie zdziwieni, ale rozmawiać nam nie było wolno.

Za chwilę dzwonek z gabinetu. Sekretarka wchodzi tam i wynosi trochę tych podań, coś przegląda raz i drugi, po czym mówi:

* W zamku rzeszowskim mieścił się sąd.

– Mam tu dwu panów Szczepanów Stanisławów, jeden to syn Michała, a drugi to syn Jana. Który z panów jest synem Jana?

Wstałem ja.

– To pan jest zwolniony – oznajmia i wydaje mi podanie z decyzją starosty.

Wyskoczyłem stamtąd jak z procy. Co to znaczy mieć trochę szczęścia!

Zacząłem pracować w urzędzie melioracyjnym jako zastępca kierownika robót w Zarzeczu*.

Prace przy melioracji w Zarzeczu we wrześniu 1940 roku. Od prawej: Stanisław Szczepan, Ignacy Włoch, Eugeniusz Szczepan, Władysław Moskwa. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

Prace przy melioracji w Zarzeczu w 1942 roku. W środku w białym fartuchu Stanisław Szczepan. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Bronisława Wilka*

Jak zdobyć tę dobrą broń?

Policja granatowa w Czudcu uzbrojona była we francuskie karabiny typu lebel. Dobre to były karabiny automatyczne, celne, z dość długimi lufami. Skąd ta policja je miała, nie wiemy. Skład osobowy posterunku – siedmiu funkcjonariuszy. Komendant to starszy już policjant, jeszcze z przedwojennej służby. Należał teraz do naszej placówki ZWZ, był dobrze zakonspirowany. Umiejętnie dowodził pozostałą szóstką. Jeden z najmłodszych policjantów, „Janek", to też członek ZWZ, bardzo zaangażowany nasz działacz (ale już zagrożony w swej działalności). Chamera to Polak, ale z niemiecką duszą, wiernie wyko-

* Mój krewniak trafił na parę miesięcy do obozu pracy w Przeworsku na te roboty (miał słabsze poparcie), ale kolej też go jakoś stamtąd wyciągnęła.

nujący najostrzejsze zarządzenia władz niemieckich. Pozostali czterej to też Polacy, lojalni, usłużni, bo bali się podpaść.

W porozumieniu z komendantem dowództwo placówki ZWZ (której przewodził w tym czasie również przedwojenny znany policjant Stachak) ustaliło, że opracuje anonimowy meldunek o planowanym przewozie koleją nielegalnego mięsa wieprzowego z Czudca do Rzeszowa. Chodziło o wywabienie na dworzec kolejowy całej policji w pełnym uzbrojeniu i z amunicją. Wybrano to miejsce, bo obok płynął Wisłok, a za nim rósł stary las, gdzie można było się w razie konieczności schronić.

Do przeprowadzenia tej akcji zostałem wyznaczony ja i moi chłopcy z Zarzecza, gdyż nasza wieś była oddalona najbardziej, bo siedem kilometrów, od Czudca; nieznani byliśmy więc wśród tamtejszego społeczeństwa (takie zabezpieczenia stosowane były zawsze). Uzbrojenia dobrego jeszcze nie mieliśmy, ale nie spodziewaliśmy się jakiejś większej strzelaniny. Poza tym dwaj z policjantów byli członkami ZWZ.

Udało się doskonale. Policja zgłosiła się w komplecie i dobrze uzbrojona. Dość wcześnie, gdy nie było jeszcze dużo gapiów-pasażerów, wyskoczyliśmy znienacka z pobliskich krzaków.

– Ręce do góry! – Otoczyliśmy całą grupę. – Dawać broń, szybko!

Komendant jako pierwszy oddał karabin i pierwszy nadstawił tyłek pod kopniaka – że niby to pobity. Chamera, ten z niemiecką duszą, zaczął coś tam się szamotać, ale został uderzony w twarz. Karabin chłopcy wyszarpnęli mu. Pozostali policjanci, widząc to, czekali, aż i nimi się zajmiemy. Ich broń znalazła się w naszych rękach, podobnie jak torby z amunicją. „Janka" jako oskarżonego o zbyt gorliwe służenie wrogowi zabraliśmy ze sobą na rzekome rozstrzelanie. Obwieszony został kilkoma karabinami i torbami z amunicją. Wycofaliśmy się do lasu przez Wisłok. „Janek" dołączył do grupy w sąsiedniej wsi i tam działał.

Była to raczej mistyfikacja, a nie akcja o zbrojnym charakterze, ale wszczepiająca chłopcom trochę odwagi i inicjatywy na przyszłość.

Handel węglem

Nadszedł rok 1941. Zima mroźna i śnieżna. Prace nad regulacją i osuszaniem pól zostały przerwane. Przerwano też wypłacanie zarobków, bo liczyło się je przecież od wybranych metrów kubicznych ziemi.

Bieda powoli zaczęła dokuczać. W domu często nie ma chleba, a mąki i zboża u nikogo kupić nie można. Kontyngenty są wysokie. Gospodarzom, nawet zamożnym, też nie przelewa się już. Trwają i rozwijają się różne nielegalne

inicjatywy. Handel, ubój zwierząt, różnego rodzaju produkcja mydła, lamp, innych zastępczych drobiazgów. Każdy chwyta się czegoś, co pomoże mu żyć.

U mego brata mieszka mężczyzna z rodziną. To wysiedleni z województwa bydgoskiego. On jest palaczem na parowozach. Rodzi się pomysł. Można kupować od niego węgiel i sprzedawać gospodarzom, bo go potrzebują. Podejmuję tę próbę. Zaznajamiam się z palaczem i maszynistą jeżdżącymi składami towarowymi na linii Jasło–Rzeszów. Pracują w pociągach – tak zwanych manipulantach – obsługujących stacje załadowczo-wyładowcze. Interes idzie. Brat mój ma dom oddalony pięćdziesiąt metrów od toru kolejowego. Jest to sprzyjająca okoliczność. Oni obaj – i maszynista, i palacz – też są biedni. Pieniędzy za węgiel nie biorą, tylko żywność. Ja uzyskany węgiel sprzedaję rolnikom również za żywność – różną: mąkę, jaja, masło, słoninę, mięso, kasze – i rozliczam się z nimi tymi towarami. Jeśli nie mają grubego węgla, biorę coś innego z wagonów odkrytych – drewno, deski i tym podobne. Przecież te wszystkie dobra są polskie, a Niemcy nam to zabierają. Takie utajone przewłaszczenia stosowane są w całym kraju i na wielką skalę. Ginie Niemcom z transportów kolejowych cała ogromna masa towarów: bydło, świnie, oleje – i napędowe, i spożywcze – zboże. Nie są w stanie upilnować tego wszystkiego przed olbrzymią armią polskich rąk przekazujących to z powrotem w inne polskie ręce i umożliwiających tym samym ludności zwalczanie straszliwej biedy okupacyjnej.

A piszę ten krótki wstęp, by pokazać, jakie ryzyko, nieraz ogromne, bo ryzyko utraty życia, ponosiło się przy kontynuowaniu tych karanych przecież przez Niemców praktyk. Podaję jako przykład wypadek, jaki przeżyłem w związku z tym ja sam.

Handel węglem uprawiałem wspólnie z synem mego brata Władka (żyje i mieszka w Belgii, gdzie został wysłany niedługo potem na przymusowe roboty; już stamtąd do domu nie wrócił). Oczekiwaliśmy obaj na pociąg towarowy jadący z Rzeszowa do Jasła. Z tego pociągu wieczorem dnia poprzedniego odebraliśmy około tony węgla. Rano przyszykowałem kosz różnych wiktuałów, by przekazać je jadącemu z powrotem do Jasła. Tak robiliśmy za każdym razem. Maszynista pan Stec i palacz pan Wojciech Machoń zawsze przed ruszeniem z końcowej stacji wiedzieli, co wiozą, co gdzie zostawić do wyładunku lub co zabrać. Wiedzieli również, czy w pociągu jest jakiś towar konwojowany, bo gdy tak było, unikali kombinacji na trasie.

Pociąg z daleka już widzimy, bo tor prosty. Ja zbliżam się do toru, wchodzę do góry, na nasyp, a Władek zajmuje miejsce w rosnącej na dole kukurydzy i obserwuje skład. Maszynista zwalnia bieg pociągu do minimum,

palacz przechodzi z pomostu na schodki parowozu. Podnoszę kosz do góry, podaję. Słyszę głośny stukot kół, nic więcej. Patrzę do przodu, gdzie palacz wyrzuci mi pusty już kosz. Jest. Odwracam się i widzę, że Władek coś kiwa, pokazuje i woła, ale nic nie rozumiem, bo zagłuszają go koła pociągu. Wreszcie szok. Zobaczyłem, że na schodku nadjeżdżającego wagonu stoi Niemiec z wyciągniętym już pistoletem w dłoni i czeka, aż będzie tak blisko, by po prostu dotknąć mnie lufą broni i strzelić mi prosto w pierś. Ile metrów na sekundę można w strachu pokonać, uciekając, nie wiem, ale zawinąłem się w tył i zacząłem biec. Upadłem po chwili świadomie, bo w wojsku uczono, że osobę leżącą trafić o wiele trudniej od biegnącej. Tuż koło siebie słyszę trzask pocisku, raz i drugi. Pociąg jechał już szybciej. Zobaczyłem, że Władek leci do mnie i lamentuje. Ja wciąż leżę, bo naprawdę nie wiem: trafił czy nie trafił? Okazało się, że nie trafił, a był przecież niedaleko. Czy to jakiś gest łaski Bożej?

Nowa wojna

Na wiosnę świat zrobił się jakiś weselszy, jak to zwykle bywa o tej porze roku. Gdyby tylko nie to straszne wycie silników samolotowych produkowanych w Rzeszowie. Wycie przez całe dni i noce, niedające nawet zasnąć, pomimo że w prostej linii od nas do zakładów to jakieś osiem–dziewięć kilometrów. Mało spokojniejszych przerw. A i we wsi coś się dzieje. Do sadów, pod drzewa, wtaczają się czołgi, wozy, jakieś działa. Do stodół wprowadza się muły. Widzimy te zwierzęta pierwszy raz w życiu. Wyglądają jakoś dziwnie, choć do konia podobne. Przybywa wojsk, samochodów. Żołnierze są już wszędzie. W domach też. Zachowują się spokojnie, grzecznie[22]. Palą ogniska, choć mają kuchnie polowe. Kupują jajka, kury, gęsi, masło, mleko. Płacą dobrze. Można u nich nabyć mydło, papierosy, skarpety, jakieś ścierki, ręczniki, a nawet koce. Ale wciąż stoją. Ludzie patrzą na to obojętnie, bo na nic gorszego od tego, co już było, nie zanosi się.

I nagle któregoś dnia o świcie słyszymy huk w powietrzu. Tysiące samolotów leci na wschód. Wojsko w szybkim tempie opuszcza swoje dotychczasowe miejsca postoju. Wszystko także rusza na wschód, zostawiając rozdeptane trawniki i rozjeżdżone drogi.

Wojna! Nowa wojna. Niemcy napadły nagle na Związek Radziecki. Czy to dobrze, czy źle? Dla Polski jedni dobrzy, drudzy jeszcze lepsi. Tylko tematów do dyskusji przybywa. Jak ta polityka zmienia oblicze! Przecież minister spraw zagranicznych Niemiec dopiero niedawno zawarł umowę z ministrem Związku Radzieckiego o podziale Polski. A teraz?

Prasa konspiracyjna podaje, że Związek Walki Zbrojnej przekształcił się w Armię Krajową. Nasze wojska walczą już w Afryce, we Włoszech, Francji, w Anglii, wszędzie. Rośnie nadzieja. Ale Niemcy trzymają nas mocno w swoich łapach, pilnują narzuconego reżimu i jeszcze pogłębiają go.

Umiera mój najstarszy brat Józef. Jego żona zmarła rok wcześniej. Brat miał czterdzieści jeden lat. Pozostawia trzech synów. Moja mama prowadzi sama ten dom.

Amunicja do karabinów bojowych i karabinków

Lipiec 1941 roku. Przed zachodem słońca podjeżdża pod nasz dom łazik z trzema oficerami armii niemieckiej. Rozmawiają z ojcem coś tam rozumiejącym, bo służył w armii austriackiej. Chodziło o udostępnienie jednego pomieszczenia na noc dla wojska. U nas nie ma słomy, bo nie jesteśmy rolnikami, więc przynosi się ją od sąsiada. Po chwili zajeżdża siedem ciężarowych samochodów, ustawiają się wokół domu pod kątem prostym. Wysiadają żołnierze, po dwóch z każdego. Szwargocą. Włażą do kuchni, rozścielają słomę. Myją się, golą, podgrzewają jakieś konserwy, gotują kawę. Jak gospodarze. Wynoszą z samochodów torby, wyjmują koce, jakieś jasieczki. Wyciągając z aut te swoje worki, rozpinali pasy plandek. Dyskretnie spoglądam, co oni tam wiozą. Widzę jakieś skrzynie okute z naklejkami na wierzchu. Poznaję od razu po kształcie tak zwanej łódki z pięcioma szpicami. Boże, toż to amunicja do mauzerów! (Znałem je dobrze, bo armia polska miała w uzbrojeniu mauzery kaliber siedem i dziewięćdziesiąt dwie milimetra. Produkowane były w Radomiu i Starachowicach). U nas w placówce AK (będę odtąd używał tej nazwy w miejsce ZWZ) było kilka tych karabinów, ale brakowało do nich amunicji. Chcę zdobyć trochę. Tylko jak? Oni jadą z Rejchu, z fabryki, na front, który był już kilkadziesiąt kilometrów za dawną granicą Polski. Tu spoczywają i nocują. Rozmyślam. Jak wziąć chociaż parę garści, chociaż sto sztuk? Tak chciałem tę amunicję! Miałbym takiej możliwości nie wykorzystać? Wielkie to ryzyko, ale próbuję.

Kierowcy i pomocnicy kierowców już układają się powoli do snu. Jeden żołnierz chodzi koło samochodów, tam i z powrotem, drugi stoi przy wejściu do domu jako wartownik. Przypuszczam, że tak będzie całą noc. Może być tylko zmiana tej warty. Wszyscy żołnierze widzieli mnie, wiedzą, że jestem członkiem rodziny. Wpadam na pomysł. Biorę wędkę, którą zawsze miałem, bo chodziłem na ryby z sąsiadem moim sierżantem Szczepanem, rosówki do pudełka, podchodzę do żołnierza, który pilnuje drzwi do

domu, pokazuję mu tę wędkę i mówię tak, jak pamiętam jeszcze ze szkoły, po niemiecku:

– Ich gehe na Wisłok Fische und ich zurück.

Co on tam z tego zrozumiał, nie wiem, ale popatrzył na wędkę, uśmiechnął się i kiwnął głową, co odczytałem jako „W porządku". Poleciałem szybko do wsi. Wziąłem czterech chłopców. Wyjaśniłem, o co chodzi. Ustaliłem zadania. Jeden, siedząc w ustępie, bo to był najlepszy punkt obserwacyjny, ma informować, gdzie znajduje się żołnierz chodzący koło samochodów, byśmy mogli rozpocząć akcję w momencie, gdy będzie się on zbliżał do punktu najdalszego. Drugi, najwyższy i silny (Franek K.), będzie wtedy podchodził do ostatniego auta, brał na plecy skrzynię, którą mu podam, i oddalał się szybko na pięćdziesiąt metrów. Następnie pozostali dwaj przejmą skrzynię, aby nieść ją dalej, przez potok[23].

Zdjąłem buty, by zachowywać się jak najciszej, rozpiąłem paski plandeki i powolutku wlazłem na wóz. Truchlałem tam ze strachu i z wrażenia. Skrzynie miały wymiary sześćdziesiąt na pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów. Liczę. Uczono nas w wojsku, że ciężar jednego naboju karabinowego to czterdzieści dwa gramy; skrzynia wojskowa okuta też trochę waży – cztery do pięciu kilogramów. Ale nie czas na myślenie. Podchodzi Franek, podnoszę skrzynię, ciężka – ponad pięćdziesiąt kilo – daję mu na plecy, oddala się. Noc już ciemna. Na wsi nie ma elektryczności, więc palca przy oku nawet nie widać. Tak było trzy razy. Cały stos był wybrany do podłogi samochodu. Wysiadłem, zapiąłem paski. Przenieśliśmy skrzynie około trzystu metrów, schowaliśmy w rosnącym jeszcze zbożu i nakryliśmy, zabezpieczając przed obserwacją z samolotu, który często się tam plątał. Uciąłem witkę z wikliny,

Uczestnicy akcji zdobycia amunicji w Zarzeczu w 1944 roku. Od prawej: Stanisław Szczepan, Stanisław Gaciarz, Franciszek Kocząb, Antoni Gaciarz. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Bronisława Wilka*

poszedłem do potoku. Był to potok leśny, z czystą wodą, szerokości poniżej metra. W specjalnym koszu z zaplecionym wierzchem przetrzymywaliśmy tam ryby łowione w tygodniu do piątku, bo w tym dniu wywożone były na sprzedaż do Rzeszowa, na targowisko, przez żonę sierżanta mającą zezwolenie na handel nimi od władz. Ryby w tym koszu były zawsze żywe. Nanizałem na witkę cztery i wracam do domu. Podchodzę.

– Halt!

Zatrzymuje mnie ten wartownik, oświetla lampką elektryczną i poznaje. Ja mu pokazuję ryby.

– O grosse Fische – śmieje się i puszcza mnie do domu.

Nie zmrużyłem jednak oka do rana. Co będzie, gdy brak skrzyń zostanie zauważony? (Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że Niemcy palili całe wsie albo aresztowali ludność, gdy zobaczyli, że chłopi wspomagają leśne oddziały żywnością w Lasach Janowskich koło Lublina. Czytało się o tym w gadzinówkach). Alibi to ja jakieś mam. Przekonuję sam siebie, że źle zrobiłem. Może byłem zbyt łapczywy? Może by wystarczyła jedna skrzynia?

Rano żołnierze wstali, zjedli śniadanie. Chowają swoje rzeczy, torby pościelowe, ale nie do wszystkich, tylko do dwu samochodów. Nie spostrzegłem tego poprzedniego wieczoru. Ochłonąłem. Odjechali w dalszą drogę.

Pacyfikacja

Dostaję rozkaz, by dostarczyć do dowódcy obwodu w Rzeszowie jeden automat sten[24] i parę paczek amunicji. Pistolet pochodzi z ostatniego zrzutu na tym terenie (okolice Brzozowa). Dowódca obwodu chciał zobaczyć tę nieznaną jeszcze broń, wypróbować i sprawdzić jej skuteczność.

Ładuję rozmontowany automat i amunicję do teczki. Dokumenty osobiste mam w porządku. W pociągach na trasie Jasło–Rzeszów nic groźnego się nie dzieje. Nie kursują wagony „Nur wir deutsche". Nie ma kontroli bagażów, jak gdzie indziej. Postanawiam więc jechać koleją. Rano idę dwa i pół kilometra do przystanku, poboczem po prawej stronie drogi (wtedy tak się prawidłowo chodziło). Nie rozglądam się, bo jestem zamyślony. Przede mną parę kroków jakaś kobiecina; trzyma na sznurze uwiązaną krowę, która stoi w rowie i gryzie trawę.

– Panie, po co pan się tam pcha? Nie widzi pan, co się dzieje?

Popatrzyłem na kobietę i do przodu. Zdębiałem ze strachu. Kilkadziesiąt metrów dalej, po lewej stronie drogi, stoi stół i krzesło, wyniesione chyba z budynku szkoły znajdującego się za rowem. Siedzi tam oficer niemieckiej żandarmerii, a przed nim, nad rowem, bardzo długa podwójna kolejka męż-

czyzn pilnowanych przez żołnierzy. Po przeciwnej stronie drogi, na skraju, stoi samochód ciężarowy, który zasłania mi trochę widok na to, co się dzieje dalej. Robię jednak pół kroku i już widzę w sadzie nieopodal kolejne dwa samochody, kilka motocykli i bardzo dużo żołnierzy. Jedni stoją, inni siedzą, trzymają w rękach chyba kanapki i jedzą. Widzą mnie. „Pacyfikacja – myślę – a ja w ręce mam taką teczkę!". Co robić? Co zrobię z teczką? Przecież patrzy na mnie tyle par oczu. Cofnąć się już nie mogę. Tak czy inaczej zatrzymają, skontrolują i będą męczyć do śmierci, bo przecież wiedzą, że to jest broń dla „leśnych ludzi". Będą strasznie torturować, by wymusić zeznania. Wiedzą, że działam przeciwko nim.

Wszystko trzeba przekalkulować w małym ułamku sekundy, bo każde zatrzymanie kroku może zostać uznane za podejrzane, za znak, że mam coś na sumieniu. Czuję już, że śmierć siada mi na ramieniu i patrzy prosto w oczy. W tej rozpaczliwej sytuacji myślę, że skoro oni widzą, że ja też ich widzę, to muszę iść, jakbym się nie bał wcale, żeby nabrali przekonania, że skoro nie zawracam, muszę być czysty jak złoto. Ta strategia może jednak zawieść.

Idę prosto w ich stronę i jeszcze myślę. Gdy oficer otworzy teczkę i zobaczy broń, to rzucę się do przodu. Oczywiście zastrzelą mnie, bo jest ich wielu, ale nie będę przynajmniej torturowany. Dochodzę już prawie. Jak wyglądała wtedy moja twarz, nie wiem, ale starałem się pozostać obojętny. Żołnierz stojący koło stolika popatrzył na mnie i nic. Nie wskazał palcem, by dołączyć do kolejki. Idę więc dalej środkiem drogi. Drugi żołnierz też mnie nie zatrzymuje, ani trzeci. Nie wierzę w to, co się dzieje. Serce pęka z radości. Skręcam z głównej drogi w wąską ścieżkę prowadzącą do przystanku kolejowego. Nie widzę na peronie ani jednej osoby. Wszystkie stały w kolejce. Myślę, żeby wstąpić do poczekalni, bo może tam uda mi się wepchnąć gdzieś tę teczkę. Ale nie robię tego. Może tam przecież ktoś być, jakiś patrol; zatrzyma mnie. Dróżka prowadzi dalej do Wisłoka. Idę nią, bo za Wisłokiem jest las. Przed mostem droga obniża się. Nagle słyszę za sobą, jakieś dwieście metrów, zapalany motocykl i zaraz drugi. „Gonią" – myślę. W ilu susach przesadziłem ten most, nie wiem, ale wpadłem do lasu. Skarpa była tak stroma, że po kilkunastu krokach odcięło mi oddech w piersiach. Dysząc, usiadłem za grubym drzewem. Motocykle były już na moście. Na każdym dwu żołnierzy. Zatrzymali się, bo dróżka nad brzegiem rzeki ciągnęła się w jedną i drugą stronę. Chyba zgłupieli, bo odcinki tej dróżki widoczne były na ponad dwieście pięćdziesiąt metrów, których w tych paru sekundach nie mógłbym przecież pokonać. Coś między sobą chwileczkę szwargotali, niczego nie rozumiałem. Ale dlaczego nie zaglądali pod most, gdzie mogłem się ukryć, albo nie ostrzelali lasu – tego nie wiedzia-

łem. Dlaczego też żaden z żołnierzy nie zatrzymał mnie przechodzącego koło nich? Nazwałem ten przypadek cudem, chociaż w cuda nie wierzyłem. Jakie nieznane siły zadziałały, bym uniknął niechybnej śmierci?

Obaj motocykliści pojechali tą dróżką nad Wisłokiem – jeden w jedną, drugi w drugą stronę. Ja nabrałem powietrza w płuca, pokonałem resztę stromego wzniesienia i uszedłem dalej w las – z postanowieniem, że z takim groźnym bagażem nie będę się pchał między ludzi, gdzie spotkać mogła mnie jakaś przygoda.

Śmierć Janka Szczepana

Jako potwierdzenie, że decyzja przeze mnie wtedy podjęta była słuszna, wspominam śmierć serdecznie miłego mi Janka[25]. Mimo że nazywaliśmy się tak samo, nie był on moim krewnym. Pochodził z sąsiedniej wioski, gdzie nazwisko Szczepan też było rozpowszechnione. Pracował z nami przy robotach melioracyjnych. Był dopiero co po maturze. Mam jego zdjęcie, zrobione podczas wspólnego wypoczynku. Należał do AK.

Od prawej: Jan Szczepan, Józef Pasternak, Stanisław Szczepan, z tyłu Eugeniusz Szczepan. Zarzecze, wrzesień 1941 roku. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

Od lewej: Eugeniusz Szczepan, Stanisław Szczepan, Jan Szczepan. Zarzecze, wrzesień 1941 roku. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

Pewnego ranka dociera do nas przykra wiadomość. Janek nie żyje. Gonimy do domu jego rodziców i starszego brata. Janek leży już martwy, ale krew, jeszcze świeża i spieniona, wydostaje się z jego ust i nosa. Jest nas tam kilku. Pytamy co, jak, gdzie.

Nocą patrol AK, w którym był Janek, przenosił konspiracyjnie broń do przygotowanej meliny. Dlaczego szli drogą główną, a nie pobliskimi ścieżkami polnymi, nikt nie wyjaśnił. Nadjeżdżał niemiecki patrol, więc oni pochowali się w pobliżu drogi. Nie było ani czasu, ani większych zarośli, by ukryć się lepiej. Janek skoczył do rowu i tam się położył. Ale został zauważony chyba. Wywiązała się walka między nim a Niemcem. Padł strzał – prosto w usta Janka. Niemiec odjechał, ale Janek już dogorywał.

W rozmowach podczas pośmiertnych odwiedzin padały różne pytania. Ja się nieostrożnie zapytałem, kto wtedy tym naszym patrolem dowodził. Jak można było przenosić broń główną drogą?! Odpowiedzi nie usłyszałem. Ale dowiedziałem się później. I źle zrobiłem, bo odbiło się to na mnie. Jak nawet mała nierozważna decyzja może kształtować młode życie ludzi…

Szpieg

Mijają lata 1942 i 1943. Oddział mój powiększył się do dwudziestu pięciu osób. Byli to niemal sami młodzi chłopcy, roczniki od 1919 do 1923, i kilku starszych, nawet z roku 1913. Byliśmy coraz lepiej uzbrojeni. Mieliśmy broń długą, krótką, automatyczną – głównie steny – a także rewolwery, w większości amerykańskie. Zostajemy oddziałem dywersyjnym. To ma być grupa powstańcza z pewnym zadaniem – opanowania określonych obiektów w odpowiedniej chwili. Szkolenie odbywa się systematycznie. Robimy też różne akcje sabotażowe. Na razie uchodzi nam to na sucho. Tu jest dzielnica kraju odsunięta trochę od obszaru głównych działań wojennych. Wojska frontowego u nas nie ma. Są tylko oddziały gospodarcze Schutzpolizei i żandarmeria wojskowa.

Przez Rzeszów przejeżdżają gęsto pociągi sanitarne z zasłoniętymi firanami w oknach (wagony pulmany). Żołnierze jednak często odsłaniają je. Dostrzegamy same bandaże na ciałach. Twarze, z których widać tylko oczy. Ręce, nogi na temblakach. Straszne odmrożenia i rany. Pełne wagony i pociąg za pociągiem zmierzające do szpitali w Niemczech, bo w Rosji nie ma ich wystarczająco dużo. Młodzi chłopcy; aż szkoda ich. Ale pchają się zawsze do przodu. Są już pod Moskwą, Leningradem, Woroniczem, Stalingradem, w Afryce.

Końca tej wojny nie widać. A w Polsce słyszy się i czyta w prasie podziemnej o akcjach sabotażowych, wyrokach na Polakach współpracujących z Niemcami, których jest dużo niestety. Akcja zatrzymania jednego z nich została przeprowadzona w naszej placówce.

Dostaję od specjalnego kuriera z dowództwa dziwny rozkaz. Wynika z niego, że wywiad ustalił, iż na naszym terenie działa szpieg niemiecki wkradający się do oddziałów AK. Dekonspiruje, donosi do Gestapo. Podaje się, że miesiąc temu ojciec tego szpiega przyczynił się do stracenia dwudziestu czterech żołnierzy AK w Jarosławiu. Został ujęty przez nasz tamtejszy oddział i na przesłuchaniu wyznał, że jego syn działał tak samo w Przeworsku i „miał tam sukcesy", ale został wytropiony i zniknął z tego miasta; posługiwał się nazwiskiem Papuga, teraz jednak może mieć już inne. Podał jego rysopis: lat ponad trzydzieści, wysoki przystojny brunet.

Wywiad placówki stwierdził, że taki mężczyzna niedawno zaczął pracować w zakładzie uzdatniania kamienia wapiennego w Czudcu. Zamieszkał u starszej panny w miasteczku (została kilka miesięcy wcześniej ukarana chłostą za współpracę z Niemcami; nazwiska jej nie podają). Jest podejrzenie, że on wybiera się w niedzielę pociągiem z Czudca do Rzeszowa, do Gestapo, o godzinie dwunastej trzydzieści. Rozkaz brzmi: „Ująć go żywcem i doprowadzić do… (tu wymienia się miejsce). W razie niemożliwości ujęcia zastrzelić". Koniec rozkazu.

Czytam i pytam, dlaczego ten rozkaz nie jest kierowany do oddziału likwidacyjnego. Słyszę, że tu chodzi nie o zlikwidowanie go, a o ujęcie. Dziwne to było dla mnie i mówię:

– Przecież będzie środek dnia, ludzi wysiadających i wsiadających dużo. Ja go nie znam. Podobnych do niego może być wielu. Nazwisko może mieć inne, bo jak zwiał z Przeworska, to Niemcy, dla których pracował, na pewno mu je zmienili, tak jak i kwaterę czy mieszkanie. Panie! Pan wie, co znaczy zastrzelić człowieka Bogu ducha winnego? A jak łatwo o pomyłkę? Przecież do niedzieli jest jeszcze pięć dni, niech placówka wyznaczy człowieka z wywiadu, który zna tego donosiciela i którego ja znam. Niech on mi go wskaże palcem.

Kurier odjechał. Zacząłem rozmyślać. Ta cała wywiadowcza praca taka byle jaka. A i dowódca placówki, wydając taki rozkaz, czy pomyślał o możliwości wykonania go? Ale poprawiono to i w sobotę jest meldunek, że wyznaczono człowieka, o którego prosiłem, zna hasło i tak dalej.

Ja dowodziłem oddziałem dywersyjnym i miałem prawo dobrać do każdej akcji ludzi doświadczonych, zwłaszcza w działaniach, w których mogło dojść do rozlewu krwi – nawet z innej wsi, gdyby w mojej takich nie było. Wyznaczyłem trzech, wydałem krótką broń, amunicję i w niedzielę przed południem jesteśmy na stacji w Czudcu. Zastaję tam już człowieka, który zna delikwenta. Krótko porozumiewamy się co do wykonania zadania. Jednego

z chłopców wysyłam do parowozu, by trzymał pociąg na postoju do zakończenia akcji, dwu pozostałych rozstawiam w odpowiednich odległościach na peronie, bo nie wiem, gdzie tamten będzie wsiadał. Ludzi, pasażerów już trochę jest, jego jeszcze nie widać. Czas ucieka. Spacerujemy spokojnie wszyscy w pewnym oddaleniu od siebie, porozumiewamy się wzrokowo. Jestem pewien, że taki człowiek nie rusza się bez broni, bo wie o konieczności zabezpieczenia siebie. Nie będzie również kręcił się po peronie za długo. Musi działać szybko. Znienacka podejść do wagonu, niepostrzeżenie. Czas przyjazdu pociągu już się zbliża, ludzie opuszczają poczekalnię i podchodzą w pobliże toru. Informator zaczyna posuwać się energiczniej wśród pasażerów. Daje mi znak, że nie ma tego Papugi. Sygnał pociągu już słychać; wjeżdża na most przed stacją. Informator pokazuje rękami, że nadal tamtego nie widzi. Zbliżam się do niego. Pociąg staje. W nerwowym tempie przesuwamy się wszyscy koło wagonów. Ludzie mieszają się. Jedni wysiadają, drudzy wsiadają. Jego wciąż nie ma. Informator daje znak, że go nie widział. Pociąg odjechał ze stacji, my zostaliśmy. Pytam:

– I co?

– Nie było go – odpowiada ten z wywiadu.

Pytam znowu:

– Wiesz, gdzie mieszka?

Wie i podaje mi ulicę i numer domu. Dom ten znałem, bo znajdował się w rynku, koło urzędu gminnego, na rogu ulicy. (Pracowałem w tym urzędzie z siedmioma innymi osobami przez cztery miesiące w komisji wysyłania kenkart dla ludności gminy). Idziemy tam, już bez informatora, który boi się rozpoznania. Dom otoczony oparkanionym ogródkiem. W dwu oknach kwiaty. Na środku drzwi do korytarzyka. Janek pilnuje jednego okna, Zygmunt drugiego, Staszek ubezpiecza mnie[26]. Zajmują swoje miejsca. Nic się nie dzieje. Ja wchodzę do korytarza. Drzwi po lewej stronie to mają być te. Pistolety odbezpieczone. Palec na języku spustowym. W zamku drzwi zastaję klucz od strony korytarza. I drzwi niezamknięte. Właścicielki mieszkania wewnątrz nie ma – a była ona już ukarana przez AK za współpracę z okupantem. Przypuszczalnie to mieszkanie zostało wskazane Papudze przez Niemców jako melina.

Co się więc stało z tą kobietą? W pośpiechu uciekła, bo zauważyła nas zbliżających się? Może poszła tylko do ubikacji? A może zostawiła drzwi otwarte, by umożliwić nam rozmyślnie ciche wejście do środka, bo wiedziała, że tamten ma broń i mógł kogoś z nas zastrzelić? A idąc dalej: może w jakiś sposób sama przekazała wywiadowi AK, że on ma się udać do Gestapo

w Rzeszowie z wykazem zdekonspirowanych osób? Może jako Polka chciała się zrehabilitować za dotychczasową przyjaźń z Niemcami? Bo nie wracała przez cały czas trwania akcji wyprowadzenia tamtego z domu. Wyjaśnienia definitywnego tej sprawy nie znam.

Lekko uchylam klamkę i otwieram drzwi. Robię krok do przodu. Widzę czyjąś głowę na łóżku.

– Wchodź! – powiedziałem do Staszka, który stał na korytarzu. Ten w pokoju też mnie jednak usłyszał, zerwał się i rękę wsunął pod poduszkę.

– Stop! Ręce do góry! – Podchodzę do niego i wyciągam mu spod tej poduszki parabellum, wspaniały niemiecki pistolet. Pytam:

– Pan Papuga?

– Tak, a o co chodzi?

Nie straszę go. Proszę, by ubierał się i zabrał ze sobą wszystkie swoje dokumenty. Jest blady jak ściana, jakoś głupio pyta, jakie ubranie ma włożyć, co świadczyło o jego zdenerwowaniu. Wyjaśniam mu, że nic mu nie grozi, bo wychodzimy tylko na pewne wyjaśnienia. Ostrzegam jednak, że jest nas czterech, więc wszelkie nieprzemyślane próby ucieczki będą ukarane. Uśmiechnął się i mówi:

– Na pewno by głowa spadła!

– Prawdopodobnie – odpowiedziałem.

Wyszliśmy i przyprowadziliśmy go do wskazanego w rozkazie miejsca. Zginął dwie godziny później w pobliskim lesie, rozstrzelany przez oddział likwidacyjny. Co zeznał, nie dowiedziałem się, gdyż przekraczało to moje kompetencje. Swój rozkaz wykonałem.

Zastanawiałem się jednak nad przebiegiem całej naszej akcji. Czy w tej sprawie nie uśmiechnęło się do mnie szczęście? Ten klucz w zamku na zewnątrz i otwarte drzwi… Co byłoby, gdybym zastał wszystko zamknięte? Musiałbym zapukać i zaczekać, aż mi ktoś otworzy. Tamten wtedy na pewno stałby już tuż koło drzwi i z pistoletem gotowym do strzału. I to spotkanie mogłoby mieć wtedy zupełnie inny przebieg. Jak się to więc stało, że było, jak było? Czy może ta kobieta wyszła na chwilę? Nie znalazłem innego wyjaśnienia.

Po wszystkim odczułem ulgę w sercu. Bo jeżeli on miał już jakąś liczbę członków AK na rozkładzie, to czy ja nie obroniłem własnego życia? Przecież kilka dni później zginął od kuli gestapowców mój krewniak Batycki, który też działał w podziemiu, choć w organizacji związanej z innym obozem politycznym niż AK. Kto go wsypał, nie zostało wyjaśnione. A może był to początek działania Papugi?

Bydło zarodowe

Był już początek roku 1944. Wojna pod Stalingradem została przez Niemcy przegrana. Wycofali się na całej szerokości frontu wschodniego. Z Afryki też. Front zachodni jest już wyraźnie zagrożony. W Polsce żołnierze niemieccy przygotowują się do powstrzymania naparcia wojsk radzieckich. Minują mosty, zaczynają wywozić do swojego kraju zagrabione nam dzieła sztuki, całe muzea, wszystko, co wartościowe. Doświadczyliśmy tego także na terenie naszej placówki AK.

Istniały tu trzy duże gospodarstwa rolno-leśne, usytuowane co dwa kilometry: w Babicy, w Czudcu i w Nowej Wsi. Przeszły w 1940 roku pod zarząd Niemców, którzy planowali tutaj osiedlić swoich rolników[27]. Przygotowywali się do tego skrupulatnie. Między innymi wymieniono bydło rasy czerwono-białej podobno nisko mlecznej na czerwono-białą wysoko mleczną. Sprowadzono te krowy z Holandii i Danii; około osiemdziesięciu sztuk do każdego gospodarstwa. Nasze krowy poszły na rzeź dla wojska. Front zbliżał się coraz bardziej. Rasowe bydło postanowiono odesłać do Niemiec, bo szkoda było zostawić je w Polsce. Podstawiono kilkadziesiąt wagonów do załadowania tych dwustu krów. Wywiad AK przy pomocy części Polaków pracujących jeszcze w tych folwarkach ustalił dzień i godzinę planowaną na przepęd luzem zwierząt do stacji załadowczej w Czudcu. Rozkaz brzmiał: „Nie dopuścić do wywozu".

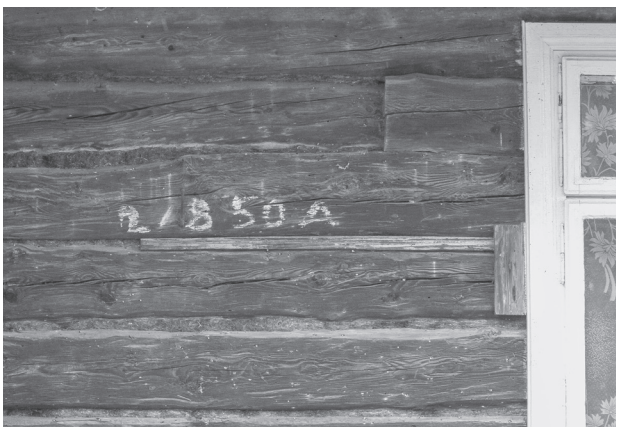

Ostatni zachowany w Zarzeczu numer ewidencyjny na ówczesnym domu Adama Wójcika pozostały po niemieckich przygotowaniach do wysiedlenia ludności (obecnie dom ma numer 101). 2017 rok. *Magdalena Wilk, zbiory prywatne Bronisława Wilka*

Rozkaz idzie do mnie, bo mam oddział dywersyjny, a to przecież dywersja. Tereny, na których leżą gospodarstwa, trochę znam, za wyjątkiem Nowej Wsi, w której nigdy nie byłem. Biorę sobie do pomocy znajomego akowca z sąsiedniej wioski[28]. Jedziemy na miejsce, badamy okolice, drogi. Nic szczególnego, jak na wsi. Termin już podano. To za dwa dni. Myślę, że może da się uniknąć strzelaniny. Bydło pędzić będą pastuchy, a to przecież Polacy, w większości kobiety. Oczywiście któryś z Niemców musi nadzorować ten cały wypęd i załadunek; pojedzie pewnie na koniu. A może będzie to jednak Polak? Cała ta

stajenna obsługa to też Polacy; wielu z nich – na pewno członkowie AK. Będą chcieli, by takie bydło zostało w kraju.

Wysyłam na każdy folwark po czterech odważniejszych akowców, wyznaczając w każdej grupie dowódcę – chłopa po wojsku. Pozostali są młodzi, jeszcze trochę surowi, bo tych akcji to tak dużo nie było, ale dobrze z bronią obeznani. Ostrzegam, żeby nie strzelać do naszych ludzi, do Niemców też nie, chyba że zaczęliby zbrojnie protestować. Ponieważ do stacji jest dwa kilometry uczęszczanej drogi, a bydło będzie szło luzem, nakazuję starać się zatrzymać ten cały pochód jak najwcześniej. Wydałem broń – automaty sten, do których amunicja była tylko ostra (ślepaków nie produkowano za granicą).

Grupy rozeszły się wcześnie rano na swoje ukryte stanowiska. Ja wziąłem sobie środkowe, w Czudcu, w okolicy tartaku. Czekamy. Sygnał, że zwierzęta już wychodzą z obór, miał dać jeden z chłopaków, jadąc na rowerze z założonym na kierownicę bukietem kwiatów. Po chwili widzimy go. Podchodzimy do starych kasztanów rosnących przy drodze. Słyszymy porykiwanie zbliżających się krów. Spokojnie wędrują drogą. Z jednej i drugiej ich strony idą pastuchy z kijami i pokrzykują. Za całą tą grupą widzimy trzy osoby w mundurach. Jadą konno. Wychodzimy zza kasztanów i wzywamy tych pastuchów do zawracania krów. Grozimy, że w razie sprzeciwu będziemy strzelać. Mamy biało-czerwone opaski na rękawach. Reakcja jest natychmiastowa. Pastuchy biją te biedne krowy po łbach, krzyczą. Z tyłu idące zwierzęta prą do przodu, niezorientowane. My zza krzaków patrzymy na to spokojnie, bo wszystko odbywa się zgodnie z planem. Niemcy, widząc co się dzieje, zawracają konie i uciekają do folwarków. Usłyszeli dwa strzały, które oddaliśmy na początku. Robi się na drodze zamęt. Jedne krowy idą do przodu, drugie do tyłu. Nie ma przejazdu. W tę kupę bydła wjeżdża nagle niemiecki samochód ciężarowy. Staje i czeka, aż droga przed nim będzie wolna. Ruszył i pojechał w stronę rynku. Patrzymy za nim. Groza – na ławach pod plandeką widzimy pełno żołnierzy. Szybko schodzimy w zarośla za tartakiem, bo akcja już przecież zakończona. Przemieszczamy się w stronę Babicy, bo usłyszeliśmy stamtąd odgłosy strzałów, które jednak po chwili ucichły. Od Nowej Wsi też cisza. Zbliżamy się do lasu. Z daleka widzimy naszych chłopców: jeden jedzie na koniu, drugi prowadzi krowę.

Cała ta akcja, niby nic nie znacząca, pozwoliła jednak zatrzymać w kraju około dwustu krów rasowych, a również świadczyła o tym, że Niemcy bali się już każdego polskiego cienia*.

* W 1947 roku sąd wojskowy w Szczecinie uznał tę zakończoną powodzeniem akcję za odciążającą mnie w myśl ustawy amnestyjnej.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że ten samochód dojechał do rynku i tam stanął. Wysiadło z niego kilkudziesięciu żołnierzy; zaczęli przystawiać karabiny do piersi każdego napotkanego człowieka, krzycząc: „Bandit! Bandit!", ale potem odjechali w spokoju.

Krowę podarowano członkowi AK pseudonim „Liść" z Czudca, bo był żonaty i bardzo biedny, a mieszkał pod lasem.

Akcja „Burza"

Upływa wiosna roku 1944. Daje się zauważyć zainteresowanie Niemców wybudowanym przez nich w poprzednich latach tunelem pod wysoką i rozległą górą za Wisłokiem. Przecinał on okrężną drogę i tor kolejowy z Czudca do Strzyżowa. Był obudowany betonowymi bunkrami. Zajeżdżały tam niemieckie pociągi pancerne i salonki pancerne – oczywiście z niemieckimi maszynistami. Tuż przy wjeździe do tunelu były dwa mosty na Wisłoku: drogowy betonowy i kolejowy żelazny. W bunkrach, dobrze uzbrojonych, wartę pełniło po sześciu żołnierzy. Co było w tunelu, nikt nie wiedział. Ale salonki zajeżdżały tam dość często, bo odcinek toru kolejowego Rzeszów–Czudec (dwadzieścia kilometrów) obstawiony był nocami przez patrole niemieckie.

Wersja podawana przez Polaków mówiła, że bywał tam Goering i jego świta. Hitlera tam podobno nigdy nie było. Jak wyglądało wyposażenie wnętrza tunelu, nie zostało ustalone[29].

Linia kolejowa Rzeszów–Jasło wyraźnie się ożywiła. Co i gdzie wywożono tymi często kursującymi pociągami, dowiedzieć się nie było można. Front wschodni wkraczał już za dawne granice Polski. W województwie białostockim zaczęły działać oddziały akcji „Burza"; miały już miejsce konflikty zbrojne wojsk radzieckich i jednostek AK. W naszej placówce przystąpiono do wyznaczania osób, które mogły wziąć udział w tej akcji. Nadchodziły bowiem dni żniw i pozostawić w domu trzeba było tych, bez których nie dałoby się obejść. Poza tym nie wszystkie miejscowości miały być włączone do akcji ze względów oszczędnościowych i z powodu problemów z uzbrojeniem.

Decyzja zapadła. Wytypowano trzydziestu czterech żołnierzy, z czego z Czudca i Babicy łącznie szesnaście osób, z Zarzecza siedemnaście, z Przedmieścia Czudeckiego jedną, plus pięcioosobową rezerwę. Głównym zadaniem placówki było przygotowanie żołnierzy do powstania u schyłku wojny. Szkoliło się wojsko typu bojowego, by mogło bojem opanować wskazane obiekty wojskowe i gospodarcze – podobnie jak się to działo po pierwszej wojnie światowej. W planach okręgu Rzeszów dla placówki „Czeremcha" przewidziane było opanowanie Deutsches Haus w Rzeszowie, na Wygnańcu,

a następnie – przy współdziałaniu z innymi placówkami – fabryki silników lotniczych i ewentualnie stacji PKP Rzeszów Staroniwa i Rzeszów Osiedle.

3 maja wyruszamy na wskazany teren. Jest to las na granicy Czudca i Zaborowa, tuż przy wylocie opisanego wyżej tunelu, blisko mostów[30]. Cel – ochrona przed wysadzeniem w powietrze zaminowanych już obu mostów (zniszczenie ich miało opóźnić albo uniemożliwić pościg wojsk radzieckich za Niemcami). Przede wszystkim mieliśmy zlikwidować obronę bunkrów. Możliwe były i inne, nieprzewidziane wcześniej, działania; decydował o tym dowódca placówki, który miał swoją kwaterę w domku jednego z gospodarzy, niedaleko naszego postoju. Przychodzimy na miejsce; oba bunkry zastajemy już puste. Meldujemy o tym dowódcy placówki. Jest zdziwiony tym faktem tak samo jak i my. Postanawiamy czekać, ale przypuszczamy, że Niemcy wycofali ochronę mostów, bo planowali wysadzić je już tej nocy. Z drugiej strony po co robiliby to tak wcześnie, zamykając odwrót własnym oddziałom? Front był przecież jeszcze kilkaset kilometrów stąd.

Noc upływa całkiem spokojnie. Dostajemy wyśmienite śniadanie*. Przed południem zbliża się do nas ostrożnie gajowy i mówi:

– Panowie, zauważyłem, że dym wydobywa się z wąwozu, tu niedaleko. Są tam Niemcy. Uzbrojeni żołnierze. Chyba z dziesięciu.

Jesteśmy zdziwieni, ale mówimy gajowemu:

– Panie, pokręć się pan koło nich, by pana zauważyli. Oni zdają sobie sprawę, że nawiązanie jakiegoś kontaktu z Polakiem pomogłoby im ruszyć się stąd gdzieś dalej. Bo to na pewno są żołnierze, którzy zdezerterowali z tych bunkrów i boją się z tego lasu wyjść. Nic panu złego nie zrobią, bo może im pan pomóc. Umie pan po niemiecku?

Nie umie.

Jest dla nas całkiem niezrozumiałe, dlaczego żołnierze niemieccy dezerterują teraz, kiedy kończy się już wojna, a swoją służbę pełnili do końca.

Do wieczora nic się nie dzieje. Mija noc. Gajowy zjawia się dość wcześnie.

– Panowie, wiecie co? Chyba to nie Niemcy, chociaż ubrani są jak Niemcy. Podsłuchałem, jak mówią po rosyjsku. Ostrożnie zbliżyłem się do nich. Za-

* Żywność zapewniały nam oddziały Batalionów Chłopskich, współpracujące z AK. Byli to starsi już chłopi; mieli dobrze zorganizowaną pomoc dla akowców, którzy jako spaleni ukrywali się w melinach czy lasach. Młyny, rzeźnie i poszczególne gospodarstwa współdziałały z BCh. Członkowie tej organizacji świadczyli także pomoc w przejmowaniu zrzutów z samolotów; zajmowali się transportem i przechowywaniem towarów oraz ładunków; prowadzili tajne nauczanie. BCh stanowiły drugi podziemny front Polaków, bardzo potrzebny i ofiarny w walce zbrojnej.

uważyli mnie i zaczęliśmy rozmawiać. Oni już wiedzieli, że w tym lesie jest jakieś polskie wojsko. Jeden z nich prosił mnie, żebym dowódcę tego wojska poprosił o kontakt z nimi. Zaraz tu przyleciałem.

„Świder", bo on był komendantem naszej grupy, zabiera mnie ze sobą i idziemy z tą wiadomością do kwatery dowódcy placówki[31]. Ten zgadza się, abyśmy spotkali się z żołnierzami, ustalili, jaką mają broń, co zamierzają robić; potem podejmie dalsze decyzje. Wracamy więc, zabieramy z sobą tego gajowego, a na wszelki wypadek każemy dziesięciu naszym żołnierzom posuwać się za nami.

Maszerujemy ponad kilometr. Z wąwozu wydobywa się smużka dymu. Na jego grzbiecie widzimy kilka hełmów. Leśniczy podchodzi do Rosjan. Ci powstają i ruchem ręki zapraszają. Idziemy. Nasza tylna ochrona za nami. Oni podnoszą z ziemi swoje automaty i od razu na wstępie z wyrzutem pytają, dlaczego przychodzimy z gotową bronią do strzału, przecież oni zamiarów wrogich nie mają. Zaczynamy rozmawiać i nieźle ich rozumiemy, bo mówią dość poprawną polszczyzną.

– Jesteśmy jeńcami niemieckimi. Zabrali nas do niewoli, przebrali w swoje mundury i kazali pilnować tego tunelu i mostów. Zgodziliśmy się, bo byliśmy żywieni, a służba nie była ciężka.

Mówią, że chcieliby dołączyć do nas i walczyć z germańcem jako „partizant". Jest ich jedenastu. Mają dwa karabiny maszynowe z pełnymi taśmami do nich i automaty bergmann, do tego trochę granatów. Nie mają natomiast co jeść.

Proponujemy im wymianę broni. Damy im steny za bergmanny i karabin maszynowy angielski na magazynek górny za jeden niemiecki z taśmą. Oni wymiany broni w ogóle nie chcą. Wiemy jednak, że są w bardzo trudnej sytuacji, bo nie mają żywności; oni też to samo wiedzą. Spuszczają z tonu. Powoli dochodzimy do porozumienia. Dostajemy karabin maszynowy i pięć ich automatów za sześć naszych stenów – mamy ich jeszcze i tak dość. Granaty nie miały zbytniego znaczenia, bo mieli ich około dwudziestu sztuk, a my tych typu Handgranate nie chcieliśmy.

Dowódca placówki porucznik Szybkowski taką wymianę zaakceptował i następnego dnia rano Rosjanie zjawili się na śniadanie. Racje żywnościowe zostały zwiększone. Kiedy poszliśmy jednak po tę decyzję, dowódca zrobił nam uwagę, że daliśmy się trochę okłamać. Rosjanie jako jeńcy nie mogli bowiem dostać mundurów niemieckich, a przede wszystkim broni i dostępu do tak strzeżonych miejsc, jak ten tunel. Przypomniał nam, że z początkiem wojny część wojsk radzieckich pod czyimś tam dowództwem przeszła do-

browolnie na stronę niemiecką. Muszą to być zatem zdrajcy ojczyzny, którzy boją się swoich wojsk. Gdyby nawet tak było, to jest to jednak ich sprawa, nie nasza. Broń wymieniona została korzystnie dla oddziału i to się liczy.

Amfibia

Kolejnych kilka dni upłynęło w spokoju. Front wschodni wszedł już w nasze dawne granice. Był lipiec, upalny jak zwykle. Rozpoczynały się żniwa. Po przeciwnej stronie Wisłoka, na rozległym polu, stały mendle zboża. Nieco dalej uwijało się około dwudziestu ludzi przy koszeniu i wiązaniu snopów. Było już po południu. Nagle słyszymy wybuch granatu w Czudcu, jakiś kilometr od nas. Co się mogło stać? Nie było przecież w mieście żadnego naszego oddziału. Bierze któryś lornetkę i obserwuje okolicę. Melduje, że na drogę w stronę Nowej Wsi wyjeżdża mały samochód wojskowy z kierowcą i trzema oficerami w środku i powoli jedzie w naszym kierunku. Droga ta po drugiej stronie Wisłoka ciągnie się w oddaleniu około ośmiuset–dziewięciuset metrów od brzegu rzeki. Zauważamy, że samochód to tak zwany łazik, ale trochę innej konstrukcji. Jedzie wolno, jeszcze wolniej, wreszcie staje. Oficerowie wysiadają, oglądają tył wozu. Gratka dla nas. Łapiemy za steny i wpław przez rzekę; wpadamy do potoku leśnego przepływającego pod drogą, przy której stoi pojazd. Przed tym wysyłam Władka M.[32] i trzech żołnierzy z dłuższymi karabinami zdobytymi od policji parę tygodni wcześniej, aby szli brzegiem rzeki i zamknęli tamtym drogę od zachodu. Biegniemy w siedem osób nad rowem; samochód mamy na wprost. Co parę sekund któryś z nas wychyla się z zarośli i ocenia odległość od Niemców (wiemy, że sten to broń o krótkim zasięgu pocisku). Wreszcie widzimy, że Niemcy z automatami gromadzą w jednym miejscu ludzi zbierających zboże; coś krzyczą, wymachują rękami. Ludzie bezwładnie skupiają się, nie wiedząc, o co chodzi. My wciąż biegniemy; jesteśmy coraz bliżej, ale jeszcze za daleko. Kierowca wyciąga z wozu karabin maszynowy, ustawia trójnóg na rowie. Wypadamy z potoku w trzech, czterech leci za nami. Ja i Ludwik B.[33] stajemy za mendlem i z okrzykiem „Hände hoch!" oddajemy strzały do tych trzech oficerów. W popłochu wycofują się do samochodu, też strzelając do nas. Ludzie rozbiegają się po polu. Wywiązuje się normalna walka, padają gęsto strzały. Widzę, że stojący obok mnie Ludwik zgiął się, automat wyleciał mu z ręki, a on chyłkiem pobiegł do wąwozu, w którym płynął ten potok. Strzelamy dalej; wreszcie odzywają się karabiny od Władka M., który właśnie dotarł z trójką chłopców. Niemcy dostali ogień z boku. Zaczęli uciekać potokiem w przeciwną stronę, w kierunku pól i lasu. Ludwik już nie żył.

Dobiegliśmy do drogi i pojazdu. Była to amfibia ze skrzynią wewnątrz, wypełnioną jakimiś dokumentami i mapami. Miała przebite tylne koło odłamkiem granatu. Któryś z uratowanych mężczyzn przyprowadził konia i na podłożonym drągu zawlekliśmy pojazd w zarośla koło rzeki, bo nie chcieliśmy, by było widoczne miejsce tej potyczki. Spośród cywilnej ludności ucierpiała jedna kobieta – została ranna w nogę.

Dowódca grupy „Świder" nie był wtedy obecny. Aby kontynuować pościg za Niemcami, musiałem dozbroić i uzupełnić oddział. Było rzeczą jasną, że wśród pól zarośniętych jeszcze zbożami, ziemniakami i innymi wysokimi roślinami, na terenie z wąwozami i pagórkami ciężko będzie wytropić uciekinierów, którzy uszli z bronią w ręku. Pogoń posuwała się więc ostrożnie i powoli; czas upływał i zaczęło się robić ciemno. Na szczęście napotkałem patrol należący do sąsiedniej placówki – okazało się, że wszedłem już na ich teren działania. Przekazałem wszelkie informacje o tej akcji i wróciłem do swego miejsca postoju. Porucznik Szybkowski dowiedział się, że Niemcy zostali wytropieni dopiero nad ranem i oddani do dyspozycji dowódcy tamtej placówki.

Nasi Rosjanie w tej akcji nie uczestniczyli*.

Najazd czołgów

Nie wiadomo skąd znalazło się na naszym terenie sześć czołgów. Nie był to przecież szlak wycofywania się Niemców przed natarciem wojsk radzieckich; na południe od Rzeszowa nie stacjonowały też niemieckie oddziały. Chyba zabłądziły w górzystym terenie i próbowały wydostać się z tej plątaniny wiejskich i polnych dróg. A robiły to w sposób iście wojenny i brawurowo, strzelając co chwila do stodół napotykanych przy drodze. Tak było w Nowej Wsi, na obszarze działania naszego oddziału. Ruszyliśmy ku czołgom, by ukrócić tę samowolę, bo trzy pożary były już z daleka widoczne. Poszła połowa oddzia-

* Rosjanie byli z nami do zakończenia „Burzy". Wzięli tylko raz udział w akcji, o czym piszę dalej. Po wejściu do Polski wojsk radzieckich i rozwiązaniu oddziałów AK posmutnieli, zaczęli się między sobą naradzać, a wreszcie zapytali, co teraz z nimi zrobimy. Po spotkaniu u dowódcy placówki przedstawiliśmy im dwie możliwości: albo umieścimy ich u bogatszych chłopów na wsi, by tam przetrwali jakiś czas (bo wszyscy spodziewaliśmy się, że taka sytuacja nie potrwa długo), albo damy każdemu z nich oświadczenie, podpisane przez dowódcę placówki i opieczętowane, że wspólnie z nami walczyli z Niemcami. Wybrali to drugie. Jeden z naszych żołnierzy przeprowadził ich do Dębicy, gdzie była cała naczelność wojsk radzieckich. Wszystkich rozstrzelano natychmiast. Okazało się, że podejrzenia naszego dowódcy placówki okazały się trafne.

łu, w tym Rosjanie. Nie mieliśmy żadnej broni przeciwpancernej ani nawet pocisków przeciwpancernych; wzięliśmy kilkanaście granatów, które jednak czołgom Tiger również zbytnio nie zagrażały. Postrzelaliśmy trochę, oni do nas też, ale bez rezultatów. Jedynym efektem tej wymiany ognia było to, że zdecydowali się zawrócić, nie powodując już po drodze większych strat.

A może byli to uciekinierzy z linii frontu?

Obrona mostów

Front dochodził do nas. Kończył się lipiec. Niemcy, którzy tkwili jeszcze w tunelu, przypomnieli sobie, że mosty trzeba wysadzić, a potem wyjechali w kierunku Jasła, by mieć bliżej do Reichu. Pierwszy raz wybrali się w stronę tych mostów drezyną naładowaną jakimiś materiałami. Ostrzelaliśmy ich obficie. Szybko wycofali się do tunelu. Wyglądało to tak, jakby w ogóle nie wiedzieli, że w ich pobliżu był leśny oddział.

Mosty drogowy i kolejowy w Żarnowej około 1940 roku. *Zbiory Haliny Pokrzywy (za:* T. Machowski, G. Nycz, *Koleją z Jasła do Rzeszowa. Najciekawsze linie kolejowe Polski*, Rybnik 2014, ryc. 108*)*

Następnego dnia wyjechali już opancerzoną salonką, która pozostała jeszcze z dawnych dobrych czasów. Wywiązała się znów taka sama strzelanina, jak dnia poprzedniego. Nie robiliśmy im wielkiej szkody, do chwili gdy nie weszły do akcji oba karabiny maszynowe. Nie posiadaliśmy naboi z pociskami przeciwpancernymi, które mogły przebić okrywę salonki. Na rzut granatem

było za daleko. Taka szarpanina trwała ponad godzinę. Strzelaliśmy ze schronów ziemnych przygotowanych wcześniej. Niemcy doszli chyba do wniosku, że dalsza wymiana ognia uniemożliwi im założenie ładunków wybuchowych na mosty. Wycofali się więc po raz drugi. W następnych dniach nie pokazali się już. Oba mosty ocalały i stoją do dziś[34].

Zdrada Rosjan

Oddziały wojsk radzieckich zapełniały już polskie miasta i wsie, ale w naszej części kraju nie słyszało się jakoś o gwałtownych starciach z Niemcami; na samym Podkarpaciu żołnierzy niemieckich już nie było. Wojsk typu bojowego podczas całej niemal okupacji nie widziało się prawie. Do nas dochodziły tylko głuche pomruki z dział artylerii z północy, od strony Krakowa.

W Warszawie wybucha powstanie żołnierzy AK. Jest tam jeszcze dużo niemieckich wojsk. Walki są ciężkie. Armia radziecko-polska zbliża się do Pragi. Należący do niej Polacy chcą przekroczyć Wisłę, by pomóc powstańcom, ale dowódcami w tej armii są oficerowie radzieccy, którzy nie dają takiego rozkazu. Całe wojsko stoi na Pradze bezczynnie, gdy powstańcy nasi giną po drugiej stronie rzeki w walce z wielką przewagą Niemców. Warszawa wali się w gruzy od pocisków artylerii, czołgów, bomb, miotaczy ognia. Powstańcy schodzą do kanałów, będących już jedyną drogą do przegrupowań. A tamci zza Wisły nadal stoją. Czekają. Lotnicy z Anglii chcą udzielić pomocy, dokonać zrzutów broni. O zgodę na lądowanie samolotów na lotniskach zajętych przez wojska radzieckie prosi rząd Anglii. Nie dostaje jednak zezwolenia. Dlaczego? My to wiemy. Chcemy pomagać powstańcom i maszerować do Warszawy. Było już kilka pierwszych takich prób. Oddziały nasze zostały jednak wyłapane i rozbrojone przez wojska radzieckie.

Ja wpadam do domu (mam do Zarzecza ponad dziesięć kilometrów), by zmienić bieliznę, bo u nas nic się jeszcze nie dzieje. Ale w domu jest już szpital frontowy (w środku są cztery pomieszczenia). W największym pokoju ranni żołnierze ruscy leżą na polowych łóżkach lub na samej słomie. Podłoga zaśmiecona zakrwawionymi tamponami z waty, jakimiś bandażami. Fetor i zaduch. W pokoiku obok kwaterują dwaj młodzi oficerowie. Medale na piersiach. To chyba lekarze. Po drugiej stronie wejścia mieszkają przekwaterowani tam członkowie naszej rodziny. Oficerowie patrzą na mnie obojętnie, ale spoglądają na biało-czerwoną opaskę na ramieniu. Po wymianie bielizny opuszczam dom, żegnany pocałunkami przez rodzinę. Zauważam na trawniku obok słupek z czerwoną gwiazdą na górze. To jakaś mogiła[35]. Obok

u sąsiada widzę za żywopłotem działo przeciwpancerne. Przykrego uczucia doznałem po tej wizycie.

Dom Stanisława Szczepana w 1995 roku, niedługo przed rozbiórką; w tyle krzyż, pod którym pochowano żołnierza radzieckiego. *Bronisław Wilk, zbiory prywatne Bronisława Wilka*

Dom Stanisława Szczepana w 1995 roku, niedługo przed rozbiórką. *Bronisław Wilk, zbiory prywatne Bronisława Wilka*

Dostaję się jakoś do swego oddziału. Minorowe nastroje. Dowódca placówki już jest aresztowany i nie wiemy, gdzie się znajduje. Akcją „Burza" dowodzi „Świder".

Przypominamy sobie relację sprzed kilku lat rozpowszechnianą przez Niemców za pomocą „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" w Krakowie. Niemcy odkryli wówczas w Katyniu masowe groby oficerów polskich – leżało ich tam około dwunastu tysięcy. Burza rozpętała się koło tej afery. Niemcy posądzają o ten mord Rosjan; ci zaprzeczają. Rozpowszechniane są zdjęcia ciał, dokumentów, rzeczy osobistych. Stan zwłok świadczy o tym, że oficerowie zamordowani zostali w roku 1940, jak Niemców jeszcze w Rosji nie było. Proponują powołanie międzynarodowej komisji Czerwonego Krzyża. Rosja nie zgadza się na to. Dlaczego? Dla narodu wszystko staje się jasne*.

* Groby polskich żołnierzy odnajdywane były jeszcze w innych częściach Kraju Rad. Sprawa ta znana była w całej Europie. Po wojnie, gdy w Norymberdze Międzynarodowy Sąd Wojenny osądzał zbrodniarzy wojennych, nie zajęto się nią jednak i nikt nie poniósł za te mordy odpowiedzialności. Dlaczego? To frapowało i frapuje Polaków. Rosjan bano się już. Pozwolono im robić w Polsce, co chcieli; na konferencji w Jałcie też. Pozostawiono Rosji władanie nad krajami bałtyckimi: Litwą, Łotwą i Estonią; pozwolono podejmować decyzje w sprawach politycznych i gospodarczych na Węgrzech, w Czechosłowacji, Rumunii, Bułgarii, Jugosławii. Po co?

Dochodzi do nas następna smutna i denerwująca wiadomość. Rząd, a raczej generalicja radziecka proponuje zorganizowanie spotkania z wyższymi dowódcami Armii Krajowej celem ustalenia dalszej współpracy. Szesnaście osób ze strony AK zgłasza się w ustalonym miejscu. Zostają aresztowane i samolotem wywiezione do Moskwy. Kolejny dowód zdrady – słowem oficerskim gwarantowano Polakom bezpieczeństwo.

Rozwiązanie Armii Krajowej

Generał Okulicki rozwiązuje Armię Krajową. Wielu ludzi popełniło samobójstwo z tego powodu. Pozbawieni jesteśmy nadziei na wolność. Żal nam pięcioletniej walki z pierwszym okupantem. Żal przelanej krwi, żal tysięcy ludzkich istnień zamęczonych w obozach i więzieniach; żal nam tej ofiarności dla kraju. Żal utraconych szans życiowych. Dostajemy się pod nową okupację, jeszcze gorszą od poprzedniej i tak znienawidzoną podczas wcześniejszej ponad stuletniej niewoli.

Rozkaz jest jednak rozkazem. Wycofujemy oddział z terenu. Oddział już zdekonspirowany po jawnym naszym wyjściu do lasu z biało-czerwonymi opaskami, przez co znajdujemy się w groźnej sytuacji. Mamy obowiązek zdania broni i ujawnienia się. Robią to dowódcy kompanii i plutonów. Niszczone są różne szyfrowane akta osobowe. Melinowana jest lepsza broń różnego typu. Ocala się, co możliwe do ocalenia. Choć publikowane są zapewnienia, że nikt nie będzie szykanowany za ukrywanie się i utajanie swej działalności, nie wierzymy w to. Znamy wiele przykładów niedotrzymywania przez Rosjan obietnic.

Trwa rekrutacja młodych mężczyzn do Ludowego Wojska Polskiego.

Front zostaje zatrzymany po lewej stronie Wisły dla uzupełnienia uzbrojenia i żywności. Reorganizacja bojowa przed następnym atakiem na Berlin.

Wrzesień 1944[36]. Otrzymuję meldunek, by zgłosić się na zebranie w Nowej Wsi. Podany jest adres i termin. Teraz? Przecież już nie istniejemy. Ale zgadzam się.

Jest noc; miejsce strzeżone przez uzbrojonych chłopców. W pokoju o zasłoniętych oknach znajduje się kilkunastu mężczyzn, z których nie znam jeszcze kilku. Przedstawia się członek okręgu AK w Rzeszowie pseudonim „Szaman". Przybywa w celu zakonspirowania kadry poakowskiego podziemia zbrojnego i ustalenia nowej struktury bojowej w placówce. Krótkie przemówienie wstępne o nowej sytuacji po unieważnieniu i rozwiązaniu AK. Oczywiście konspiracja trwać będzie nadal – w nieco ściślejszym gronie, opracowanym przez obwód w Rzeszowie w porozumieniu z dowódca-

mi placówek. Podaje dalsze zasady konspirowania pracy kadry. Zwyczajni żołnierze nie biorą w tym udziału i mają utrzymać pozorną lojalność wobec władz Polski Ludowej, by nie narażać siebie i swoich rodzin na antypolską działalność. Reorganizuje się system scalania pozostałych oddziałów w kompanie. Dowiaduję się, że powierzono mi dowództwo kompanii trzeciej, powstałej z połączenia oddziałów z Zarzecza i Lubeni; a to z powodu otrzymania stopnia oficerskiego*. Nowe stanowiska i funkcje dostali i inni kadrowcy.

Zaczęły padać pytania na temat dalszej naszej przyszłości konspiracyjnej. Nie było jednak długofalowych planów. Sytuacja nie skrystalizowała się jeszcze do tego stopnia, by można było podejmować dyskusje na ten temat. Jedno nie ulegało wątpliwości: należy nadal uczestniczyć w walce podziemnej, bo wojna jeszcze trwa i nie wiadomo, jak się skończy ani jaki zostanie ustalony porządek w nowej sytuacji polityczno-gospodarczej.

Pierwsza wpadka

Po naradzie w Nowej Wsi – zakończonej późną nocą – udajemy się do domów. Obowiązuje godzina policyjna, wracamy więc trasami okrężnymi. Idziemy drogą szeroką. Z lewej strony przylega do niej gęsto rosnący stary las, z prawej – uprawne pola, wśród których stoi leśniczówka, gdzie mieszkał zastępca dowódcy placówki Szadkowski[37]. (Zginął przed miesiącem, prawdopodobnie dość przypadkowo, w zwarciu z jakimś patrolem niemieckim obok stacji kolejowej w Czudcu. Czy jechał może do nas? Bo byliśmy wtedy w lesie, niecały kilometr od tego miejsca. Kilkunastu z nas obchodziło teren wokół dworca, gdy wiadomość ta do nas dotarła. Leżał już martwy z przestrzeliną w głowie. Był w samochodzie, co wykluczało jakąś jego walkę z kimkolwiek. Wyglądało to na zamach lub samobójstwo. Żadnego patrolu niemieckiego nie znaleźliśmy. Co się więc wydarzyło? Nie wyjaśniono tego nigdy. Chociaż… Nie mam tu prawa nawet wspominać o moich przypuszczeniach po dalszych wypadkach). W tej leśniczówce odbywały się czasem różne narady akowskie. Otoczona była parkanem obrośniętym gęsto krzewami. Idziemy w trójkę – ja z prawej strony. Rozmawia-

* W latach 1942–1944 brałem udział w tajnym uzupełnianiu wykształcenia wraz z kilkoma kolegami. W grudniu 1943 roku zdaliśmy egzaminy z ukończenia czterech klas gimnazjalnych. To oraz moja działalność konspiracyjna były powodem przyznania mi stopnia podporucznika i dowódcy kompanii. W późniejszym śledztwie sądowym nie przyznawałem się jednak do awansu i sądzony byłem jako podoficer w stopniu kaprala.

Alfred Szadkowski, pseudonim „Dęboróg" (stoi pierwszy z prawej), i Stanisław Szczepan (siedzi pierwszy z lewej). Pstrągowa, 1943 rok. *Autor nieznany, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

my półgłosem ze sobą. Nagle zostaję chwycony pod jedno i drugie ramię mocno i wyciągnięty z rzędu. Szarpnąłem się raz i drugi. Nie dałem rady się uwolnić. Trzymali mocno i ciągnęli do furtki. Tamci moi koledzy nagle zniknęli w ciemności. Nie rozpoznałem na razie, kto był autorem tego żartu. Było bardzo ciemno. Wdarli mnie opierającego się do środka. Patrzę – to żołnierze ruscy. Zdziwienie moje nie ma granic. Tu? W nocy? W lesie? Szybko jednak zrozumiałem. Robiono rewizję mieszkania. Szukano chyba jakichś dokumentów; może broni. Z pokoiku na poddaszu dochodzą mnie odgłosy odrywania desek. Niszczą podłogę? Słyszę chrzęst potłuczonego szkła pod butami. Żona leśniczego, zapłakana, stoi w kuchni, gdzie dwaj Rosjanie trzymają mnie nadal tak, jak przyprowadzili. Schodzi z góry jakiś starszy i gruby żołnierz (na ich stopniach nie znam się wtedy). Na górze słyszę wciąż hałasy, więc ktoś tam jeszcze został. Może Polak? Bo jak oni nocą tu sami trafili po nieznanych im polach, wertepach?

Ten starszy zdziwiony patrzy na mnie i mówi coś do tych, z którymi stałem. Rewidują. Znajdują kenkartę. W kieszeniach nic innego nie mam oprócz chusteczki. Starszy pyta, kim jestem.

– Zbłądziłem w lesie – odpowiadam. Co miałem mówić? Rękami nie ruszam. On ze mną przestaje rozmawiać – albo mnie nie rozumie, albo się śpieszy. Chowa do kieszeni moją kenkartę i mówi do tych dwu, że zawieźć mnie mają do więzienia w Czudcu (więzienia w Czudcu nie było, ale przy budynku policji stała jakaś dobudówka, w której chwilowo zamykano zatrzymane osoby). Za stodółką zauważam dwa wozy jednokonne. Widocznie oni tymi wozami zostali tu dowiezieni. Coś tam do furmana bełkoczą i wsiadamy. Zwykły to wóz chłopski, tak zwany półkoszek. Na przodzie wiązanka słomy wgnieciona w poprzek jako siedzenie, trochę dalej z tyłu tak samo druga. Siadamy: jeden żołnierz po mojej prawej stronie, ja z lewej, z przodu furman z prawej, drugi żołnierz z lewej, ale twarzą do drogi, a plecami do mnie. „Dobra nasza – myślę. – Czy on ma pilnować konia czy mnie?". Wolałbym jednak, żeby ten koło mnie też siedział po lewej, bo znałem teren dobrze, przecież tutaj działaliśmy. Wiedziałem, że przy zjeździe do Czudca droga polna biegnie tuż nad brzegiem głębokiego parowu, wyżłobionego przez wieki wodami spływającymi z lasów do Wisłoka. Zarośnięty był szuwarami i krzewami. Dziwne mi się wydawało to ekspediowanie mnie jako więźnia – bez jakiegoś zabezpieczenia przed ucieczką, jak wiązanie rąk, nóg. Przecież to była noc, ciemna noc. I dwóch takich jakichś niedołężnych, bez wojskowej ikry żołnierzy, tak głupio wykonujących swoje obowiązki. Może są już przemęczeni tym nocnym łażeniem po obcym kraju, towarzyszeniem przy jakiejś tam rewizji wykonywanej nie wiadomo w jakim celu, bo się na tym nie znali. Może są głodni? A może to wrodzona bylejakość w wypełnianiu zadań, znana już u nas. Nie ma jednak czasu na filozofowanie, bo zbliżamy się do celu. Ten mój sąsiad z prawej coś jakby odpoczywał. Kolba karabinu oparta o spodnią deskę wozu, on oburącz trzyma górną część lufy. Głowę lekko pochyla ku dłoniom. Nagle uderzam go łokciem w podbródek. Zrobił koziołka w tył i coś krzyknął. Zanim ten drugi z przodu odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje, ja byłem już parenaście metrów dalej, w zarośniętym parowie, i szybko oddalałem się od nich. Zaczęli strzelać, ale nawet nie wiedzieli chyba, w którą stronę mają to robić, bo było bardzo ciemno. Udało się.

Właściwie nie wiedziałem, jak miałem to nazwać. Aresztowaniem chyba nie, bo nie chodziło o zaplanowaną akcję wymierzoną we mnie. Było to więc przypadkowe zatrzymanie; choć nosiło znamiona politycznego związku z tą przeprowadzaną kontrolą. Nazwałem je swoją pierwszą wpadką.

Prawie biegiem wróciłem do mojej wsi. Zastaję grupkę chłopców, wśród nich „Świdra" – on był w czasie zatrzymania tym idącym w środku. Zmobilizował szybko kilku naszych i planował odbicie mnie. W jaki sposób i gdzie –

tego nie wiedział jeszcze, bo nie przypuszczał, że w tej leśniczówce prowadzono w tym czasie rewizję. Zaskoczenie ich było oczywiste, gdy zobaczyli mnie całego i zdrowego. Opowiedziałem im wszystko.

Moja kenkarta powędrowała do kieszeni grubego Rosjanina. Była to jednak kenkarta na nazwisko Czesław Buczek, a takiego w tej okolicy żadna mama nie urodziła.

Zastanawiałem się: czy cała ta spawa nie miała jakiegoś związku ze śmiercią leśniczego, który zginął w samochodzie parę dni wcześniej?

Zatrzymanie przez Urząd Bezpieczeństwa

Jestem w Rzeszowie, bo załatwiałem sprawę skierowania na Ziemie Odzyskane do pracy. Takie dokumenty wydawały urzędy repatriacyjne w miastach powiatowych. Skierowania trochę chroniły przed tym, by nie uchodzić za jednego z szabrowników, którzy setkami tysięcy atakowali tamte tereny i zdobywali znaczne nieraz fortuny. Uzyskuję takie skierowanie jako Wolak Stanisław.

Na ulicy spotykam nagle mego sąsiada Stasia P.[38], lubianego młodzieńca, też członka AK. Cześć! Mówię, że wyjeżdżam na Zachód, brałem sobie takie zaświadczenie. Pyta, czy jestem już wolny. Tak! Czekam właśnie na pociąg i kręcę się po ulicach. On jest konną bryczką, a pogoda piękna, więc proponuje mi, by siadać z nim, za godzinę będziemy na miejscu. Zgadzam się. Bryczka jego stoi na placu obok, on zaraz tam pójdzie i wyjedzie z tej oto bocznej ulicy. I oddalił się. Czekając na niego, spaceruję od wystawy do wystawy i gapię się. Podchodzi do mnie dwu niestarych mężczyzn, chwytają za rękawy, legitymują się – to Urząd Bezpieczeństwa. Proszą do pobliskiej bramy. Idę… Wyjmują pistolety, chcą zobaczyć mój dowód osobisty. Pokazuję kenkartę i to zaświadczenie z urzędu repatriacyjnego. Sprawdzają. Wszystko się zgadza, nawet zatrudnienie w urzędzie melioracyjnym, bo tam właśnie pracowałem. Pytają, dlaczego nie zgłosiłem się teraz do wojska, skoro lata mam wojskowe, a armia potrzebuje ludzi. Zdenerwowało mnie to, więc odpowiadam:

– Wy też już jesteście w latach wojskowych.

Popatrzyli na mnie groźnie.

– Pozwolicie z nami do biura, tam się wszystko wyjaśni.

Wiem, jak takie wyjaśnienia mogą wyglądać, i wiem, że przegram. Chwytam się ostatecznego środka. Mówię:

– Nie pójdę z wami do żadnego biura. Znacie waszego prezydenta miasta, Jana Husa[39]? Do jego gabinetu w magistracie jest parę kroków. Chodźmy tam.

On wie, kim ja jestem, wie, po co mnie na Ziemie Odzyskane kieruje, i powie wam, czy można spokojnych ludzi na ulicy zaczepiać.

Mówię to w ogromnej obawie, co by się stało, gdyby faktycznie zaprowadzili mnie do magistratu.

Jan Hus to nasz krewniak, i to bliski. Jego matka to siostra mojego ojca. Wyszła za mąż, osiedliła się w Czudcu, urodziła czterech synów i jedną córkę. Synowie to Władysław, Jan, Andrzej i Ignacy, córka – Karolina. Wszyscy pożenili się i mieli własne rodziny; mieszkali w Czudcu. Jan we Lwowie dostał pracę jako ślusarz w zakładach kolejowych i tam pracował przez parę lat. Był członkiem Polskiej Partii Robotniczej. Często przyjeżdżał do Czudca, do rodziny. Ożenił się w sąsiedniej wsi Babicy z siostrą naszej bratowej (żony naszego najstarszego brata Józefa). Był bardzo aktywnym członkiem partii. Umiał przekonywać. Wprowadził więc do PPR całą swoją familię. Jaki sukces odniósł we Lwowie, nie wiemy.

Próbował namówić do wstąpienia do partii mojego brata, a swojego szwagra, ale bez skutku. Próbował i ze mną, przekonując o niebiańskim niemal dobrobycie w Rosji – i to przez całą podróż pociągiem z Rzeszowa do Lwowa. Mówiłem mu wtedy, że nie jestem jeszcze pełnoletni i zaczekam, aż skończę służbę wojskową. Zamiast do PPR zapisałem się jednak do ZWZ, a następnie do AK. Powiedział wówczas, że jestem najgłupszym członkiem rodziny, bo stałem się pachołkiem kapitalistycznego rządu w Londynie. Do naszego domu nigdy nie zaglądał, inaczej niż jego bracia, którzy sprawę należenia do PPR traktowali chyba rozrywkowo.

Po ruszeniu nawałnicy wojsk radzieckich przez Polskę na Zachód Jan Hus został wskazany na prezydenta miasta Rzeszowa i tu zaczął działać.

Znając jego stosunek do mnie, mogłem spodziewać się bardzo różnych reakcji, gdyby agenci faktycznie poszli o mnie zapytać. Nie mogłem wiedzieć, czy widząc nazwisko Wolak i moją osobę, każe im zatrzymać mnie w areszcie, czy może ze względu na związki rodzinne pozwoli puścić wolno. Jedno i drugie było możliwe; choć w tym drugim przypadku popadłby w konflikt z prawem. Powołanie się na niego było jednak moją ostatnią możliwością uniknięcia śledztwa.

Agenci UB zaczęli dyskutować. Po prostu zdurnieli. Czekam, co zrobią. Ponaglam:

– No co? Idziemy do jego gabinetu?

Jeszcze chwileczka i oddają mi – tak niezdecydowanie, ale jednak – dokumenty. Biorę je do ręki i pytam:

– Jestem wolny?

Nie odpowiadają ani tak, ani nie. Wychodzę z bramy, a oni tam zostają, jak zaklęci. Idę na drugą stronę ulicy, w kierunku Różanki[40], gdzie mieściły się stare rudery żydowskie z przelotowymi bramami. (Znałem Rzeszów bardzo dobrze). Zrobiłem jednak zły krok. Przy skręcaniu w tę ulicę oglądnąłem się za siebie. Ujrzałem ich. Obaj wciąż stali na chodniku koło bramy i przypatrywali mi się. Zaczęli kiwać na mnie. Skręciłem i zacząłem kluczyć różnymi bramami, posuwając się w stronę dawnego getta. Tam ich zgubiłem. Wróciłem do domu pociągiem.

Po przemyśleniu tej sprawy doszedłem do wniosku, że nie znali dobrze swoich kompetencji. Prezydenta na pewno szanowali jako autorytet, ale mogli się z nim nie liczyć, bo Urząd Bezpieczeństwa jako organizacja wojskowa mu nie podlegał.

Aresztowanie

Jest to już trzecie moje spotkanie z przedstawicielami prawa w Polsce Ludowej. Dwa poprzednie były przypadkowe, ale w konsekwencji odkrywające mój stosunek do nowej rzeczywistości. Tym razem jednak chodzi o aresztowanie stosowane wobec osób, które w jakiś sposób zamanifestowały swoje nastawienie do nowych zmian polityczno-ustrojowych; szczególnie wobec tych, które ujawniły już swoją konspiracyjną działalność podczas niemieckiej okupacji i przedłużyły ją na okres po wkroczeniu wojsk polsko-radzieckich. Aresztowania dokonywane były wybiórczo i to często nie za działalność polityczną, lecz pod zarzutem napaści na wyzwoleńcze wojska radzieckie (Stalin oświadczył: „Polacy strzelają i zabijają naszych żołnierzy"). Z tego względu dokonywały ich nierzadko władze radzieckie (oczywiście w ramach współpracy z politycznymi organami polskimi i pod hasłem udzielania braterskiej pomocy).

Mnie prawdopodobnie ktoś wskazał palcem. Nie wiedziałem kto, bo we wsi byli wprawdzie komuniści, ale tacy, którzy komunizm ograniczali tylko do absencji na niedzielnej mszy i ucinania głów kamiennym figurom świątków zdobiącym przydomowe ogródki. Myśmy wzajemnie się tolerowali i na nagniotki sobie nie stawali. W tym czasie działały jednak różne lewicowe organizacje, które zajmowały się gruntownym oczyszczaniem podległych terenów z „kapitalistycznych pachołków londyńskiego rządu".

Zatrzymanie miało zupełnie niewinny przebieg. Z drogi kierują mnie pod ścianę pobliskiego budynku, gdzie stoi już czterech mężczyzn. Wśród nich mój krewniak, też Szczepan Stanisław, jak ja. Był to kuzyn młodszy o cztery lata, do AK nie należał. Pracował w Rzeszowie na stacji kolejowej jako kasjer.

Zbieg okoliczności? Widząc mnie zatrzymanego, dyskretnie zbliżył się i szepnął cicho:

– Jak masz co przy sobie, to jakoś odrzuć, bo tu niedaleko jest kontrola.

Zrozumiałem. Niestety miałem colt kaliber dziewięć milimetrów, bez amunicji i nienabity. Niosłem go do Czudca dla pewnego kolegi. Trochę ścierpłem, bo pilnowało nas trzech dobrze uzbrojonych żołnierzy. Jeden z nich doprowadza akurat kolejnych dwu mężczyzn. I dawaj, dawaj… Ustawiają nas sześciu w dwurząd i zaczynają prowadzić. Gdzie – nie wiemy, ale myślę, że to jakaś pacyfikacja, tym razem sowiecka. Idziemy prawym poboczem drogi, tuż koło rowu zarośniętego wysoko lebiodą i pokrzywami. Spoglądam z ukosa na żołnierzy. Jeden idzie z lewej strony, środkiem drogi, dwu z tyłu z nałożonymi na lufy karabinu bagnetami. Z przodu, jakieś pięćdziesiąt metrów przed nami, po prawej stronie drogi, nad rowem, stoi samochód ciężarowy. Wsadzam rękę do kieszeni i leciuchno wrzucam pistolet w zarośla rosnące w rowie. Strażnicy nie zauważyli tego. Nagle wyskakuje z tego samochodu kierowca i zaczyna z daleka krzyczeć coś po rusku do prowadzących nas, wskazując na mnie. Stało się. Znaleźli w rowie colta. Podskoczyli do mnie, przeprowadzili na tył grupy, bagnet karabinu przystawili do pleców, pistolet schowali i poprowadzili nas dalej – dość daleko jeszcze, bo prawie dwa kilometry. To trzeba było mieć tym razem pecha! Przecież przez taki kawał drogi mógłbym mieć wiele może lepszych okazji do pozbycia się broni, ale informacja kuzyna, że kontrola niedaleko, i ten samochód przekonały mnie, że to już zaraz miała być ta rewizja.

Doszliśmy do celu. Murowany duży dom, przed nim rozległy plac, na którym siedzi kilkudziesięciu mężczyzn pilnowanych przez Rosjan. Mnie od razu wprowadza się do budynku, do „naczalstwa". Jest! Pytają o nazwisko. Podaję – tym razem miałem kenkartę na prawdziwe. Tłumaczę, że broń znalazłem, bo po wojnie leży jej tu sporo, i odnosiłem ją do milicji w Czudcu, bo takie jest zarządzenie. Oni śmieją się.

– Amerykanie lecieli nad tobą samolotem i rzucili ci tego colta pod nogi? – pytają. Nie patyczkują się. Związali mi z tyłu ręce i wsadzili do skrzyni ciężarowego samochodu. Pojechaliśmy do mego domu. Wiedziałem, że nic nie znajdą, bo niczego kompromitującego tam nie trzymałem. Otoczony kilkunastoma żołnierzami zajechałem na swoje podwórko. (Siostra Waleria, widząc co się dzieje, złapała w pośpiechu moją pięknie wyrzeźbioną miniaturkę Lisa-Kuli, o którym pisałem tu wcześniej, rzuciła pod kuchnię i spaliła. Zostało mi tylko zdjęcie, które przechowuję do dziś w albumie). Może uwierzą, że naprawdę znalazłem ten pistolet? Nie byli tacy naiwni. Mimo że rewizja

w domu nic nie dała, w tym samym dniu wraz z czterema innymi osobami i tym samym samochodem zawieziono mnie do Rzeszowa i osadzono w tymczasowym więzieniu w obrębie koszar 22 Pułku Artylerii Lekkiej.

Byłem już więźniem politycznym.

W Rzeszowie

Budynek ten był chyba dawniej magazynem furażowym dla stojącej obok stajni koni. Świadczyło o tym nieuprzątnięte jeszcze ziarno owsa, ślady po skrzyniach i tym podobne. Pomieszczenie, w którym się znalazłem, adaptowano na areszt śledczy. Okno jest okratowane, drzwi wzmocnione solidnym zamkiem. Podłogę zasypano dość grubą warstwą piasku, który miał chyba zastępować materace, bo łóżek tam nie było. Salka przepołowiona jest leżącym w poprzek drągiem. Po jednej stronie są Rosjanie. Jest ich pięciu. To młodzi, kilkunastoletni, chłopcy; ubrani w watowane spodnie i kurtki, nigdy nieściągane, bo chyba byli bez bielizny. Zdaje się, że mieli przeziębione pęcherze, bo spodnie ich były wciąż mokre i cuchnące. Otrzymywali dwa razy dziennie jakieś resztki zupy. Patrzyli wciąż na nas, ale nigdy ich głosu nie słyszeliśmy. Może to byli młodociani włóczędzy wlekący się za wojskiem, które z litości ich karmiło, by nie umarli? Oprócz nich był jeszcze jeden Rosjanin, dezerter; dwa dni po moim przyjeździe rozstrzelany pod naszym murem.

Po drugiej stronie drąga są Polacy, ciągle się zmieniający, bo jednych przekazywano władzom polskim lub zwalniano, a innych znów dowożono. Koło drąga leży wałek suchego piasku, którego Rosjanom nie wolno było przekroczyć ze względu na wszy (Polacy na razie ich nie mieli).

Śledztwa odbywały się też w obrębie koszar, w stawianym chyba przed wojną budynku piętrowym ciągnącym się wzdłuż ulicy Langiewicza, wykończonym tylko połowicznie, z jednej strony korytarza. Tam, w kilku kancelariach, urzędowali oficerowie ruscy prowadzący swoje dochodzenia. Wojsko radzieckie znajdowało się na parterze.

Z Babicy dowieziono nas czterech. Zastajemy już na miejscu nieznanych nam druhów. Zaczynamy uzgadniać między sobą, co i jak zeznawać, gdyby doszło do konfrontacji. W tym dniu już nic się z nami nie dzieje. Nazajutrz po południu zwalniają jednego z nas. Dokąd nie wiemy – czy do domu, czy do polskich władz. Ze mną rozpoczyna śledczą rozmowę starszy, bo już ponad pięćdziesięcioletni, oficer rosyjski nierozumiejący w ogóle języka polskiego. Ja nie znam rosyjskiego, ale coś tam pojmuję, bo pracowałem we Lwowie z Ukraińcami. To rozmowa wilka z prosięciem. W ciężkich sytuacjach ten mój śledczy prosi z sąsiedniego pokoju starszynę, który trochę umie po pol-

sku. Trzymam się zawsze tego pierwszego zeznania: że pistolet znalazłem, że nigdzie nie należałem, że nie wiem nic o dowódcach, o broni ani o tym, gdzie kto działał, i tak dalej, i tak dalej. On swoje, ja swoje. W którymś momencie zaczyna używać nowych argumentów. Bije po plecach wyciorem (to stalowy pręt używany do czyszczenia luf karabinowych). Nie ma rezultatu. Wzywa tego starszynę; gdy ten chwyta mnie za włosy i naciąga głowę na dół, do przodu, śledczy bije otwartą dłonią po szyi i zadaje swoje pytania. Robi tak kilka razy, aż krew zaczyna mi kapać z nosa i ust na podłogę. Wtedy przerywa*.

Śledztwo stoi w miejscu ponad tydzień. W tym czasie zwalniają drugiego z naszych. Zostajemy we dwójkę; mój kompan ma podobne zarzuty jak ja. Szybko przybywa trzech kolejnych zatrzymanych.

To bicie po szyi powtarza się przez dwa czy trzy dni kolejne. Rosjanin wciąż jednak rozpoczyna przesłuchania tak samo – spisaniem moich personaliów, daty urodzenia, miejsca zamieszkania. Wreszcie pewnego dnia siedzi chwilę i myśli. Woła znów tego starszynę. Zaczynają mówić do siebie po rusku. Coś wnioskuję ze zdumieniem z ich smutnych min. Oficer każe mi zbliżyć się do biurka, pokazuje jakiś zadrukowany i opieczętowany papier i pyta:

– Ty widzisz, co to jest?

Patrzę, ale wszystko tu jest po rosyjsku. Na dole dostrzegam tylko pieczęć dowódcy oddziału wojsk polskich. „Kapitan…". Podane jakieś nazwisko, którego nie pamiętam, i nieczytelny podpis.

– Wiesz, co to jest? – pyta znowu. – To wyrok śmierci podpisany przez twoje polskie władze. Do wykonania.

Zaczynają mi obaj tłumaczyć, o co chodzi, ale rozumiem trochę tylko słowa tego starszyny. Wynika z nich, że po bezowocnym śledztwie sprawa moja została przekazana do sądu polskiego, by ten wydał wyrok. I oto sąd nie uwierzył moim krętactwom i orzekł karę śmierci, bo jestem zdrajcą narodu, a takich likwiduje się. Oni żałują mnie, ale wyrok wykonać trzeba.

Coś mi się nie podobało. Żeby tak nagle i tu? Bez sądu? Byłem już jednak do tego stopnia zmaltretowany i zrezygnowany, że głowa moja nie pracowała dobrze. Ten starszy oficer bierze nagle pistolet do ręki i wypycha mnie na korytarz. Otwiera drzwi do jakiejś sali po drugiej stronie. Wchodzę. On za mną. Rozglądam się. I tu dopiero ogarnął mnie strach. Sala chyba przewidziana na świetlicę, bo duża, niewykończona – bez podłogi, ściany nieotynkowa-

* Gdy w roku 1975 robiono mi prześwietlenie kręgosłupa, stwierdzono zwyrodnienia trzech kręgów szyjnych. Musiały być skutkiem tego bicia po szyi; innych przyczyn, choćby związanych z warunkami pracy (pracowałem wiele lat w biurze), nie znalazłem.

ne – z oknami zabezpieczonymi deskami. Na środku leży jakiś sękaty kołek, pokrwawiony, na betonie duża plama krwi. Moja pierwsza myśl? „Tu ktoś zginął. Tu może zakończę mój żywot". Zamykają się drzwi. Stoję na środku przerażony. Któż by się nie bał?

– Zbliżyć się do ściany – mówi Rosjanin.

Nie reaguję, więc mnie popycha. Nie wierzę, że on może mnie tu zabić. Podchodzi jednak do przeciwległej ściany, odbezpiecza pistolet i celuje. Strzelił! Czuję na szyi z tyłu uderzenie okruchów z cegły. Ale stoję. Pocisk trafił w ścianę, chyba dwadzieścia centymetrów od mojej głowy. Rosjanin opuścił rękę z bronią. Zrozumiałem z tego, co mówił wtedy, że ma syna w moim wieku. Szkoda mu mnie. Jako oficer od śledztwa może wykonać wyrok jutro. W nocy niech pomyślę i potem przyznam się, a wyroku nie będzie, a jak nie, to wykona go o dziewiątej rano.

Zrozumiałem teraz już wszystko, tę całą hecę – i z tym wyrokiem, i z tym wykonaniem go, z tym drągiem na betonie. A ten strzał? Przecież z odległości pięciu metrów to można mnie było trafić w źrenicę oka, a nie spudłować o dwadzieścia centymetrów. Przyznam się jednak, że do tej chwili przeżywałem to wszystko autentycznie. Ręce trzęsły mi się. Nie wiedziałem przecież o tym, że można i takie metody stosować do wymuszenia zeznań.

Wróciłem do celi z miną chyba trochę nienormalną, bo mój towarzysz zapytał, co się stało. Opowiedziałem mu całe zajście. Nie mógł uwierzyć, bo o takich działaniach też przedtem nie słyszał. Zdobyliśmy więc obaj nowe doświadczenie. Nie spałem jednak tej nocy. Przeżyłem trochę za wiele, jak na moje nerwy.

Następnego dnia po śniadaniu pożegnałem się z moim współwięźniem długo i czule, prosząc, by powiadomił moją rodzinę, gdybym dziś tu nie wrócił. Przyszli po mnie jak zwykle we czterech. Przyprowadzili pod drzwi. Były otwarte na oścież. Stoję. Mój śledczy już coś pisze. Trwa to parę minut. Skończył. Wskazuje mi klocek przy biurku. Mam siadać. Podchodzę energicznym krokiem. On łapie za pistolet i kładzie go za sobą, na parapecie okna. Nic się nie odzywa, ani słowem. Układa na biurku czyste arkusze papieru, powoli przekłada je kalką do pisania, łączy spinaczem. Wszystko to robi powoli, z namaszczeniem. Popatrzył na mnie i pyta:

– Kak twoja familia?

Od tego zdania zaczynał już ze mną rozmowę kilkanaście razy, więc zdziwiło mnie to, ale odpowiadam. Nie wspomina o wydarzeniu z dnia poprzedniego. Zadaje mi znowu takie same pytania, jak przez cały ubiegły tydzień. Tak samo odpowiadam. A on pisze. I tak pytanie po pytaniu i odpowiedź po

odpowiedzi, bez żadnych dodatkowych dyskusji, spisał cały arkusz. Podsuwa mi go pod nos.

– Podpisz!

– Nie podpiszę – odpowiadam.

On w nagłym zdenerwowaniu:

– Paczemu?

– Bo nie znam pisma rosyjskiego i nie wiem, co tam jest napisane.

Zerwał się z krzesła, poprosił z drugiego pokoju starszynę. Ten usiadł koło mnie i słowo po słowie odczytał te moje odpowiedzi. Podpisałem. Odprowadzono mnie do celi bez słowa.

Po obiedzie przyszło do nas dwóch żołnierzy ruskich. Wyczytali nazwiska. Wychodzić! Zabrali nas trzech, mnie, mego kolegę i jednego nieznanego nam cywila. Jeden z żołnierzy niósł w ręce grubą zaklejoną kopertę. Poprowadzili nas do postawionego tuż przed wojną budynku mieszkalnego zajętego przez wojsko polskie. Pamiętam, że była to chyba ulica Jagiellońska. Czekamy chwilę. Wprowadza się nas do piwnicznego korytarza, otwiera drzwi i wpycha do piwnicy. Uderza nas straszny odór potu i wysoka temperatura. Okienko zabite deską. W drzwiach tylko mały otwór wziernikowy. W niedużym pomieszczeniu stoi ciasno obok siebie kilkudziesięciu mężczyzn rozebranych do kalesonów czy kąpielówek. Strasznie spoconych. Widzimy u części siwe włosy. Tak jakoś poważnie wyglądają…

Co chwilkę otwierają się drzwi. Wywołują niektóre osoby. Straszny język, straszne słowa, obelżywe, ubliżające, popychanie, uderzanie kolbą karabinu w plecy. Skąd ci ludzie wzięli się tacy schamiali? To jeszcze gówniarze. Z rynsztoków. Przed wojną nie widziało się tego jakoś. Boimy się. Chociaż nie widzimy śladów pobicia na tych, których wpychają do piwnicy po przesłuchaniach, boimy się nadchodzącej nocy w tym zaduchu, na stojąco, wśród spoconych ciał i nie tylko, bo okazało się, że mężczyźni oddają mocz po prostu na podłogę.

Wywołują nas czterech: mnie, kolegę i jakichś dwu nam nieznanych dotąd. Wyprowadzają na podwórko otoczone zewsząd zabudowaniami. Rosną tu nawet jakieś wysokie drzewa. Idziemy wciąż koło tego samego budynku, ale tym razem trafiamy do małego pokoiku z płytą kuchenną. Duży, szeroki parapet przy oknie na podwórko. Okno okratowane. Ława do siedzenia pod ścianą. Drzwi na korytarz zaryglowane. Na ławie siedzi dwu starszych panów w zielonych mundurach. Rozmawiamy zaraz z nimi. Okazuje się, że są pracownikami ochrony lasów hrabiego Potockiego z Łańcuta. Byli już przesłuchiwani, ale ich nie bito i trochę lepiej karmiono. Siedzą tu już trzeci dzień.

Ta piwniczka to nadaje się do ucieczki, bo krata w oknie nie jest wpuszczana w mur, a tylko w tynk, i po paru pchnięciach może wylecieć. Wartownik chodzi tu tylko w nocy, bo w dzień wszystko zabezpiecza siatka druciana rozciągnięta dwa metry od ściany, wzdłuż całego budynku. Taka wiadomość to niesłychana zachęta do ucieczki. Zaczynamy o tym rozmawiać. Ci od Potockiego nie chcą jednak o czymś takim nawet słyszeć. Wiedzą przecież, że są tylko chwilowo zatrzymani, bo nic im się nie zarzuca, i za dzień, dwa wypuszczą ich. Z nami to jednak inna historia, bo zarzuty są konkretne. Śledztwo wykazało, że jesteśmy w konflikcie z prawem, i coś z nami zrobić muszą. Ucieczka to tu, w środku miasta wypełnionego wojskiem, dość ryzykowna sprawa. Można przy tym stracić życie, a szkoda go.

Jest nas czterech: Jastrzębski zamieszkały w Zimnej Wodzie pod Lwowem, Urban[41], mój kolega i ja. Postanawiamy trzymać się zawsze razem, bo mamy takie same poakowskie porachunki z władzą i taką samą chęć do ucieczki. Pasowaliśmy jakoś do siebie, choć byliśmy z różnych stron kraju.

Na rozmysły nie mieliśmy już czasu. Wkrótce okazało się, dlaczego zostaliśmy zabrani z tej potwornej piwnicy i zamknięci w tak byle jak zabezpieczonym areszciku. Śledztwa dotyczące nas zostały już zakończone, a decyzje podjęte. Po zmroku na podwórko zajechał ciężarowy samochód. Żołnierze usadzili nas w nim na podłodze, w tak zwaną pietruszkę, czyli jeden za drugim z nogami w rozkroku, ręce ułożone na ramionach poprzednika. Samochód wypełniony całkowicie więźniami ruszył i skierował się na wschód. Nie wiedzieliśmy gdzie. Mijamy Łańcut, Przeworsk, Jarosław, widzimy już światła Przemyśla. Wjechaliśmy w obwarowany zasiekami duży obiekt. Były to koszary jakiegoś przedwojennego pułku strzelców konnych w Bakończycach, na przedmieściach Przemyśla.

Bakończyce

Trzy długie na kilkadziesiąt metrów budynki, z których wyprowadzono konie, przystosowano do przetrzymywania ludzi. Po obu stronach piętrowe prycze z desek, bez materacy. Środkiem przez całą długość biegnie szeroka na jakieś trzy metry droga komunikacyjno-spacerowa. Przy wejściu salka, w której stoi beczka na ekstrementy. Obok wiadro z jakimś białym płynem do zalewania. W wejściu wartownik. Łóżko z materacem przy szczytowej ścianie – to dla lekarza. W jednej takiej sali mieści się podobno pięćset osób; wszystkie trzy są wypełnione.

W oddali stoją budynki gospodarcze: kuchnie, łaźnie, sanitarki odwszalne, i jakiś budynek dla wojska, które ochrania obiekt. Cały plac otoczony jest

podwójnym ogrodzeniem z kolczastego drutu, wysokim na dwa i pół metra. Przestrzeń między ogrodzeniami, szerokości około metra, wypełniona jest tak zwaną mierzwą drucianą. W każdym rogu wieżyczka z wartownikiem. W niektórych miejscach, w odległości pięćdziesięciu metrów od drutu, lita ściana z desek wysokości dwu i pół metra, zabielona farbą. Obsługują obiekt niemieccy jeńcy wojenni.

Tak wygląda nasze „sanatorium", gdzie mamy spędzić parę tygodni – bez obowiązku pracy, z odchudzającą dietą, z możliwością umycia się w łaźni, ale tylko wtedy, gdy okaże się, że na koszuli mamy przynajmniej cztery dorosłe wszy. Sanitariusze to Rosjanie.

Nasza czwórka ulokowała się razem. Jastrzębski i ja na górze, Urban i Sokołowski na dole pryczy. Mamy pewne atuty. Jastrzębski zna język niemiecki, Sokołowskiemu udało się przemycić kieszonkowy zegarek ze złotymi kopertami.

Dowiadujemy się, że jest to obóz przygotowujący do wywozu na Sybir. Któż by to chciał? Robi się wszystko, by się jakoś od tego wywinąć. Jastrzębski zaczyna rozmawiać już ze starszym Niemcem noszącym herbatę i namawiać go, żeby coś przyniósł, kawałek złamanej piłki, jakieś inne metalowe ostre narzędzie, gruby drut czy gwóźdź, cokolwiek twardego. Obiecuje, że damy mu za to złoty zegarek, a on za taki zegarek może dużo zyskać od Rosjan. Niemiec kiwa głową – „Ja, ja…" – ale nic nie przynosi.

Dni upływają nam szybko, bo czujemy, że odjedziemy już niebawem. Szukamy czegoś w naszej stajni, gdzie się tylko da – po ścianach, po dziurach z wymontowanych żłobów, po oknach, zawiasach, klamkach, wszędzie. Znajdujemy! Nad łóżkiem lekarza wystaje ze ściany jakiś kawałek żelaza. Co to może być? Dyskretnie przyglądamy się. Dochodzimy do wniosku, że to gwóźdź wbity w ścianę do powieszenia czegoś. Jak go zabrać? Tam śpi lekarz. To jest też więzień tak jak my, bo Polak. Jest jeszcze dzień jasny, wszyscy widzieliby to, a ludzie mogą być różni w tak dużym zbiorowisku. Urban wpada na pomysł. Jak się ściemni, to pójdzie do lekarza i poprosi go, żeby podszedł do naszej pryczy. Powie, że jego kolega nagle dostał strasznego bólu żołądka i żeby mu dał coś na ten ból. My wtedy wyskoczymy na jego łóżko i ten gwóźdź wyciągniemy. W nocy przecież wielu mężczyzn wychodzi do ubikacji, jest ciemno, nie zwrócimy niczyjej uwagi. Spodobał nam się ten pomysł. Czekamy więc tego początku nocy; obaj z Jastrzębskim kręcimy się po przejściu, gdzie stało łóżko lekarza. Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę. Napięcie rośnie. Widzimy, że lekarz wychodzi, ale nie zauważyliśmy, kiedy Urban przyszedł po niego, bo było przecież ciemno. Zbliżamy się do naszej pryczy, ale Urban

tam jest, na miejscu. Pytamy, gdzie lekarz. On mówi, że dopiero ma po niego iść. Wracamy, ale widzimy, że lekarz stoi już koło swego łóżka. Gdzie był, nie wiemy. Może w ubikacji? Idziemy znów do Urbana. Każemy mu ruszać, bo lekarz już się rozbiera. Poszedł. Rozmawiają. Wracają obaj. Dobrze, bardzo dobrze. Zbliżamy się do łóżka lekarza. Jastrzębski włazi na nie i dłonią jeździ po ścianie. Raz, drugi, trzeci. Nie znajduje tego gwoździa, zeskakuje. Wchodzę ja. To samo. W miejscu gwoździa wyczuwam tylko dziurę. Jakieś niezrozumiałe zdenerwowanie. Wracamy.

Ktoś nas uprzedził. Ale kiedy? Przecież cały prawie czas koło tego miejsca kręciliśmy się. Nasze nadzieje obróciły się nagle w prawdziwy smutek. Nazajutrz sprawdziliśmy. W ścianie była tylko dziura.

Rozpoczął się listopad. Kończymy tu już drugi tydzień. Widzimy, że coś się zaczyna dziać. Robią nam badania lekarskie. Rozbieramy się do naga i rzędem podchodzimy do trzech sanitariuszek. Patrzą na nasze gołe ciała, sprawdzają, czy nie mamy ran, okaleczeń, pytają: „Zdorow?". I to już wszystko; półtora tysiąca ludzi przebadanych w ciągu pół dnia. Po obiedzie wchodzą na salę te same sanitariuszki i wyprowadzają grupami po trzydzieści osób do łaźni i odwszalni. Stosują tu jednak segregację, by było szybciej. Do odwszalni biorą tylko tych, którzy pokazują, że na ich bieliźnie są wszy. Kto tych wszy nie ma, idzie tylko do łaźni. Tam obsługa jest męska, Niemcy. W tym zamieszaniu udaje się czasem pozbyć i wszy, i brudu.

Następnego dnia zjawia się wojsko i kilkanaście samochodów. Wyprowadzają nas kolejno na plac. Kontrolują stajnię. Sprawdzają, czy nie ma w niej ukrytych jakichś niedozwolonych przedmiotów. Trwa to dość długo. Gdy stajnia jest już zrewidowana, rozbieramy się znów do naga, tworzymy rząd kontrolny. Jedna komisja bada znów nasze ciała, zaglądając wszędzie, gdzie się da. Druga bada nasze ubrania, zwracają uwagę, czy nie mamy jakichś drobnych rzeczy w kieszeniach lub wszyciach. Trzecia wydaje ocieplacze (są to takie bezrękawniki dziane z jakichś odpadów roślinnych i bawełnianych czy targanych szmat) i płaszcze wojskowe niemieckie, ściągnięte chyba z trupów, bo często podarte i pokrwawione. Mnie dostał się płaszcz z całą lewą połą zalaną krwią – uschnięta już na wiór i zlepiona, była nie do rozprostowania. Takie uposażanie na drogę trwało cały dzień. Przez ten czas staliśmy w większości na dworze. Było zimno. Trzymaliśmy się razem w czwórkę. Sokołowski martwił się o swój złoty zegarek. Doradziliśmy mu, by przed kontrolą osobistą udał się do beczki-ubikacji i wrzucił zegarek do stojącego obok wiadra z wodą wapienną. Zrobił to. Tylko że zaraz po rewizji i kontroli sali zabrano beczkę i wiadro. Zegarek przepadł.

Wywóz na Sybir

Wieczór. Podjeżdżają samochody ciężarowe. W każdym rogu skrzyni stoi do góry dnem pusta beczka. Wchodzimy szturchani, popychani. Sadza się nas na podłodze w pietruszkę. Nasze głowy znajdują się poniżej tych beczek. Narzuca się na nie plandeki, a następnie na każdej siada Rosjanin z karabinem. Jedziemy przez ulice Przemyśla. Wjeżdżamy po chwili między tory kolejowe, docieramy pod pociąg z wagonami ciężarowymi. Jesteśmy skupieni, wszystko bacznie obserwujemy.

Podstawiane do wagonu są blaty z desek zastępujące schody. Rząd żołnierzy z obu stron. Krzyczą, uderzają kolbami. Skoro, skoro, skoro... Zauważyłem, że ładują nas do drugiego lub trzeciego wagonu od początku pociągu. Pierwszy rzut oka. Drzwi na przeciwległej ścianie wagonu odznaczają się w ciemności, pomalowane białą farbą, a przez szpary między deskami przeświecają smużki światła. Podchodzimy pod te drzwi. Obok nich ściany są jakieś ciemne. Macam ręką. Tak, to jasne. Wagon w czasie wojny palił się. Ściany wewnątrz okopcone, a drzwi całe dorobione na nowo, ale nie w zakładzie naprawczym, a na miejscu, z takiego materiału, jaki był pod ręką. Deski nieheblowane, niewręgowane, wąskie – na dwanaście–trzynaście centymetrów – i cienkie. Zwykła podłogówka*. Próbowałem kolanem ugiąć trochę jedną z ich. Skutek nieduży. A gdyby tak naciskało pionowo kilku mężczyzn? Równocześnie? Na tej niewielkiej szerokości mogłyby w poprzek pęknąć. Małe nadzieje, ale są. We czterech obstawiamy całą szerokość drzwi. Po drugiej stronie wagonu znajduje się na wysokości głowy otwór długi na jakieś sześćdziesiąt pięć centymetrów i szeroki na trzydzieści pięć–czterdzieści. To wywietrznik dla zwierząt; wzdłuż ma wmontowane dwa druty stalowe o średnicy dwunastu milimetrów. Stoi tam jakiś mężczyzna i pełnym głosem zaprasza:

– Panowie, kto ma silne ręce, do mnie proszę. Jak chwycimy za te druty i będziemy wyginać, to się ukruszą i mamy wolność przez to okienko.

---

* Te powyższe uwagi to nie fantazja; wynikały z życiowego doświadczenia. Podczas okupacji niemieckiej poznawałem dokładnie budowę tych wagonów. Wiedziałem, że deski ścian miały szerokość osiemnastu centymetrów i grubość ponad czterech centymetrów, że były fugowane, z zewnątrz malowane farbą czerwoną kryjącą, wewnątrz płynem grzybobójczym i tak dalej. Wiedziałem, w którym miejscu znajdują się schodki boczne i wejściowe na dach, gdzie są uchwyty pionowe, kurki pneumatyczne do zatrzymania pociągu. Poza tym, ponieważ pracowałem parę lat w zakładzie stolarskim, miałem trochę stolarskiego doświadczenia. Wiedziałem, gdzie i jak postawić nogę i gdzie i czego się przytrzymać, by wskoczyć na wagon lub na parowóz podczas zwolnionego trochę biegu pociągu. Taka wiedza i umiejętności były mi niezbędne w okupacyjnej rzeczywistości.

Odezwałem się:

– Panie, przy tej długości drutu to można objechać kulę ziemską parę razy dookoła i drut się nie ugnie ani na milimetr. Jest stalowy.

On na to:

– Panie, co się pan wtrąca? Stój pan sobie koło swoich drzwi. Zobaczymy, kto będzie pierwszy.

Nie odezwałem się więcej. Zrozumiałem, iż zauważył, że też się interesuję ucieczką. Po krótkiej chwili władowano następny samochód więźniów. W wagonie było już pełno, czterdzieści dwie osoby. Kotłowanina ciał i głosów. Jedni śpiewają pieśni patriotyczne, inni litanię do Matki Boskiej, to znów jakieś pieśni religijne; jeszcze inni proszą o ciszę i spokój, by można było się pomodlić. Jest trochę sprawdzających, gdzie można się będzie w drodze położyć albo chociaż uklęknąć. Tu wieje koło drzwi, tu dziura klozetowa wycięta w podłodze wagonu, więc będzie fetor, któż by tam chciał… Są próby zajmowania sobie miejsc przez rzucanie na podłogę płaszczy niemieckich. Nie udaje się to, bo wszyscy chodzą po nich ze względu na ciasnotę. Ktoś przemycił książeczkę do modlitwy, a kilku innych grafity z ołówków. Wydzierają karteczki z tej książeczki i na zadrukowanych stronach wpisują po ciemku nazwiska swoje i adresy, potem rzucają przez okienko na tor z nadzieją, że może ktoś je znajdzie i powiadomi najbliższych o wyjeździe takiego a takiego na Sybir.

Wszyscy przeżywają straszne chwile. Mamy opuścić kraj, rodzinę, znajomych. Może na zawsze… Trzeba czegoś takiego doświadczyć, by dogłębnie zrozumieć.

Wokół pociągu bieganina i krzyki żołnierzy. Wbijanie jakichś klinów na prawych bokach wagonów uniemożliwiające odsuwanie drzwi. Deptanie po dachu. Jakiś niezrozumiały pośpiech. W wagonie, na środku podłogi, stoi piecyk żeliwny – taki trójnóg z rurą dymną wychodzącą ponad dach. Nowa możliwość ucieczki. Chociaż skoczyć z dachu na tor obok w pełnym biegu pociągu to wielkie ryzyko. Trwają dyskusje, domysły. Część jest już tak tą tragedią przytłoczona psychicznie, że nie bierze w niczym udziału.

Czas biegnie. Pod pociąg wciąż podjeżdżają coraz to nowe samochody. Było nas przecież około półtora tysiąca więźniów.

Ktoś pociąga mnie z tyłu za połę płaszcza. Odwracam się. Jakiś mężczyzna, starszy trochę, około pięćdziesięcioletni, przybliża się do mnie. Mówi półgłosem.

– Panie, widzę, że cała nasza nadzieja to w panu. Ja się do tego nie nadaję, ale też chciałbym żyć. To się może panu przyda. – Wpycha mi do ręki jakiś

przedmiot. Oglądam. To kowalski gwóźdź do wbijania między cegły. Olśnienie jest tak nagłe, że w zapale i bez zastanowienia się wołam:

– Panie! Bóg panu to wynagrodzi. Stawaj pan na piątego.

Skąd w moich ustach znalazły się te słowa? Nie pamiętam, abym kiedyś przedtem odwoływał się do Boga, pomimo że byłem katolikiem. Radość, ogromna radość rozpierała nam serca, bo przecież to stwarzało szansę uratowania się. Jak to mogło się stać? Obcy nam zupełnie, niewidziany przedtem człowiek daje nam do ręki taki przedmiot, właśnie nam. Jak on potrafił go przemycić podczas tak dokładnej rewizji? Nie pytaliśmy nawet, bo takich pytań nie zadaje się w gęstym i nieznanym tłumie. Nie wiemy, czy nam uda się ta cała sztuka. Ten człowiek dołącza oczywiście do nas. Staje jako piąty w kolejce.

Nagle słyszymy jakiś szmer, chrzęst. Odsuwają się drzwi i żołnierz wysypuje koło pieca pół kosza węgla czy koksu. Ja w tym czasie uchylam głowę i obserwuję, jak drzwi zamykają się od zewnątrz. Płaskownik w ich połowie jest na końcu ugięty pod kątem prostym i przedziurawiony. W boku wagonu też to samo. Złączone to jakąś śrubą. I to wszystko! Ruska robota. Daj im, Boże, zdrowie za to. Dobra nasza! Lepiej nie mogło już być. Szanse mamy pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Główki śrub od płaskownika zewnętrznego wystają tu.

Drzwi wagonu zasunięto. Węgiel nam dano, ale kolacji – już nie. Jesteśmy głodni po tej obiadowej zupie. Trochę ten rejwach na zewnątrz ucicha, ale bieganie po dachach dalej trwa. Czujemy jakieś drgnięcie wagonu. To na pewno podstawiono parowóz. Niektórzy płaczą głośno. Szlochają.

Nagle słyszymy nawoływania wzdłuż całego pociągu. Ktoś siada na naszym dachu, szura butami. Szarpnięcie wagonu i pociąg powoli rusza. Wzmagają się szlochy i modlitewne głosy… Kto to przeżył, wie, jaką rozpacz czuje się w takiej chwili.

Ucieczka

Dojeżdżamy do Medyki. To stacja graniczna. Zatrzymujemy się. Znów bieganina i wołanie wokół pociągu. Trwa to około pół godziny. Ja zdzieram z siebie ten przeklęty niemiecki płaszcz. Stoję u skraju drzwi. Ściskam mocno gwóźdź. Może będzie on naszym wybawieniem?

Pociąg rusza. Zabieram się do roboty. Trzy deski od początku drzwi – taka jest odległość od mojego łokcia do dłoni. Nie za daleko i nie za blisko od dziury do śruby. Trasę Przemyśl–Lwów z grubsza znam, bo przed wojną, kiedy pracowałem we Lwowie, przejeżdżałem nią. Ten gwóźdź, a raczej hak, udał się. Dobrze rozklepane miał zakończenie i dobre zagięcie końcówki z drugiej stro-

ny. Pcham go mocno w deskę poniżej płaskownika, która się nie ugina. Wydłubuję kawałek drewna. Dłubię dalej, w poprzek deski… Idzie! I dalej, i dalej. Szerokość deski zmniejsza się. Jeszcze trochę. Pociąg pędzi bardzo szybko. Mijamy Mościska – to małe miasteczko, nie zatrzymujemy się tam. Deska prawie już przedłubana w poprzek. Ręka boli, bo zrobił się na dłoni wodny pęcherz i już pękł. O Boże, uda się, uda się. Koledzy chcą mi pomóc. Nie puszczam. Jestem w transie. Radosny szok trwa. Teraz dłubię już wzdłuż słojów deski – będzie lepiej. Dziura w desce wydłuża się coraz bardziej i bardziej. Jeszcze trochę. Przejeżdżamy jakąś rzekę, to chyba Wisznia. Odłamuję coraz to dłuższe kawałki deski; z wściekłością, z uporem, nie zwracając uwagi na ból ręki. Dziura ma już około trzydziestu centymetrów długości. Wystarczy, by włożyć tam rękę, więc szybko to robię. Dobrze obliczona odległość. Palcami sięgam do śruby. Otwór w płaskowniku jest jednak za szeroki, śruba kręci się w nim. Dociągam ją, by był opór na główce – wciąż i wciąż, bo jest nadal uślizg. Trwa ta mordęga dość długo. Wreszcie nakrętka zostaje mi w dłoni. Jest, jest, jest!

Odciągam drzwi. Idą! Coraz szerzej. Koledzy pomagają. Jest już przejście prawie na połowę szerokości drzwi. Robi się rumor w wagonie. Żegnam się, chwytam ręką grubego drutu pionowo umocowanego do boku wagonu, zsuwam się na dół i upadam na pas ziemi między naszym torem a torem po lewej. Leżę, koło mnie pędzi dalej kilkadziesiąt wagonów. Zaraz za sobą słyszę upadek drugi, potem trzeci, czwartego nie, bo pociąg pędzi, to już kilkadziesiąt metrów. Jest pewne, że skoczył Jastrzębski i Urban. Nagle salwa z pistoletu. Pociąg gwałtownie zatrzymuje się. Jakieś sto metrów w przodzie krzyki, wołania, skoki z wagonu na drugi tor i strzały, coraz więcej strzałów, i coraz więcej krzyku i nawoływań. Koło mnie stoją już wagony z więźniami. Zrywam się, uskakuję w bok i gonię co sił w pole. Zaraz za mną ktoś krzyczy:

– Ratuj, ratuj mnie!

Zatrzymuję się. Tamten chwyta mnie za rękę.

– Jesteś ranny? – pytam.

– Nie, ale słaby.

Spostrzegam, że to jakiś obcy mi człowiek. Łapię go za rękę i ciągnę za sobą. Przewracamy się obaj co parę metrów, bo nogi nam grzęzną w mokrej ziemi. Gonimy ostatkiem sił, byle dalej od pociągu. Przed nami las. Wpadamy między drzewa, ale czuję, że nogi mam po kolana w wodzie, a pod stopami miękkie muliste dno. Wołam:

– My się tu potopimy, zawracajmy.

Z prawej, od strony toru, słyszymy trzask pocisków. Krzyki cichną, ogień też ustaje. Słychać stukanie młotami po wagonie. Kto przeżył, kto został zła-

pany, a kto ranny, kto zginął w tej szaleńczej strzelaninie – tego nie wiem do dziś. Ze ścieżki pod lasem wołam kilka razy:

– Listopad, listopad!

Nie słyszę nic, żadnego odzewu. Nie dowołałem się moich kolegów z czwórki. Za duże były już między nami odległości, zanim pociąg stanął. Uratowali się jednak, o czym dalej wspomnę.

Przed nami widoczne już były światła Gródka Jagiellońskiego, odległego ponad dwadzieścia kilometrów od Lwowa. Jesteśmy więc ponad siedemdziesiąt kilometrów za granicą Związku Radzieckiego. Ten mój obecny towarzysz to Bronek Wstęga[42] ze wsi Krasne koło Rzeszowa.

Droga przez mękę

Obawiamy się pościgu, więc gonimy, idziemy, leziemy, jak tylko sił starcza, aby dalej na zachód od miejsca ucieczki. Jesteśmy o zupełnie pustych żołądkach, ale przecież w granicach dawnej Polski; nie wszyscy chyba stąd uciekli. Może znajdziemy gdzieś jakąś pomoc, dadzą zjeść i przenocują, i poinformują…

Noc chyba już mija, bo wydaje nam się, że robi się nieco widniej. Dostrzegamy kilkadziesiąt metrów od lasu kilkanaście chłopskich zabudowań. Podchodzimy do najbliższej stodoły. W sąsieku leży wysoka sterta siana. Wdrapujemy się na samą górę. Przeczekamy tu do rana, trochę wypoczniemy, może dostaniemy coś do zjedzenia, bo żołądki upominają się o to. Trochę już zasypiamy, kiedy ktoś wchodzi do stodoły. Słyszymy chrzęst suchego siana i nagle przekleństwa, i złorzeczenia po ukraińsku. Złodzieje skradli w nocy siano – tak to zrozumieliśmy. Gorzej, że to był jakiś Ukrainiec. Niech Bóg broni. Uciekać stąd jak najdalej. Boimy się i Ukraińców, i Rosjan. Ten na dole (nie widzimy go) nabrał siana i wyszedł chyba do konia. Jak najszybciej zsunęliśmy się na dół i co sił zaczęliśmy uciekać z powrotem do lasu. Oglądamy się za siebie. Stoi pod stodołą już dwu mężczyzn. Zaczynają za nami gonić, ale po paru krokach zatrzymują się i tylko wygrażają. Wpadamy do lasu. Koniec z naszym wypoczynkiem, nici z posiłku. Ile kilometrów zdążyliśmy przejść ubiegłej nocy? Może pięć, może sześć.

W lesie źle się idzie. Nierówności, trawy i zarośla czepiające się nóg zatrzymują, ale posuwamy się powoli do przodu. Boimy się już zbliżać do ludzkich osiedli. Boimy się nawet gołych polnych dróg – by nie być widocznymi z daleka. Bo może jakiś konny patrol, może samolot… A tu dopiero co odzyskana, tak drogo okupiona wolność. Idziemy więc tylko lasami, kluczymy od jednego do drugiego. Spoczywamy. Zaczynamy zrywać trawę, zbierać opadłe już, zżółknięte liście brzóz. Gryziemy to, część połykamy, część wypluwamy, bo

gorzkie. Boimy się zatruć. Nigdzie jednak nie widzimy niczego, co można by zjeść. Jest już listopad, nie ma żadnych grzybów. Napotykamy w poprzek lasu płynący strumień, nawet nieszeroki – miał około metra – ale o dość wysokich brzegach. Zsuwamy się po tych brzegach i w butach przechodzimy wodę. Pijemy ją, zwilżamy usta. Patrzymy, czy nie pływa tam jakaś ryba, ale nic nie widać. Wyłazimy z wąwozu ubłoceni. Brniemy znów naprzód i naprzód.

Na skraju lasu natrafiamy na gęsto zarośnięty kawał wzgórka z małymi choinkami. Wchodzimy tam. Kładziemy się na igliwiu. Dzień krótki, ale słońce przechodzące już na zachodnią stronę tak przygrzewa. Postanawiamy tu przenocować. Ziemia piaszczysta, teren wokół zadrzewiony, nie ma przewiewu. Miejsce na nocleg nie najgorsze. Tylko ten drugi już dzień o głodzie. I to potworne zmęczenie. Zdejmujemy bardzo już mokre obuwie. Wyciągamy się i leżymy, ale gdzieś z daleka dochodzi nas jakiś głos, raz po raz powtarzający to samo. Słuchamy już chwilę. Co to może być? Ubieramy buty i schodzimy na dół. Daleko, bo ponad kilometr od nas, widzimy jakąś dużą wieś, od której aż prawie do naszego wzgórka rozciągają się uprawne pola. Tu niedaleko chłop orze. To on pokrzykiwał na konia. Podchodzimy do niego. Pozdrawiam go:

– Szczęść Boże.

– Daj Bochu zdrowi – odpowiada.

Boże, znowu Ukrainiec. Dalej mówię jednak po polsku, bo inaczej nie potrafię.

– Pan nie ma może z sobą kawałka chleba?

Dziwnie na nas popatrzył, ale odpowiada, że nie ma. Na to ja znowu:

– A czy tam, w tej wsi, którą widać, można by co kupić do jedzenia?

Powiedziałem „kupić", bo myślałem, że zachęci go to może. On znów z uwagą popatrzył na nas i mówi:

– Nie idźcie tam. Tam jest pełno wojska. Rekwirują zboże, ziemniaki, mięso. Wszystko dla żołnierzy wywożą. Wy Polaki?

– Tak – odpowiadam. – Jesteśmy głodni.

Pomyślał chwilę i znów mówi:

– Widzicie tam, na górze, tę wieżę? Przepłyniecie rzekę. Tylko uważajcie, bo za rzeką, jak te drzewa, jest droga z tej wsi, którą oni wożą dla wojska te zabrane zboża. Jadą na koniach. Jak was zauważą, to zaaresztują. A jak dojdziecie do tej wieży, to z góry zobaczycie za lasem białą wieżę kościoła. Tam jest Lacka Wola i tam są Polacy, to was nakarmią.

Mówił dużo i trochę go zrozumieliśmy, bo do swego ukraińskiego języka wtrącał polskie wyrazy. Pytamy:

– A ta rzeka to głęboka?

On wzruszył tylko ramieniem i coś tam odburknął po swojemu. Ucieszyliśmy się informacją od niego, bo było to i ostrzeżenie przed tą wsią, i konkretna wskazówka, gdzie trzeba się udać, by spotkać Polaków. Było już trochę późno, słońce chyliło się do ziemi, postanowiliśmy jednak iść i dotrzeć tam w ciągu nocy, bo bezpieczniej.

Ta rzeka to była chyba Wisznia, dość szeroka. Urwaliśmy na brzegu jakąś gałąź, by ocenić głębokość. Rozebraliśmy się do naga, związaliśmy ubrania witką i macając kijem dno rzeki, przebrnęliśmy przez nią. Zatrzymaliśmy się w gęstych zaroślach na drugim brzegu, bo zauważyliśmy trzy wozy jednokonne wiozące drogą, jakieś sześćdziesiąt–siedemdziesiąt metrów od rzeki, te zarekwirowane we wsi płody rolne. Jechały wolno, pilnowane przez trzech żołnierzy na koniach. Leżeliśmy nago na ziemi, szczękaliśmy zębami i drżeli z zimna. Trwało to chwilę. Wreszcie ubieramy się i dla rozgrzewki dość szybko przechodzimy drogę. Wspinaczka na górę (było to wzniesienie, na którym stał tak zwany punkt trygonometryczny) zajmuje nam więcej czasu, niż zakładaliśmy. Z daleka wydawało się, że to nie tak wysoko. Było już całkiem ciemno, gdy dotarliśmy na szczyt. O zobaczeniu wieży kościoła nie mogło być mowy. Z tego, co mówił ten Ukrainiec, zrozumieliśmy tyle, że z góry mamy zejść w stronę lasu i koło niego iść w prawo drogą. Idziemy więc tą drogą dość długo. Prowadzi między lasem a polem. Nagle słychać szczekanie psa. Tutaj, na tym pustkowiu? Z ciemności wyłania się domek stojący na wzgórku koło lasu. Pies ujada, ale jest uwiązany koło szopki. Podchodzimy i pukamy do drzwi domu. Nikt się nie odzywa. Stukamy w okienną szybę. Ktoś zbliża się, coś do nas mówi, ale nic nie słyszymy, bo ten pies ujada. Daję znak, by uciszyć psa lub otworzyć okno. Otwiera się okno. To kobieta. Próbuje uspokoić psa.

– Proszę pani, czy dobrze idziemy do Lackiej Woli? – pytam.

– A dobrze, dobrze, ale jeszcze trzeba iść trochę tą drogą, potem przez taki mały potok i jeszcze przez kawałek lasu. Tam wyjdźcie na łąki i za łąkami to już Lacka Wola.

– Proszę pani, my jesteśmy uciekinierami z transportu do Rosji i dwa dni już nic nie jedliśmy. Czy nie miałaby pani kawałka chleba?

Usłyszała, że jesteśmy Polakami, i wybuchła płaczem.

– Panowie, ja ponad tydzień już chleba nie widziałam. Męża zabili mi ruscy miesiąc temu. Widzicie, co tu się dzieje? Wycinają cały las, co rano tu przyjeżdżają i tną drzewa w pół. Ja jestem sama na tym pustkowiu. Boję się ich, ale mam tu dom. – Odchodzi od okna i po chwili przynosi trzy gotowane ziemniaki. – Panowie to, co mam.

– Dziękujemy!

Zjadamy te ziemniaki dwoma kęsami. Dobre i to.

Idziemy dalej. Dochodzimy do tego strumyka. To rozjeżdżone ciągnikiem bagno, nie da się go nawet ominąć. Przechodzimy, brodząc po kostki w błocie. Jest i ten las. Wchodzimy na łąki. Zdziwienie. Choć jest ciemno, widzimy zgliszcza kilku domów. Wypalone prawie do samej ziemi. Jeden tylko w połowie ocalał; grube i długie bele nie całkiem opalone są złożone w stos i nakryte daszkiem ze słomy. Żadnego życia wokół. Jakaś pomyłka? Kobieta nic nam nie wspominała o tym. Zaczyna padać gęsty deszcz. Wchodzimy na chwilę pod ten daszek. Nic to nie daje. Woda ścieka nam wprost pod kołnierze. Wychodzimy i drepczemy po tej łące. Nie czujemy jednak pod nogami żadnej drogi. Trawa i trawa. Dochodzimy do linii kolejowej dwutorowej. Z jednej i drugiej jej strony zagroda z drutu kolczastego. Koło toru na łące? Straciliśmy orientację, nie wiedzieliśmy, w którą stronę iść, w prawo czy w lewo.

Ciemna noc, deszcz nadal pada. Jesteśmy całkiem przemoczeni, zmęczeni i nadal głodni. Ruszamy w prawo koło zasieku. Idziemy już dość długo, ale nic się nie zmienia. Zawracamy i znów idziemy koło toru, też dość daleko. Nie znajdując przejścia na drugą stronę ogrodzenia, zmęczeni niesamowicie, postanowiliśmy wrócić do kobiety, która dała nam przed godziną wskazówki odnośnie drogi do wsi. Nie mówiła ani o spalonych domach, ani o torze kolejowym, sądziliśmy więc, że zbłądziliśmy w ciemnej nocy. Znowu pokonujemy ten błotnisty potok i kawał drogi do niej. Ona przyznaje, że o tych szczegółach zapomniała.

Zmęczenie nasze tym chodzeniem i ulewny deszcz tak zubożyły nasze siły, że posuwaliśmy się już bezwolnie. W pewnym momencie spostrzegliśmy maleńkie światło niedaleko przed nami. Nie zrobiło to na nas większego wrażenia. Byliśmy półprzytomni; nie umieliśmy już nawet myśleć. Świadomość nasza była tak ograniczona, że nie potrafiliśmy reagować ani na dobre, ani na złe. Dochodzimy do tego światełka. Świeci w budce kolejowej, jakie bywają przy torach; przebłyska przez drzwiczki oszklone. Mamy parę schodków do tej budki. Przechodzimy tor. Bronek zostaje na drodze. Ja idę na te schodki. Nie wiem już po co. Bez namysłu jednak zawracam i jesteśmy znowu razem. Bronek o nic mnie nie pyta, ja nic nie mówię. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Szliśmy koło jakiegoś młyna, koło jakichś okopów, rowów, jakimiś bezdrożami. Wszędzie pełno wody z deszczu. Ciągle pola, pola, pola. Mamy już dość. Nie wiemy, w którą stronę się obrócić. Obok, pod nogami, prawie zielenieje jakaś gałąź, jakby żywopłot. Bronek kładzie się powoli na to i utrzymuje nad wodą. Ja stoję po kostki w wodzie. Nic wokół siebie nie widzę, oprócz wody. I tak stoję i stoję, bez żadnego pomysłu. Bronek już zasnął, bo słyszę jego po-

chrapywanie. Nogi cierpną z zimna i ze zmęczenia. Trudno określić, jak to długo trwało.

Usłyszeliśmy nagle szczekanie psa. Otwieramy oczy. Robi się dzień. Następny głodny dzień. Na miedzach wystają z wody końcówki traw. Idziemy tymi miedzami. Niedaleko, może dwieście–trzysta metrów od nas, jest droga szeroka, wygodna, prosta. Widzimy już domy, a w jednym z nich światło. Dochodzimy tam. Pukam w szybę. Słyszę płacz dzieci. Znowu to kobieta otwiera okno. Mówię, kim jesteśmy, i pytam, czy to Lacka Wola.

– Tak – odpowiada. Zaraz jednak pada na nas jak grom z jasnego nieba wiadomość: – Panowie, panowie, tu cała wieś opanowana jest przez tych pograniczników, bo Medyka niedaleko. Mieszkają prawie w każdym domu. Ja im piorę bieliznę, bo mi płacą. Łażą całymi dniami po wsi i kupują u nas wszystko do jedzenia. Panowie, lećcie prędko przez sad za moim domem. Kawałek dalej jest chata na biało malowana. Tam mieszkają starsi dziadkowie. On nigdy Rosjan nie wpuszcza i jest dobrym Polakiem. Ale szybko!

Gonimy do tego domku. Pukam do drzwi, bo są zamknięte. Raz, drugi. Coś tam słyszymy ze środka. Drzwi się otwierają. Stoi w nich starszy już, siwy mężczyzna, jeszcze w bieliźnie. Zmierzył nas wzrokiem od stóp do głów.

– Wchodzić, szybko wchodzić. – Zamyka zaraz drzwi. Budzi żonę, by gotowała zupę. Nie pyta o nic. Przynosi drwa, zapala pod kuchnią. Teraz dopiero zaczyna rozmowę. Przed nami leży już bochen razowca i stoi mleko w kubkach. To tak na teraz, zupa będzie później. Mówimy, skąd jesteśmy, co, kiedy, dokąd idziemy. Słucha nas, kiwając głową, ale od czasu do czasu przerywa jakimś tłustym przekleństwem. Jak mu opowiadam o szukaniu drogi do Lackiej Woli i o tej budzie koło toru, pyta:

– Pan tam był?

– Nie, nie wszedłem.

– Dziękuj pan Bogu. W tej budzie jest sześciu kałmuków, którzy pilnują toru, bo jest on ciągle rozrywany minami przez naszych partyzantów. Bo tu po wsiach jest jeszcze dużo Polaków.

W dalszej pogawędce obiecuje nam, że zorganizuje kilku chłopców, którzy przemycają przez granicę takich uchodźców, jak my (bo granica jest dobrze pilnowana). Póki co zabiera nas do swojej stodółki, żebyśmy się przespali. Niesie ze sobą jakieś szmaty, na miejscu każe nam się rozbierać do naga i okręca nas płachtami, kocami i tym podobnymi. Potem włazimy na górę, na stos pszennych snopów, on nakrywa nas kilkoma z nich i wraca do domu z naszymi ubraniami, które ociekały wodą. Po chwili przynosi zupę ziemniaczaną w dużej misce i łyżki. Ściąga z nas te snopy i odchodzi. Nie możemy jeść. Na

wierzchu zupy jest gruba warstwa oleju, ale tak mocno i nieprzyjemnie pachnąca jakąś surowizną, że nie jesteśmy w stanie zbliżyć nosów do miski. Zlewamy olej w snopy i choć jest ciężko, po tych kilku dniach głodówki zjadamy tę ciepłą strawę.

Nie dał nam jednak los dłużej odpocząć nawet tu, wśród Polaków. Ledwo zaczynamy zasypiać, gdy słyszymy ze wsi serie z automatów i pojedyncze strzały. Wpada do stodoły nasz gospodarz i krzyczy, że łapią chłopaków, którzy zdezerterowali z polskiego wojska. Szukają ich wszędzie, po strychach, stajniach, różnych zakamarkach. Rzuca na nas jeszcze kilka snopów, bo może i tu będą zaglądać, chociaż on syna nie ma. Ale strachy na Lachy – wnet wszystko cichnie i robi się spokojnie. Zasypiamy na parę godzin, zepchnąwszy z siebie nogami parę snopków, bo było nam ciężko i duszno.

Budzimy się, gdy robi się już ciemno. Nie możemy wyjść, bo jesteśmy nadzy. Zaraz jednak chłop przynosi nam nasze suche już odzienia. Zjadamy królewski obiad. Rosół i mięso z królika. To było coś nieoczekiwanego. Ten dziadek jest trochę zmartwiony, bo chłopcy w większości zostali wyłapani, a reszta gdzieś rozproszyła się po okolicy. Przez godzinę prawie opisywał tę naszą dalszą drogę do granicy.

Z grubsza jeszcze pamiętam, co mówił. Mamy trzymać się drogi Przemyśl–Lwów; iść w odległości pięćdziesięciu–sześćdziesięciu metrów od jej lewej krawędzi. Będziemy przechodzić koło cmentarza, plus minus pięć kilometrów stąd. Potem przy drodze jest młyn wodny, ale potok tam jest i szeroki, i głęboki. Da się go pokonać trochę wyżej. Musimy iść jego brzegiem jakiś kilometr od drogi. Zobaczymy kładkę, po której mamy przejść na drugą stronę, następnie zaś – zbliżyć się z powrotem do drogi. Gdy drogą będzie jechał samochód, radzi nam upadać na ziemię, bo przy włączonych światłach w aucie kierowca może nas zobaczyć z daleka.

Maszyniści ruscy mają zwyczaj często sobie dawać sygnały. Trzeba zwracać uwagę, z której strony będzie je słychać. Jeżeli z prawej, to znaczy, że stacja w Medyce jest już blisko. Musimy wtedy uważać. Po naszej stronie drogi teren obniży się. Rośnie tam rząd wierzb niskich. Na polu możemy widzieć głębokie ślady końskich kopyt. To granica. Tam jeżdżą dość często patrole na koniach. Potem, jak będziemy słyszeć już sygnały kolejowe za sobą, to znaczy, że jesteśmy w Polsce.

Do granicy od niego jest siedemnaście kilometrów. Noc długa. Za pięć–sześć godzin powinniśmy być w kraju.

Jesteśmy w suchych ubraniach, suto nakarmieni i dobrze poinformowani. Nie mamy jednak czym odwdzięczyć się za to serdeczne zaopiekowanie się

nami. Obiecujemy, że jeżeli sytuacja się zmieni, to na pewno tu przyjedziemy podziękować. Gospodyni żegna nas znakiem krzyża. Oboje życzą szczęścia w dalszej drodze. My życzymy zdrowia i długiego jeszcze życia. Zaopatrzeni w duże kawałki chleba z masłem, ruszamy.

Idziemy według wskazań, chociaż zaraz na początku drogi nie polem, a lasem – wyciętym przed kilkoma laty, bo korzeniowe odrosty są już wysokości człowieka. Nagle napotykamy tu, wśród tych młodych drzewek, konia siwego, nieuwięzionego, samotnego. Czy to dobry znak czy zły? Samochodu żadnego na drodze nie widzimy.

Jest ten cmentarz. Dobrze, idziemy dalej, do młyna. Nie widzimy go jednak, choć to już parę kilometrów od cmentarza. Zaczynamy odmawiać „Zdrowaś Mario" – ot tak nam przyszło do głowy, by nie iść w ciszy. Pole trochę rozmoknięte po tych deszczach. Na butach dużo błota, ciężko się idzie. Nasłuchujemy tych zapowiadanych przez dziadka sygnałów kolejowych, ale nadal głucho. Nic nie słychać. Brniemy dalej parę kilometrów. Nagle Bronek upada. Słyszę plusk wody i siarczyste przekleństwo. Okazuje się, że nie upadł, tylko stanął na brzegu rowu i ześliznął się po pas do wody. Wyciągnąłem go, jeszcze trochę poprzeklinał, ale dzięki temu jego wypadkowi znaleźliśmy młyn, który trudno było zobaczyć, bo do drogi było parędziesiąt metrów, a noc bardzo ciemna. Bronek teraz dopiero zauważył, że w wodzie zgubił chleb z masłem. Chwyciliśmy się za ręce, bo obawialiśmy się kolejnych takich zjazdów do rowu, a wypadała nam droga ponad kilometr wzdłuż jego brzegu. Obyło się już bez drugiego ślizgu.

Znowu zbliżamy się do drogi, znowu nasłuchujemy tych sygnałów ze stacji. I znowu idziemy dalej. Który to już kilometr od Lackiej Woli? Zaczyna do nas dochodzić jakiś odgłos, jakiś pomruk od zachodu. No nareszcie. Zbliżamy się do Medyki. Zwracamy więcej uwagi na wierzby, na ślady kopyt. Ciężka to sprawa. Jak zobaczyć dołek w ziemi, kiedy nie widzi się własnego palca koło nosa, bo noc taka ciemna? Czujemy pod nogami, że pole obniża się, a wierzby, owszem, są, ale jakoś tak bezładnie rosnące, nie rzędem. Co mamy robić? Idziemy koło drogi, bo wiemy, że prowadzi do Lwowa, a więc z zachodu. I w tamtą stronę trzeba podążać, i stamtąd słyszymy już jakieś odgłosy. Maszerujemy dalej i dalej. Aż nagle w poprzek naszej trasy znów rów pełen wody. Zatrzymujemy się, bo na drodze, pod którą ten rów przebiega, stoi żołnierz. Kładziemy się na ziemi, by nas nie zauważył. On stoi i nie rusza się. Bronek przysuwa się do mnie i mówi szeptem:

– Bo oni na każdym mostku pełnią wartę, czy trzeba, czy nie trzeba.

Leżymy więc dalej, ale coś się nam nie podoba. Przecież wokół puste pole, nie ma żadnego domu. Po co tu żołnierz? Umawiamy się, że chrząkniemy,

a jak się ruszy, to pobiegniemy w pole. Któryś z nas chrząknął raz, drugi. Tamten nie drgnął. Ostrożnie podchodzimy do drogi. Na poboczu stoi drzewo ucięte w połowie, wysokości człowieka. Przeszliśmy ten rów i już dalej nie wchodziliśmy na pole. Stwierdziliśmy, że skoro przez cały czas naszego marszu koło drogi nie przejechał nią ani jeden samochód, to na pewno i teraz się nie pojawi. A gdyby nawet, to będzie jechał z włączonymi światłami, widocznymi z daleka, i zdążymy odskoczyć. Szybciej już maszerujemy drogą. Wciąż słyszymy przed sobą ten stacyjny ruch, a teraz to nawet i sygnały lokomotyw. To nas trapi, bo zaczyna się od wschodu rozjaśniać, a do Medyki musi być jeszcze kawał.

Zobaczyłem jakiś drogowskaz.

– Bronek, przecież my jesteśmy już pod Przemyślem.

Kiedy przekroczyliśmy granicę, nawet nie zauważyliśmy, a te odgłosy to dobiegały już z Przemyśla. Radość zapanowała nagle w naszych sercach, ale na krótko. Paręset metrów dalej mostu na małej rzeczce będącej dopływem Sanu strzegł wartownik, tym razem autentyczny, i z daleka krzycząc „Pastoj!", zatrzymywał nas. Nie było jeszcze całkiem jasno. Drapnęliśmy w pole, dość daleko od drogi. Stała tam jakaś spróchniała już stodoła z garścią przegniłej słomy. Weszliśmy i postanowiliśmy, że przeczekamy tam do wieczora. Wyglądaliśmy przez szpary w zmurszałych deskach, obserwując przedmieścia miasta. Zjedliśmy mój kawałek chleba. Jeżeli zrobiliśmy tyle kilometrów i uratowaliśmy życie, to nie mogliśmy teraz, już w Polsce, utracić nagle tego wszystkiego.

W Przemyślu most na Sanie był zerwany, a wojsk rosyjskich dużo. Po zachodzie słońca, okrążając miasto od południa, zbliżyliśmy się do jakiejś wioski. Wiedzieliśmy, że tu już ani Rosjan, ani Ukraińców nie spotkamy. Było dopiero południe, gdy zdecydowaliśmy się wstąpić do jakiegoś małego gospodarstwa. Przyjęto nas grzecznie, ale z ostrożnością. Byliśmy brudni, zarośnięci, obdarci.

Przedstawiamy się, mówimy skąd idziemy i gdzie. Słuchają; starsza kobieta wybucha płaczem. Okazuje się, że trafiliśmy do rodziny, która wywieziona była w roku 1939 do Rosji. Mąż, żona, córka. Mąż tam zmarł, a one obie wróciły wiosną tego roku. Ugościły nas, ale nie w domu – bały się teraz wszystkiego, a my byliśmy już przecież przestępcami – a w przybudowanej do chałupy szopie. Córka pobiegła gdzieś i zaraz wróciła z chłopem. Jak się okazało, był to jej narzeczony. Rozmawiał z nami bardzo żywo. Powiedział, że ma trochę znajomości wśród obsługujących prom przewożący ludzi przez San, a na jutro dostał wezwanie do stawienia się do wojska, więc jeśli nam to

odpowiada, to mógłby jakoś szybko pomóc. Zgadzamy się, oczywiście, chcemy jak najprędzej dostać się do domu. Radzi nam, żebyśmy poruszali się tylko pieszo, nie żadnym transportem, bo wszędzie można się na coś nadziać. Poleciał do domu, przyniósł maszynkę do golenia. Ogolił nas własnoręcznie. Dał nam też łopatę i kilof. Podpowiada, abyśmy szli wzdłuż toru jako robotnicy kolejowi. Mówi, że będąc w tym wieku, możemy być zaczepiani i ciągnięci do wojska.

Ja poprosiłem tę córkę, by powiadomiła moją narzeczoną i jej rodzinę, mieszkających na placu Czackiego w Przemyślu, że zdrowy wracam do Rzeszowa. Bardzo się tym zainteresowała (później dostarczała tam jajka; chętnie je od niej kupowano).

Następnego dnia rano, po miłym pożegnaniu, przeprawiliśmy się na drugą stronę Sanu i ruszyliśmy koło toru kolejowego – Bronek z kilofem, ja z łopatą na ramieniu – w dalszą drogę. Bez żadnych już przygód okrążyliśmy Jarosław i Przeworsk. Nocowaliśmy pod Przeworskiem, znów u chłopa. Częstował nas obficie gotowanymi jajkami. Stosunek tych wszystkich ludzi w Polsce do nas był bardzo serdeczny; współczuli i pomagali.

Dzień kolejny był już ostatnim, kiedy wędrowaliśmy razem. Dotarliśmy do domu Bronka o zmroku. Było dużo łez, dużo uścisków i ucałowań, dużo opowiadań o tej ucieczce i związanych z nią tarapatach. Obficie nas nakarmiono i spaliśmy na strychu domu, na pachnącym sianie, długo i smacznie.

Końcowy etap mojej wędrówki do domu. Ominąłem Rzeszów od strony Staroniwy, by dwukrotnie nie przeprawiać się przez Wisłok. Wieczorem byłem już w rodzinnej wsi. Zaskoczyła mnie duża ilość wojsk rosyjskich. Nie spodziewałem się, że żołnierze radzieccy zamieszkiwali nawet dom mego brata. Stał przecież kilkaset metrów od innych zabudowań. Gospodarzyła tam moja mama, gdyż zarówno bratowa, jak i brat już zmarli. Z ostrożności schroniłem się w oborze. Nie czekałem długo. Zaraz weszła tam mama doić krowę. Stanęła jak słup, z wytrzeszczonymi oczyma. Oniemiała. Nie rzekła ani słowa… Ja też nie. Musieliśmy przecież mieć czas na pokonanie naszej wspólnej niewiary – że ja w ogóle stamtąd wróciłem. Bez słowa padliśmy sobie w objęcia. Pierwsze, co powiedział, to:

– Uważaj, tutaj mieszka trzech Rosjan i są w każdym prawie domu. Chodź zaraz na strych, wyniosę ci coś do jedzenia.

Przez kogo zawiadomiła w nocy ojca Urbana, którego syn Józef skoczył z pociągu zaraz po mnie, tego nie pamiętam, ale zjawił się już po godzinie. Chciał dowiedzieć się, czy syn też uciekł i czy żyje, i gdzie on w tej chwili jest. Zrelacjonowałem mu całą tę historię ucieczki, zapewniając, że uciekł na pew-

no, bo skakał drugi po mnie, ale do naszego spotkania później nie doszło ze względu na noc i strzelaninę. Wyszedł do domu uspokojony.

To on powiadomił nielegalne już władze AK o moim powrocie. Zaczęli mnie przerzucać do różnych melin. Od Wróbla[43] trafiłem do Lubeni. Tam ulokowany byłem kolejno w trzech miejscach; w każdym spędziłem parę dni. Ostatecznie trwalsze schronienie zorganizowano mi w Zaborowie, trzynaście kilometrów od mojego domu.

Był to dom bardzo ubogi, w górach, dokąd dojazd od drogi nie był możliwy ani samochodem, ani furmanką. Można tam było się dostać jedynie pieszo, udeptaną ścieżką. W pobliżu żadnych innych domów nie było. Po wodę chodziło się głębokim wąwozem o stromych brzegach. Na jego dnie z głazów kamiennych sączyła się czysta źródlana woda. Warunki były iście spartańskie. Mój gospodarz też był członkiem AK; mieszkał z żoną i córką. W żywność zaopatrywano nas przez gońca z ramienia BCh. Obok, kilkaset metrów niżej, melinowany był mój znajomy, również z AK. W „jego" domku mieszkała babcia z trzydziestokilkuletnim synem, kawalerem jeszcze. Oboje byli bardzo biedni (każdego wieczoru klękali razem koło łóżka i wspólnie głośno modlili się do wiszącego na ścianie obrazu).

Taka sielanka trwała do końca roku 1944. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy, składając sobie życzenia i siedząc przy bardzo ubogich stołach. W Nowy Rok niespodziewanie pojawiły się u mnie moja młodsza siostra i moja narzeczona z Przemyśla, która na święta przyjechała do nas. Jak one obie tam trafiły, nie wiem. Musiały otrzymać dobre informacje od mego przełożonego, „Świdra". Przyniosły dużą paczkę ze świątecznymi wypiekami, ale również i ciekawą wiadomość, że wszystkie wojska nagle ruszyły na Berlin i we wsi nie ma już żadnej jednostki. Podjąłem więc natychmiastową decyzję o powrocie. W Zarzeczu nie było bowiem groźnych komunistów i żadnych wrogów osobistych nie miałem. Na wszelki wypadek nie nocowałem jednak w domu, a swojej obecności specjalnie nie ujawniałem.

Skończyło się zjadanie obcego chleba. Zagrożenie jednak nadal istniało. Powoli, ale systematycznie, pod różnymi pretekstami usuwało się „wrogów ludu". Więzienia były zapełnione; w dalszym ciągu wywożono do Rosji tych wszystkich, którzy w jakiś sposób dawali wyraz niezadowoleniu z nowo wprowadzonego porządku politycznego w Polsce. Rusyfikowano całą armię polską, całe szkolnictwo, sądownictwo. Masowo wydawano wyroki śmierci na podstawie specjalnie skonstruowanych oskarżeń co do Bogu ducha winnych ludzi. Trwało to latami. Nie sposób opisać całej tragedii ludu polskiego…

Część III

PO WOJNIE

Złocieniec

Zachodnia granica Polski: Nysa Łużycka, Odra, Świnoujście. Ruch Polaków na zachód. Nowe możliwości życia i nowe możliwości ukrycia się przed politycznym prześladowaniem. Olbrzymi chaos; olbrzymia masa różnych ludzi wędrujących na dachach, na schodach wagonów towarowych; olbrzymia szansa dla szabrowników, dla oszustów, złodziei różnego autoramentu na dorobienie się majątku, zrobienie kariery. Wszystko na jakiś krótki czas. Władza nie jest w stanie opanować sytuacji.

Stanisław Szczepan z czasów młodości. *Autor nieznany, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

Część naszych ludzi z placówki w Czudcu, niepewnych swego losu, wywędrowała już do tej krainy bezładu. Główne ich skupisko to Dąbie Szczecińskie. Otrzymuję propozycję spokojnego przeżycia tam jakiegoś czasu, dopóki sytuacja nie unormuje się. Nie decyduję się jednak, gdyż jest tam zbyt dużo znanych mi osób. Druga propozycja to Złocieniec – mała mieścina w powiecie drawskim, gdzie zamelinowało się na razie dwu działaczy placówki, znanych mi dobrze. Pojechałem tam z jednym z kolegów jako Wolak Stanisław (miałem jeszcze dokument z Rzeszowa wystawiony na to nazwisko).

Mieszkam przy ulicy Nadrzecznej, w lokum, którego część zajmują jeszcze matka i córka – kandydatki do wysiedlenia, bo są Niemkami. Zaczynam pracować w urzędzie miasta jako sekretarz i równocześnie prowadzę referat wojskowy. Burmistrzem jest Ryszard Rysowski, z zawodu nauczyciel. Mój kolega, który mi to zaproponował, już ma zajętą willę poniemiecką i pracuje jako powiatowy przedstawiciel przy organizowaniu magazynów zbożowych, młynów, zsypów. Kończył studia we Lwowie na politechnice, wydział rolniczy. Drugi znajomy jest naczelnikiem stacji PKP. Kolega z Rzeszowa pracuje jako organizator skupu mleka, tworzy zlewnie terenowe. Mieszka u właściciela mleczarni, pana Grabow-

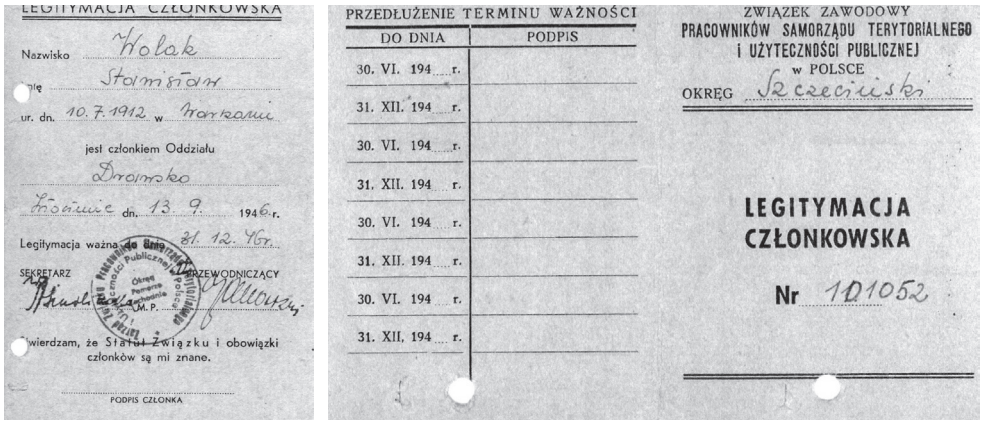
LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA

Nazwisko Wolak

Imię Stanisław

ur. dn. 10.7.1912 w Warszawie

jest członkiem Oddziału

Drawsko

Złocieniec dn. 13.9. 1946 r.

Legitymacja ważna do dnia 31.12.46 r.

SEKRETARZ PRZEWODNICZĄCY

L.M.P.

Poświadczam, że Statut Związku i obowiązki członków są mi znane.

PODPIS CZŁONKA

PRZEDŁUŻENIE TERMINU WAŻNOŚCI

DO DNIA	PODPIS
30. VI. 194 r.	
31. XII. 194 r.	
30. VI. 194 r.	
31. XII. 194 r.	
30. VI. 194 r.	
31. XII. 194 r.	
30. VI. 194 r.	
31. XII. 194 r.	

ZWIĄZEK ZAWODOWY PRACOWNIKÓW SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO I UŻYTECZNOŚCI PUBLICZNEJ w POLSCE

OKRĘG Szczecińsk

LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA

Nr 101052

Należąca do Stanisława Szczepana legitymacja członkowska Związku Zawodowego Pracowników Samorządu Terytorialnego i Użyteczności Publicznej wystawiona na fałszywe nazwisko Stanisław Wolak. *Zbiory prywatne Janusza Szczepana*

skiego, w Złocieńcu. Oto cała rodzina uciekinierów z placówki AK w Czudcu. Oczekujemy na naszego dowódcę Szybkowskiego, który ma przybyć niebawem.

W zarządzie miejskim pracuje już kilkanaście osób. Wszyscy żywimy się na własną rękę. Wyjątek stanowią obiady, bo zarząd prowadzi stołówkę dla pracowników. Jadamy przeważnie ryby, gdyż przez miasto przepływa rzeka Drawa, a tuż za nim jest spore jezioro administrowane przez zarząd. Pracuje tu na stałe dwu rybaków. Za Drawą mieści się gospodarstwo rolne, również miejskie, prowadzone przez pana Żubra. Stąd mamy mleko, ser, masło, mąkę, kasze i jarzyny, a także mięso. Oprócz tego każdy pracownik otrzymuje paczki UNRRA ze Stanów Zjednoczonych. Biedy więc nie odczuwa się. Jest sielsko anielsko.

Latem zostaję skierowany na sześciotygodniowy kurs dla pracowników samorządowych z województwa szczecińskiego, organizowany z inicjatywy wojewody szczecińskiego Leonarda Bortnowskiego. Kurs odbywa się w Międzyzdrojach. Zaliczam go i wracam do Złocieńca.

Na moją prośbę matka mej narzeczonej wyraża zgodę na wyjazd córki do Złocieńca. Tu zatrudniam Stanisławę w biurze ewidencji ruchu ludności. Zamieszkuje z dwiema kobietami pracującymi w zarządzie miasta w dużej willi kolegi Piwara.

6 grudnia 1945 roku zostaje wyznaczony jako dzień wyjazdu pozostających jeszcze w Polsce Niemców do Reichu. Ci, którzy podpisali deklarację wierności rządowi polskiemu, nie będą wysiedleni. Osoby wysiedlane mogą wziąć ze sobą tylko jedną walizkę z dowolną zawartością. Żadnych środków transportu ręcznego nie wolno im brać. Robi się ruch handlowy między Niemcami a Polakami. Niemcy sprzedają za byle co te rzeczy, których

do walizki nie wezmą, głównie meble, duże zegary i modne budziki oprawne w marmur i srebro, pościel, maszyny, narzędzia kuchenne, dywany i tym podobne. Część rzeczy zamurowują w piwnicach lub oddają w depozyt do tych rodzin niemieckich, które postanawiają zostać. Mają bowiem nadzieję, że niedługo tu wrócą. Luksusowe meble można kupić za dziesięciokilogramową paczkę żywnościową UNRRA. Pieniędzy nie bierze się. Ludzie wwożą te zakupy do kraju wagonowo. Jadą pianina, fortepiany, setki dywanów, kilimów, futer, maszyn, zegarów stojących, obrazów, mebli.

Nadszedł 6 grudnia 1945 roku. Na stacji czekał już pociąg z wagonami typu towos, z ławami wewnątrz. Zarząd miasta delegował osiem komisji wysiedleńczych. W skład każdej wchodził przedstawiciel zarządu miasta, milicjant i ktoś znający język niemiecki. Taka komisja posiadała dane dziesięciu rodzin – spis osób i adresy. Byłem członkiem jednej z nich.

Godzina ósma rano. Domek jednorodzinny, dość zamożny; otoczony parkanem, za którym wszędzie wokół stoją stosy desek różnego rodzaju. Wchodzimy. Drzwi otwarte. Rodzina już ubrana do wyjścia: starszy mężczyzna z siwizną na głowie i brodzie, z zawodu architekt, i córka, ponad czterdzieści lat. Oboje płaczą. Dom to dorobek całego ich spokojnego życia. Mężczyzna wodzi oczyma po ścianach. Podchodzi do okien, do drzwi, całuje je i łka. Córka jęczy z żalu z twarzą ukrytą w firanie okiennej. Nikt nie mówi ani słowa. Co tu mówić? Zabierają duże walizy i wychodzą. Na podwórku znów odwracają się, z płaczem. Ilu Polaków tak samo żegnało rodzinne gniazda? Zarówno oni parę lat wcześniej, jak i ci Niemcy tutaj to najczęściej ludzie Bogu ducha winni.

Komisja zamyka drzwi, pieczętuje, pisze na kartce ulicę i numer domu i przywiązuje ją do klucza. Klucze wędrowały do rąk przedstawiciela powia-

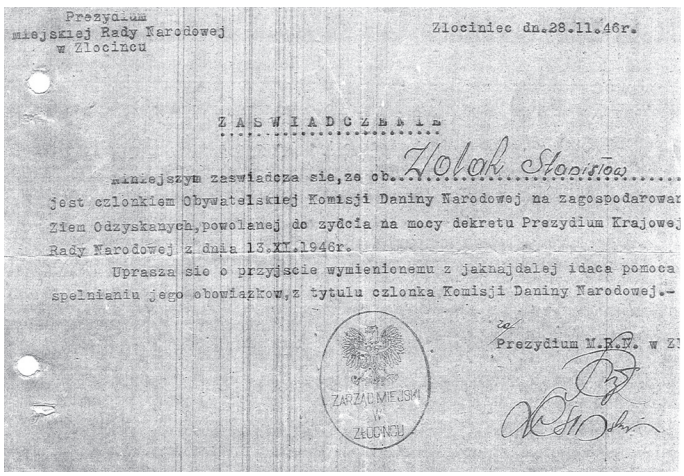

Prezydium
miejskiej Rady Narodowej
w Złocińcu

Złocieniec dn. 28.11.46r.

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Niniejszym zaświadcza się, że ob. Wolak Stanisław
jest członkiem Obywatelskiej Komisji Daniny Narodowej na Zagospodarowa
Ziem Odzyskanych, powołanej do życia na mocy dekretu Prezydium Krajowej
Rady Narodowej z dnia 13.XI.1946r.

Uprasza się o przyjście wymienionemu z jaknajdalej idącą pomocą
spełnianiu jego obowiązków, z tytułu członka Komisji Daniny Narodowej.-

Prezydium M.R.N. w Z

ZARZĄD MIEJSKI
W
ZŁOCIEŃCU

Zaświadczenie o członkostwie Stanisława Wolaka (fałszywe nazwisko Stanisława Szczepana) w Komisji Daniny Narodowej na Zagospodarowanie Ziem Odzyskanych. *Zbiory prywatne Janusza Szczepana*

towego urzędu osiedleńczego, który przebywał danego dnia w wysiedlanym mieście czy wsi.

Opuściłem mieszkanie przy ulicy Nadrzecznej. Dlaczego? Pełniłem funkcję dzielnicowego na tak zwanym Sietzlungu. Była to dzielnica trzech ulic równolegle położonych do siebie z małymi domkami jednorodzinnymi – dwa pokoje, czasem trzy, kuchnia, pokój na poddaszu, w podwórku murowany budyneczek do hodowli zwierząt i przechowalnia różnego sprzętu oraz ubikacja. Wszystkie domy podobne, prawdopodobnie budowane dla pracowników cegielni stojącej dwieście pięćdziesiąt metrów dalej. Idąc do tego osiedla od centrum miasta, przechodziło się przez uroczy zagajnik. Część rodzin stamtąd również wyjeżdżała 6 grudnia do Niemiec. Większość jednak pozostawała. Urząd osiedlowy nadawał tam prawa własności. Ja dostałem ładny domek, zajmowany jeszcze przez starsze już małżeństwo. W drugim zamieszkał K. Grabski wspólnie z moim kolegą, a do trzeciego przeniosły się te trzy nasze koleżanki – Krysia, Stasia i Alina. Byłoby dobrze, gdyby…

W owej cegielni, nieczynnej już, stacjonował pułk Rosjan wycofanych po zdobyciu Berlina. Co dzień okradali Niemców, dopuszczając się także rozbojów. Kradli nawet krowy na rzeź, zabierali meble, które wagonowo odsyłali do Rosji.

Ja jako dzielnicowy miałem karabin – było to legalne, ale i niebezpieczne. Kilkakrotnie interweniowałem z dobrym skutkiem, ale nigdy nie mogłem przewidzieć, do czego to może doprowadzić. Zrezygnowałem więc czym prędzej z tej funkcji. Sprzyjającą okolicznością ku temu było rozporządzenie władz rosyjskich. Po zdobyciu Berlina cała generalicja radziecka pozajmowała w miastach lepsze pałace, wille i luksusowe domki z wysokiej jakości wyposażeniem. Mieszkali tam parę miesięcy. I nagle na przełomie lat 1945–1946 skoncentrowano te ich siedziby bliżej podległych miejsc. Opuścili więc komfortowe gniazdka, jakich nie widzieli w całym swoim życiu. Przy ulicy Nowej pięć znalazłem jedno z nich. Dom mały wprawdzie, bo tylko trzy pokoje i kuchnia, ale w dobrym stanie i nawet nieźle umeblowany. Złożyłem czym prędzej wniosek o zakup, który wnet został przyjęty. Obsadziłem dom natychmiast. Ja zająłem jeden pokój, kolega drugi, a trzy koleżanki trzeci.

W tym czasie przybył do Złocieńca dowódca naszej placówki Szybkowski. Zaczął od razu pracować w zarządzie miejskim jako sekretarz, gdyż był magistrem prawa (ja piastowałem dotąd tę funkcję jako pełniący obowiązki). Od samego początku byliśmy już w czwórkę zmobilizowani do walki z obecnym ustrojem. Mietek Krynda, działający wciąż w terenie, znalazł podatny

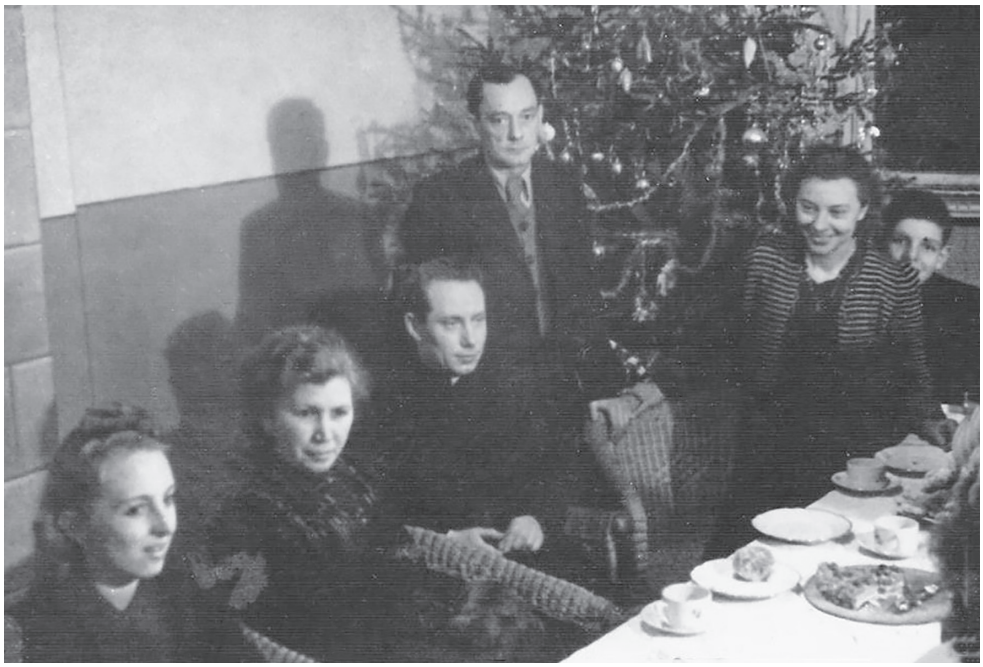

Spotkanie choinkowe w Gimnazjum Handlowym w Złocieńcu w 1946 roku. Od lewej: Urszula Szybkowska, Kazimiera Marczak, ksiądz Władysław Motała, Tadeusz Szybkowski, Janina Nizińska (Zmysłowska). *Autor nieznany, zbiory prywatne Zdzisława Dominy (zdjęcie udostępnione mu przez Tadeusza Bosiackiego ze Złocieńca)*

grunt wśród sołtysów i niektórych funkcjonariuszy milicji. Ja zmieniłem nastawienie polityczne u komendanta milicji w Złocieńcu, Bieleckiego, oraz u inkasenta Bronisława Schmita i jego brata Kazimierza.

W grudniu w mym mieszkaniu odbyła się pierwsza narada polityczna z udziałem kilku kandydatów do przyszłej organizacji. My obaj, to znaczy M. Krynda i ja, posiadaliśmy już legitymacje zrzeszenia Wolność i Niezawisłość z podpisem Stanisława Mikołajczyka. Pierwsze nasze hasło to „Trzy razy nie" – przeciwstawne do rządowego „Trzy razy tak", odnoszącego się do głosowania w czasie referendum. Chodziło o reformę rolną i jednoizbowy parlament.

Drukowaliśmy i powielaliśmy setki ulotek szkalujących obecny ustrój państwa, powrót do niewolniczego komunizmu. Szczególnie podkreślały one wymordowanie w Katyniu kilkunastu tysięcy polskich oficerów wojska, policji oraz KOP-u, poza tym mówiły o masowym wywozie do Rosji obywateli polskich, głównie rolników z terenów południowo-wschodnich, tajnym podpisaniu układu między Rosją a Niemcami o podziale Polski w roku 1939, ogólnej rusyfikacji polskiego wojska i uczynieniu jego marszałkiem rodowi-

tego Rosjanina Konstantego Rokossowskiego (usunięty zresztą z armii polskiej w roku 1956 po poważnych rozruchach politycznych).

Ulotki te, redagowane przeze mnie i Kryndę, pisane i powielane przez Krysię Piwar (maszynę do pisania i powielacz przyniosłem z zarządu miasta), były rozprowadzane przez różne nasze koleżanki i kolegów, tak w mieście, jak i w okolicznych wioskach. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego szalał, próbując wykryć źródło tej propagandy; na razie bez skutku.

Miesiące mijały szybko. W tym czasie postanowiłem ożenić się z moją narzeczoną. W zapowiedzi w miejscowym kościele pojawiłem się pod używanym wtedy nazwiskiem Wolak Stanisław; nazwisko narzeczonej – Gromada – nie zostało zmienione. W przemyskiej katedrze jednak taka zapowiedź brzmiała inaczej – Stanisław Szczepan i Stanisława Gromada. Pomyślałem bowiem, że po planowanych już wyborach rządu i amnestionowaniu osób o nieuregulowanej sytuacji prawnej, dobrze będzie przynajmniej w jednym urzędzie stanu cywilnego mieć wpis o małżeństwie prawidłowy.

Stanisław Szczepan z narzeczoną Stanisławą Gromadą. Zarzecze, 1943 rok. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

Data ślubu ustalona została na 26 grudnia 1946 roku. Uroczystość miała się odbyć w Przemyślu. Przygotowania trwały. Śluby wówczas były raczej

tylko aktem urzędowym. Niektórym tylko młodym parom w licznym gronie udawało się uczcić wesoło ten ważny dzień, bo było tuż po kilkuletniej wojnie, rodziny dopiero odnajdywały się i łączyły po długich rozstaniach, panowała powszechnie bieda.

W połowie grudnia mieszkająca razem ze Stachą i Aliną Krysia wyjechała do Lwówka Śląskiego, do rodziców, na święta. Włodek M.[44] przeniósł się do Grabowskiego, do mleczarni. Ja pakuję już walizki i przesyłam telegram do Przemyśla, że 18 grudnia wyjeżdżamy stąd, ale po drodze wstąpię do Zarzecza na dzień lub dwa. Alina na święta idzie do swojej koleżanki. Dom zostaje pusty. Dostaję urlop na dwa tygodnie.

18 grudnia rano jesteśmy już w pociągu. Wysiadamy na stacji Stargard Szczeciński, by przesiąść się na pociąg relacji Szczecin–Przemyśl. Stoję w kolejce obok kasy biletowej, by uiścić dopłatę do pociągu pospiesznego. Nagle zostaję silnie pochwycony za obie ręce i czuję dotyk lufy pistoletu na plecach.

– Panie Szczepan, jest pan aresztowany. Tym razem niech pan nie próbuje uciekać; teraz nie uda się to panu.

Oglądam się na drzwi, przy których stała z walizkami moja druga połowa. Nie zdążyłem nawet zapytać: „A gdzie ona?".

– Już siedzi w samochodzie – wyjaśniają mi trzej panowie.

Ciarki przeszły mi po kościach. Wiążą mi sznurem nogi od kostek do bioder, krępują ręce z tyłu, za plecami, i wsadzają do drugiego wozu, warszawy[45]. Dwaj stróże prawa siadają obok, jeden z lewej, drugi z prawej mojej strony; trzeci z przodu, obok kierowcy. Jedziemy w stronę Szczecina. Zaczynają ze mną rozmawiać, ale nic nie odpowiadam, więc przestają. Paliłem w tym czasie papierosy, więc proszę, by wyjąć mi jednego z kieszeni, zapalić i wkładać raz po razu do ust, bo ja mam związane ręce. Myślałem, że odmówią mi tej usługi, jednak dokładnie wykonują moją prośbę. Ja w tym czasie myślę. Dlaczego zwracali się do mnie przez „pan", skoro używano wtedy formy „wy"? Czy była to może drwina wynikająca z radości, że tak łatwo udało im się ująć od dawna poszukiwanego? No i w jaki sposób doszli do mego prawdziwego nazwiska, skoro nikt z ludzi w Złocieńcu nie znał go za wyjątkiem Władka M., Mietka Kryndy i mojej dziewczyny? Nie pisałem też stąd żadnych listów do nikogo*. W chwili aresztowania nazywałem się już nie Wolak, lecz Sobieralski Kazimierz, by ewentualnie zmylić trop. Teraz jednak nie miało to już żadnego znaczenia.

* Wyjaśniło się to nieco później. Nie wiem jednak, czy wolno mi będzie o tym pisać ze względu na związek z szeroko zakrojoną nieznaną mi sprawą, mnie osobiście niedotyczącą.

Po południu jesteśmy już w Szczecinie, w prokuraturze wojskowej. Gdzie narzeczona – tego nie wiem. Obie walizki stoją w sali depozytowej. Robią mi od razu zdjęcia z różnych ujęć, odciski linii papilarnych składam na kilku blankietach. Wprowadzają do sali depozytowej, wykonują rewizję osobistą. Starszy sierżant wypełnia protokół depozytowy. Proszę, by spisywał wszystkie rzeczy, a nie z rozdziałem na mąż – żona. Ja będę kwitował całość depozytu. Tak też robi. Szmatka po szmatce, papierosy Camel, Chesterfield i tak dalej. Zwracam mu uwagę, że rzeczy kosztownych nie musi rzucać na oliwioną podłogę; suknia ślubna, bielizna czy garnitur ślubny mają być przechowywane we właściwy sposób, a nie beztrosko niszczone. Nic się na to nie odezwał. Wyjął szarą kopertę formatu A4, włożył tam pieniądze, zegarki, pierścionki i obrączki. Wszędzie pisze: „z żółtego metalu". Mówię, że to są przedmioty ze złota. Odpowiada, że złotników nie zatrudniają; nikt tu niczego nie zamienia ani nie kradnie, więc pisze się zawsze „z żółtego metalu"*.

Po zdaniu depozytu zostaję wprowadzony do kancelarii kierownika działu śledczego. Jest nim kapitan Sitko. Obok niego zasiada jeszcze trzech oficerów. Jestem bez obiadu. Zaczynają śledztwo non stop. Bo na gorąco, od nieprzygotowanego więźnia więcej można wyciągnąć. To dobra metoda. Pytają o wszystko: o działalność w Rzeszowie po wyzwoleniu, od okupacji niemieckiej, o akcję „Burza", o dowódców, o podległych mi ludzi, o broń, gdzie, co. Pytają o wywóz do Rosji, o ucieczkę. Zorientowałem się, że wiedzą dużo, ale jeszcze więcej nie wiedzą. Przechodzą do działań w Złocieńcu. Od nich dowiaduję się, że w miasteczku aresztowano ponad sześćdziesiąt osób. Z tego ma wynikać, że działała tam duża organizacja mająca na celu obalenie ustroju państwa. Wyprowadziłem ich z błędu – w Złocieńcu nie ma grubych ryb, są tylko drobne płotki oczekujące na szybką amnestię, by móc powrócić do normalnego życia. Jednak nie wierzą. Pokazują mi skonfiskowaną legitymację WiN z podpisem Mikołajczyka. Zarzucają kierowanie zajmującą się napadami rabunkowymi grupą ludzi, którzy na mnie się powołują. Zaprze-

* A jednak ukradł. Po czterech miesiącach odbieram depozyt, bo przenoszą nas, trzynaście osób, do więzienia przy ulicy Kaszubskiej. Sprawdzamy i liczymy, pozycja po pozycji. On klęczy na podłodze, ja stoję dwa kroki obok. Nie zgadzają się papierosy – brakuje czterech paczek. Rozcina kopertę i wykłada jej zawartość. Nie widzę złotej obrączki męskiej. Nie zbliżam się. On szuka nerwowo, nawet w kieszeniach garnituru. Nie ma. Nie podpisuję odbioru depozytu. Idziemy do kierownika działu gospodarczego. Jest nim kapitan. Dziwi się, ale on to już rozumie. Proponuje wpis w protokole, mówi, że obrączka się znajdzie. Została odkupiona przez dział śledczy. Odebrała ją teściowa – pojechała w tej sprawie specjalnie z Przemyśla do Szczecina; koszty tej podróży zwrócono jej.

czam – nie brałem udziału w żadnym rabunku i o niczym takim nie wiem. Żądam konfrontacji z tymi ludźmi. Jest już późna noc. Nagle na ulicy wywiązuje się ostra strzelanina; słychać i automaty, i pistolety. Oficerowie w pośpiechu chwytają za broń i wybiegają, dając wartownikowi z korytarza rozkaz, by mnie pilnował. Ten wpada do pokoju. Ja siedzę na krześle, jak dotąd. Ryknął:

– Powstań i padnij! – Zdejmuje karabin z ramienia i odbezpiecza.

Spokojnie mówię:

– Ja tu siedzę od południa obok trzech oficerów i nikt mnie tak po chamsku nie potraktował.

Rzucił się do mnie.

– Nie pyskuj! Mówię: padnij twarzą do podłogi.

Zrobiłem to, bo przecież mógłby mnie zastrzelić, twierdząc, że rzuciłem się na niego.

– Ręce w bok. – Stanął nade mną i lufę skierował w moją stronę.

Strzelanina na ulicy nagle ustała. Po krótkiej chwili oficerowie wrócili i zobaczyli nas. To, co usłyszał tamten żołnierz od kapitana Sitko, zupełnie mnie usatysfakcjonowało. Kapitan przeprosił mnie, tłumacząc, że to prosty chłopak i pierwszy raz ma karabin w ręku. W to uwierzyłem. Nie uwierzyłem natomiast, że to nie strzały było słychać, a rurę wydechową z samochodu. Co istotnie – w tych czasach takie incydenty nie były niczym nadzwyczajnym.

Wypuszczono mnie nad ranem i zamknięto w pojedynczej celi numer sześć. Cały parter budynku to cele pojedyncze, długie na trzy i pół kroku, a szerokie na półtora. Rura ogrzewcza pionowa w kącie, do spania zwodzona deska szerokości pięćdziesięciu centymetrów, spuszczana na dzień. W kącie pod oknem taboret, na nim miska, obok kubeł na odchody. Nic do siedzenia. Cały dzień na nogach. Oddział dla groźnych przestępców. Nie wolno pisać i odbierać listów, nie otrzymuje się paczek, gazet, nie wolno wychodzić na spacer. Nie można wyglądać przez okno, bo jest pod sufitem i małe – pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów.

Jak się już w pierwszym dniu zorientowałem po różnych odgłosach, obok siedział naczelnik stacji PKP ze Złocieńca, a kilka cel dalej Krysia, która produkowała nam ulotki. Dowiedziałem się też, że oddział kobiecy z celami zbiorowymi mieścił się na drugim piętrze (głos Stachy rozpoznałem parę dni później, gdy prowadzono ją na przesłuchanie na pierwsze piętro; celowo mówiła głośno).

Więźniów pilnują strażnicy – dwu mężczyzn robiących dobre i przyjazne wrażenie. Jeden z nich to dziadek Hajduk – cywil, ale gorliwy wykonawca

obowiązków, uczestnik wojny hiszpańskiej; drugi to porucznik Sroka, zawsze ubrany w galowy mundur wojskowy z epoletami i medalami zdobytymi też w wojnie hiszpańskiej. Ich służba trwa dwadzieścia cztery godziny, potem mają czterdzieści osiem godzin wolnego; każdą służbę odbywają na innym oddziale. I tak w kółko – od parteru do drugiego piętra.

Kapo? Gdzie go nie ma?

Co dzień przesłuchania przed południem i po obiedzie, czasem w nocy. Niekiedy w nocnej ciszy słychać wołanie o pomoc, bo biją, mordują i tym podobne. Nie wydaje mi się to prawdziwe. Jak dotychczas nikt mi nawet nie ubliżył, nie mówiąc już o uderzeniu czy innych środkach przymusu.

Dzień przed Wigilią wepchnięto mi do celi starszego już mężczyznę obwinionego o kradzież pięciuset kilogramów pieprzu z wędzarni ryb nad morzem. Cały czas łkał i udowadniał, że pieprz ten zabrany został przez UB. Wierzyłem mu od pierwszego słowa. Przepłakał Wigilię i Boże Narodzenie, bo zostawił swą rodzinę samą. Po świętach zabrano go. Gdzie – nie wiem. Miałem wtedy parę dni spokoju. Mogłem pomyśleć o sytuacji w Przemyślu, gdzie po nadejściu mojego telegramu o wyjeździe 18 grudnia przez parę następnych dni nikt nie przyjeżdżał. Niepokój wzrastał. Teściowa, obrotna kobieta, dowiaduje się na stacji w Przemyślu, czy nie było jakiegoś wypadku na kolei. Odpowiedź brzmiała: nie. Święta już za dwa dni – pary młodej nie ma. Podejrzewają aresztowanie, bo wiedzieli o mojej działalności w AK i późniejszych zatrzymaniach. Nie wyobrażam sobie do dziś, co tam się działo, gdy na święta nie zjawiliśmy się w ogóle. Po świętach teściowa udała się do Złocieńca. Po tym, co usłyszała i zobaczyła, wszystko było dla niej jasne. Mieszkanie nasze, pieczołowicie przygotowane i wyposażone, zostało obrabowane ze wszystkiego i zniszczone przez różnego rodzaju szabrowników tak, że nie nadawało się do zamieszkania. Sprawa Złocieńca została raz na zawsze zamknięta.

Nadchodzi ostatni dzień roku 1946. Sylwester! O północy słychać odgłosy strzałów na powitanie roku 1947. Po chwili w celi zapala się światło, otwierają się drzwi i oddziałowy Hajduk wpycha do środka jakiegoś mężczyznę. Jest on ubrany w kożuszek, bryczesy, but z cholewą. Przeprasza, że mnie zbudzono, ale to nie jego wina.

– Przedstawię się jutro – mówi. – Teraz się położę na podłodze, a potem to może dadzą mi jakiś materac i koc.

Położył się tak, jak stał. Myślę: „Coś się tu teraz musi stać. Albo to kapo, albo ktoś jeszcze gorszy". Nie zasnąłem do rana; drzemałem tylko na swoim wiechciu trocin.

Rano wstaliśmy. On się przedstawia:

– Nazywam się Czesław Jechna. Jestem oficerem łącznikowym majora Łupaszki, który jeszcze działa w lasach tucholskich. Aresztowano mnie na zabawie sylwestrowej. Załatwiałem właśnie wyżywienie dla partyzantów.

Słyszałem już przedtem o tej grupie Łupaszki, że podobno dysponuje nawet działem artyleryjskim i dalej jeszcze działa, więc… A może?

– A pan co? AK chyba?

– Tak – potwierdziłem – ale nie tylko.

Byłem bardzo ostrożny. Uważałem, by nie powiedzieć o czymś, o czym nie mówiłem w śledztwie. Rozmowa rozwijała się. On specjalnie nie indagował, ja też nie. Mijały dnie, a jego nigdzie nie przenoszono i spał dalej na podłodze. Na przesłuchania chodził przed południem i wracał po przyniesionym już obiedzie. Jego porcję zupy stawiałem więc na podłodze. Jak się zjawiał, mówiłem:

– Panie Cześku, jedz pan swoją zupę.

Często dziwnie na to reagował. Pytał, co to za zupa, a czy jeszcze ciepła i tym podobne. Nierzadko odmawiał i nie jadł. Myślę sobie: „Taki chłop wysoki, zdrowy potrzebuje odżywić swój organizm bardziej niż ja, a rezygnuje z jedynego posiłku, który zaspokajałby głód? I to dlatego, że albo już ostygł, albo jest niesmaczny? Na pewno jako kapo jadłeś lepszy obiad z kuchni dla personelu". To była moja hipoteza. Poza tym niewiele wiedział o życiu oddziału leśnego. Nie znał na przykład wcale automatu sten, popularnej przecież broni partyzanckiej ze zrzutów, był natomiast dobrze obeznany z tak zwaną tetetką. Mówił, że jest kawalerem. Podejrzenia moje rosły. Ciągnęło się to cały styczeń i część lutego.

Dopiero w ostatnim dniu karnawału wyszło szydło z worka. Służbę oddziałowego pełnił wtedy wspomniany porucznik Sroka. Po śniadaniu otwiera drzwi, my stoimy obaj na baczność, bo taki jest regulamin. Sroka obserwuje nas uważnie i pyta, wskazując na mojego towarzysza:

– Jak wy się nazywacie?

– Jechna, panie poruczniku.

– A wy? – Pokazuje na mnie.

Podaję nazwisko. Zamknął drzwi. Patrzymy na siebie. Co on od nas chce? Po paru minutach sytuacja powtarza się. Te same pytania – te same odpowiedzi. I znowu nas obserwuje. I znowu cisza dłuższą chwilę. Przed obiadem po raz kolejny otwiera drzwi i mówi:

– Jachna, po paczkę.

Ten pyta:

– A gdzie, na dół czy na górę?

– Na dół.

Sprawa się rypła. Po pierwsze: więźniom nie wolno było otrzymywać paczek. Po drugie: „dół" oznaczał wartownię, która wydawała paczki bez kontroli; „góra" to wydział śledczy, gdzie wydawano paczki rewidowane. Wreszcie: skąd Jechna wiedział, że taki jest system wydawania?

Sprawa sypie się dalej w tym samym dniu. Jest to dzień mycia podłóg (oddziałowy otwierał drzwi, stawiał wiadro z wodą i szmatą, a więzień zmywał ten swój kawałeczek podłogi). Sroka otwiera celę i stawia wiadro. Sam stoi w drzwiach i grzebie coś w portfelu. Pyta:

– Szczepan, wy macie tu swoją narzeczoną?

– Mam – odpowiadam.

– A w którym pokoju ona siedzi?

– To pan mnie o to pyta?

Uśmiechnął się. Dalej dłubie w portfelu, wreszcie mówi:

– Szczepan, napisała do pana narzeczona i prosiła mnie, abym wam ten list doręczył. Wiecie, jak ja się narażam? Przecież tego robić nie wolno. Mogą mnie za to wyrzucić z pracy i zdegradować. Ale ja wiem, że wy jesteście porządny człowiek, więc proszę was: nikomu ani słowa. Nie chwalcie się tym przed swoim kolegą więźniem. Prosiła też narzeczona, byście odpisali na ten list, więc po capstrzyku, wieczorem, wyrzućcie semafor. Ja was wypuszczę i dam kawał papieru do pisania. A ten list zaraz zniszczcie.

Struchlałem. Przecież oboje mieliśmy jeszcze kilka spraw do ukrycia i ja o nich nie pisnąłem słowa. Jeżeli ona o tym pisze, to wpadnę głębiej, bo jestem pewny, że ten list już zna oficer śledczy. A Sroka to przecież superkapo; i jeszcze mnie prosi o odpowiedź, by i z niej zrobić fotokopię w urzędzie śledczym. Po co ona pisze i daje się na to nabrać?! Ale drzwi już się zamknęły.

Szybko rozłożyłem ten list i czytam. Cała strona to same słowa zdziwienia – za co właściwie ja siedzę? – i nic o tym, czego się obawiałem. Ucałowałem list, ale go nie zniszczyłem, lecz schowałem do buta. Doszedłem do wniosku, że superkapo Sroka i mój współwięzień Jechna są jak dwa konie przy jednym pługu. Nie było już czasu na dalsze rozmyślania, bo akurat wrócił Jechna z otrzymaną paczką. Wesoły, różowy, z papierosem w ustach. Krzyknął:

– Panie Staszku! Palimy, częstujemy się. Proszę, proszę, poczęstuj się. – Podsuwa mi pod brodę pudełko z pączkami. Wziąłem jeden i gryzę; nagle czuję w zębach gryps. Wyjmuję go z ust i mówię:

– Panie Cześku, za pączka dziękuję, ale nadzienie to tylko dla pana. Żona do pana pisze.

Popatrzył na mnie zdziwiony, ale nie odezwał się.

– Niech się pan nie dziwi – mówię. – My obaj mamy dziś szczęśliwy dzień, bo ja też otrzymałem list.

– Pan? List? Od kogo? – zapytał zdumiony.

– Od narzeczonej. Przyniósł go przed chwilą porucznik Sroka. – Wyjąłem list z buta i pokazałem, bo on myślał, że to drwina. Dalszy ciąg naszej rozmowy długo by opisywać. Potwierdził, że był żonaty; poza tym ma małą córeczkę. Funkcja oficera majora Łupaszki to był wymysł – w rzeczywistości pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa w Koszalinie. Aresztowany nie był za współpracę z partyzantami, a z całkiem innego powodu. Pochodził mianowicie z wioski koło Białegostoku, w której nazwisko Jechna było popularne. Jeden działacz antykomunistyczny stamtąd nazywający się tak, jak on, rozstrzelał w 1944 roku dwu członków komisji parcelacyjnej nadającej grunta rolnikom i uciekł podobno na zachód kraju. Zbieżność nazwisk spowodowała, że aresztowano Jechnę w Koszalinie. Przed kilkoma dniami tamtego właściwego ujęto, a on ma być w najbliższym czasie wolny. Przyznał się, że proponowano mu opiekę nade mną jako kapo. Zgodził się, bo był oficerem UB i miał nacisk służbowy. Po tygodniu zwolniono go z tego obowiązku, bo informacje od niego śledczy znali już wcześniej i to z pierwszej ręki, ode mnie. Przepraszał mnie bardzo i przyrzekł, że zrobi dla mnie wszystko, co będzie mógł, by załatwić mi na wolności jakieś sprawy, ale podziękowałem.

Różne rzeczy można było załatwiać z niektórymi strażnikami; na przykład wielokrotne przekazywanie tej samej koszuli z zaszytym w ramiączku grypsem. Cywilny strażnik, wiedząc, co w niej jest, przenosił ją ostrożnie. W czasie służby na naszym oddziale robił to nawet dwa lub trzy razy. Korespondowaliśmy z Krysią, bo ona miała prawo jako kobieta do posiadania igły i nitki. Przekazywałem koszulę, która rzekomo się podarła. Otrzymywałem ją zacerowaną, z wszytym w ramiączku listem i kawałkiem papieru. Ta sama koszula na drugi lub trzeci dzień wędrowała znowu do Krysi, bo znów „się podarła", i znów wracała do mnie z listem.

Tak upływał czas aż do kwietnia. W którymś dniu tego miesiąca kazano nam się przygotować do przeprowadzki do więzienia karnego przy ulicy Kaszubskiej. Śledztwo zostało bowiem zakończone. Do odpowiedzialności karnej zdecydowano się pociągnąć trzynaście osób, przeciwko którym wydział śledczy sporządził indywidualne akty oskarżenia. Odbieramy złożone w magazynach więziennych depozyty. Po południu opuszczamy wojskowy wydział śledczy.

Więzienie karne w Szczecinie przy ulicy Kaszubskiej

Tutaj siedzą już sami przestępcy, zarówno ci, którzy oczekują dopiero na rozprawę, jak i ci, którzy wyrok mają wydany i mogą już odliczać lata, miesiące czy dnie odosobnienia od wolnego świata. Są nawet i tacy, którzy otrzymali wyrok śmierci, a złożyli prośbę do prezydenta Polski Ludowej o ułaskawienie. Zgodnie z ustawą prezydent musiał wydać decyzję w takiej sprawie w terminie do dziewięćdziesięciu dziewięciu dni. Ci skazańcy czekali więc na nią – czasem do końca tych dni. Wyroki wykonywano zawsze rano, przed pobudką. Szubienica mieściła się na strychu więziennym; tracono tam głównie przestępców niemieckich. Tracenie przez rozstrzeliwanie odbywało się w piwnicy; strzelano do skazanych przez małe okienko z pomieszczenia przyległego.

Cel pojedynczych tam nie było. W naszej ulokowano sześć osób – czterech czekających na wyrok i dwu już z wyrokami. Podobno umieszczanie razem więźniów z wyrokami i tych oczekujących na nie ułatwiało zdobywanie materiału do dalszych oskarżeń przez kapo nieujawnionych dotąd.

Więźniów z niskimi wyrokami zatrudniano w różnych działach roboczych, jak pralnie, suszarnie, zakłady naprawcze – szwalnicze, szewskie i tym podobne. Nie wolno było otrzymywać prasy i książek. Listy przekazywano raz w miesiącu – ocenzurowane. Reżim jak w każdym innym więzieniu.

Był już rok 1947. W pierwszych miesiącach tego roku odbyły się wybory do sejmu. Premierem został Józef Cyrankiewicz, więzień Oświęcimia. Oczekiwaliśmy na ustawę amnestyjną, która zawsze przynosiła złagodzenie wyroków, głównie za przestępstwa polityczne. Ze względu na brak dostępu do prasy nasze rozeznanie w tych sprawach było znikome. Żywiliśmy jedynie nadzieję. Pod koniec maja otrzymujemy formalną wiadomość, że został już ustalony termin naszej rozprawy sądowej – 8–12 lipca 1947 roku. Wobec tego zażądano od nas decyzji, czy obrońców sądowych płatnych załatwiamy sami, czy sąd ma przyznać nam obrońców z urzędu. Obaj z Kryndą zdecydowaliśmy się na obrońców z wyboru, gdyż jako główni oskarżeni mieliśmy najpoważniejsze zarzuty. Kryndę bronić miał adwokat Bem, mnie adwokat Ritermanowa, resztę oskarżonych – adwokat Nawrot i adwokat Łyczywek. Jako oskarżyciel został wyznaczony prokurator kapitan Kordybach, Żyd.

Moje spotkanie z obrońcą miało miejsce na początku czerwca. Adwokat Ritermanowa znała już akt oskarżenia. Mnie chodziło głównie o dwa zarzuty, które brzmiały: „Gwałtowny, zbrojny atak na oddział Ludowego Wojska Pol-

skiego”* oraz „Dokonanie dwu akcji rabunkowych z bronią w ręku i dokonanie zaboru mienia dla własnych korzyści”**.

Napięcie z każdym dniem wzrastało. Liczebność grupy oskarżonych – trzynaście osób – czterodniowy termin rozprawy i tło polityczne robiły wrażenie, przede wszystkim na osobach niewtajemniczonych tak w charakter przestępstwa, jak i w zakres ustawy amnestyjnej. Sprawa została rozdmuchana ponad miarę i budziła duże zainteresowanie wśród obsługi wartowniczej w więzieniu, tym bardziej że okręgowy sąd wojskowy mieścił się w budynku oddalonym o nieco ponad kilometr.

Z wielkiej chmury mały deszcz. Tak było i tym razem. Przecież aresztowano w Złocieńcu ponad sześćdziesiąt osób, z których do postawienia jakiego-

* Już po rozwiązaniu AK wracałem przez Czudec z oddziałem dziesięciu–dwunastu osób po przenoszeniu do ukrycia nieoddanej broni. Słyszałem pijackie głośne śpiewy w środku nocy. Skierowałem się w stronę, skąd dochodziły, i widzę, że to nasze wojsko ludowe pod dowództwem Rosjanina. Wszyscy byli pijani. Zatrzymałem ich, tłumacząc, że w nocy ludzie chcą spać. Zapytałem, skąd mieli pieniądze na wódkę. Wystąpił wtedy Rosjanin i zaczął coś bełkotać. Jeden z naszych chłopców uderzył go w twarz, tamten upadł, ale nagle zerwał się i w ciemną noc uciekł. Nasi żołnierze zdezorientowani, bo widzą, że mamy biało-czerwone opaski na rękach. Kazałem im wymontować zamki z karabinów i zejść nam z drogi. W strachu uciekli i schronili się na posterunku milicji obok. Po namyśle otoczyłem posterunek, lecz nie mogłem tam wejść, gdyż był on ogrodzony siatką z drutu. Wołałem więc do nich, by zeszli na dół po swoje zamki, ale bali się. Te pięć zamków wsunąłem wtedy pod siatkę i poszedłem w swoją stronę. Formalnie zamach jednak został dokonany. Obawiałem się za to wyroku śmierci, gdyż w Kodeksie karnym Wojska Polskiego sama dezercja była karana w ten sposób, a cóż dopiero napad na legalną armię i to przez nielegalną już „bandę”.

** W czasie okupacji niemieckiej dowódca placówki dał rozkaz do zlikwidowania sklepu „bezugszeftowego”, niemieckiego, i zabrania stamtąd butów oraz materiałów włókienniczych, z których kobiety z AK posiadające maszyny miały nam uszyć kombinezony i inne części garderoby, jak bielizna, bo w trakcie akcji „Burza” byliśmy we własnych ubraniach przez dłuższy czas. Materiały rozdzielono między panie. I nagle AK rozwiązało się. Materiały miały więc zostać ponownie rozdzielone między tych, którzy brali udział w akcji „Burza”. Mąż jednej z tych kobiet, komunista, nie pozwolił na to, bo AK już nie istniała. Wysłałem więc czterech chłopców, by wzięli część tych materiałów siłą, za zgodą jego żony. W śledztwie nie mogłem jednak tak wyjaśnić sprawy, gdyż pani Grabska była gorącą aktywistką w AK. Ujawnienie tego faktu prawdopodobnie spowodowałoby aresztowanie tej kobiety. Poza tym mogłoby to doprowadzić do poważnych nieporozumień małżeńskich, gdyż mąż cały okres okupacji niemieckiej przebywał w Związku Radzieckim. Dlatego akcja ta, chociaż uzgodniona z panią Grabską, miała formalnie charakter napadu rabunkowego. W drugim przypadku sprawa była identyczna. W żadnej z tych akcji osobiście udziału nie brałem, a tylko wyznaczałem ludzi i wydawałem broń. Według oceny mego obrońcy sprawa podlegała ustawie amnestyjnej i należało zeznania pozostawić bez zmiany, aby nie narażać pani Grabskiej na aresztowanie za współpracę z nielegalną już AK.

kolwiek zarzutu politycznego władze śledcze zakwalifikowały tylko trzynaście, resztę uwolniły po dwu, trzech tygodniach. Z tych trzynastu osób tylko trzem – Kryndzie, Bieleckiemu i mnie – zarzucono poważną działalność antypaństwową; cztery osoby zostały oskarżone o drobniejsze przestępstwa ulotkowe, a sześć – tylko o uczestnictwo w tajnych zebraniach.

Początek tej działalności przeciwko Polsce Ludowej miał miejsce jeszcze na terenie placówki „Czeremcha" w Czudcu, w okręgu Rzeszów. Poszukiwani działacze nielegalnej już Armii Krajowej z tamtego terenu emigrowali na Ziemie Zachodnie, głównie na Pomorze, by doczekać tam wyborów, kończących się amnestią – dla więźniów politycznych przede wszystkim. Więzienia w Szczecinie, Wronkach, Rawiczu zapełnione były ponad miarę, pomimo wywiezienia wielu tysięcy zatrzymanych do Rosji.

Tak traktowani byli żołnierzy AK przez nowe wyzwoleńcze polsko-sowieckie władze od roku 1944 przez wiele lat następnych. Ileż odbyło się sfingowanych procesów politycznych, kończących się często wyrokami śmierci, ferowanymi przez sędziów-zdrajców narodowych. Ścigamy jeszcze do dziś za te zbrodnie – niestety o wiele za późno i nie wszystkich.

Rozprawa w Okręgowym Sądzie Wojskowym w Szczecinie

Jest dzień 8 lipca 1947 roku. Po śniadaniu wyprowadza się nas – trzynaście osób, kobiet i mężczyzn – na dziedziniec więzienny. Otacza nas szpaler funkcjonariuszy służby więziennej. Wychodzimy dwójkami na ulicę. Po jednej i drugiej jej stronie zatrzymują się przechodnie. Patrzą na ten orszak. Nie wolno rozmawiać z nami ani podawać nam żadnych darów, papierosów, czekolad, cukierków, nic. Kiwają do nas przyjaźnie.

Wchodzimy do sali rozpraw. Jest tam już prokurator kapitan Kordybach, są nasi obrońcy – czterech adwokatów. Wpuszczane są osoby z przepustką. Widzimy członków naszych rodzin i znajomych. Sala powoli zapełnia się. Siedzimy w dwu ławach dla oskarżonych, otoczeni żołnierzami ochrony.

Wchodzi sąd, czterech oficerów polskiego wojska: kapitan Wróblewski – przewodniczący OSRW, porucznik Tomich – sędzia, porucznik Sokołowski – sędzia-ławnik oraz porucznik Niemiesz – protokolant. Nie ma sprzeciwu co do składu osobowego sądu ani osoby oskarżyciela i osób obrony. Sędzia sprawdza i odczytuje nazwiska oskarżonych: Mieczysław Krynda (działanie w AK w placówce „Czeremcha" przeciwko Niemcom; oskarżenie: artykuł 86 KKWP, dekret o ochronie państwa, artykuł 27 KKWP, artykuł 225 KKWP), Szczepan Stanisław (podoficer CSP KOP, działał od 1940 do 1944 roku w placówce „Czeremcha", obwód Rzeszów; oskarżenie: artykuł 86 KKWP, artykuł

191 KK, artykuł 27 KKWP do 225 KK, artykuł 27 KKWP do artykułu 9 dekretu o ochronie państwa z artykułem 4, punkt 1, artykuł 3, dekret o ochronie państwa), Moskwa Władysław (członek AK w placówce „Czeremcha"; oskarżenie: artykuł 37 z artykułem 86 KKWP), Lota Krystyna (oskarżenie: artykuł 88, paragraf 2 KKWP, artykuł 19 dekretu o ochronie państwa), Grabski Kazimierz (oskarżenie: artykuł 115 z artykułem 88 i 86 KKWP), Krynda Wanda (oskarżenie: artykuł 86 KKWP), Szmidt Kazimierz (oskarżenie: artykuł 87 i 88 KKWP), Szmidt Bronisław (oskarżenie: artykuł 86 i 88 KKWP), Bielecki Władysław (oskarżenie: artykuł 86 KKWP), Kolczyński Józef (oskarżenie: artykuł 88 KKWP), Kobierecki Józef (oskarżenie: artykuł 88 KKWP), Trojanowski Leon (oskarżenie: artykuł 88 KKWP), Gromada Stanisława (oskarżenie: artykuł 86 i artykuł 191 KKWP).

Wyczytaniem tych informacji rozpoczął się proces trwający parę godzin. Następna jego część to przesłuchania więźniów kolejno, według aktów oskarżenia.

Zeznaje Krynda. Jest oskarżony o przewodzenie organizacji, jako osoba mająca najlepsze wykształcenie ze wszystkich oskarżonych (trzy lata studiów na Politechnice Lwowskiej). Ta funkcja wiąże się z największą odpowiedzialnością za działalność całej grupy przestępczej. Nie wypiera się tego, ale tłumaczy, że działał w AK w czasie okupacji niemieckiej jako polski patriota, który uchronił życie całej swojej rodziny przed rzezią ukraińską w 1939 roku. Nigdy nie walczył bronią, bo w wojsku nie służył, ale słowem, w wywiadzie Armii Krajowej. Posądzanie go o utworzenie rzekomej organizacji mającej na celu obalenie Polski Ludowej to przesada. Jako pracownik terenowy stykał się z różnymi ludźmi, głównie repatriantami z ziem wschodnich. Słuchając opowieści o ich ciężkich przeżyciach i nienawiści do nowego ustroju, solidaryzował się z nimi, co następnie zrodziło myśl o ulotkach. Nie była to akcja o szerokim zasięgu – obejmowała tylko miasto Złocieniec. O żadnym bezpośrednim jej związku z WiN-em Stanisława Mikołajczyka nie było nawet mowy. Posiadane legitymacje z jego podpisem nie były autentyczne. Skonfiskowaną mu legitymację WiN otrzymał od Szybkowskiego przypadkowo. O żaden kontakt z tą organizacją nie prosił i uważa to za prowokację.

Niedługo to trwało, gdyż sam akt oskarżenia przeciwko Kryndzie był krótki. Kolej na mnie. Akt oskarżenia sześciopunktowy, dość długi. Zarzuca mi się: posiadanie broni różnego rodzaju do akcji terrorystycznych; używanie kilkakrotnie zmienianych nazwisk; zbrojny napad na jednostkę Ludowego Wojska Polskiego; wydawanie dyspozycji członkom swego oddziału odnośnie napadu rabunkowego; wydawanie broni członkom oddziału; wykorzy-

stanie do produkcji ulotek maszyny i powielacza zabranych z miejsca pracy; udostępnienie mieszkania członkom grupy konspiracyjnej organizującym naradę; udział w akcji „Burza". O mojej działalności w AK podczas okupacji niemieckiej nie było mowy, bo przecież była to praca przeciwko Niemcom, ale od tego postanowiłem zacząć zeznania, a nawet cofnąć się jeszcze, by opowiedzieć nieco o żołnierskim życiu.

Mówię więc, że urodziłem się w niewoli i mimo że było to zabór austriacki, w dzieciństwie często powtarzałem nasze polskie patriotyczne pieśni o kibitkach, o zesłaniach Polaków na Sybir i ciężkim ich życiu w rosyjskiej niewoli. Kochałem swoją ojczyznę i nasze wojsko po wyzwoleniu kraju w 1918 roku. Pragnąłem służyć w polskiej armii, tak jak mój ojciec i dwaj starsi bracia. Dlatego w roku 1938 rozpocząłem służbę w 17 Pułku Piechoty w Rzeszowie, następnie ukończyłem szkołę podoficerską KOP w Suwałkach. Po tej szkole zostałem skierowany do Centralnej Szkoły Podoficerskiej w Osowcu-Twierdzy. Tam zacząłem pracować w biurze dowództwa i już w maju 1939 roku byłem awansowany do stopnia kaprala. Złożyłem podanie o przyjęcie mnie do służby zawodowej i po pozytywnym zaopiniowaniu go przez przełożonych zostałem przyjęty od marca 1939 roku.

W 1939 roku brałem udział w wojnie obronnej, po czym w październiku wróciłem do domu. Już w maju 1940 roku zostałem członkiem ZWZ, a następnie w roku 1942 AK, jako dowódca drużyny w placówce „Czeremcha" w Czudcu. Działałem bardzo intensywnie przez cały okres okupacji niemieckiej, uzupełniając przy tym wykształcenie w tajnym nauczaniu, by mieć jak największy dorobek w służbie wojskowej, do której chciałem powrócić jako żołnierz zawodowy. W okresie okupacji, już jako dowódca oddziału dywersyjnego, miałem wiele udanych akcji, jak: zdobycie trzech tysięcy dwustu sztuk amunicji do karabinów z transportu na front wschodni; rozbrojenie policji granatowej w Czudcu; ujęcie żywcem sławnego szpicla niemieckiego, który wydał władzom Gestapo dwie grupy członków AK, w Jarosławiu i Przeworsku; niedopuszczenie do wywozu przez Niemców około dwustu sztuk bydła zarodowego do Niemiec; niedopuszczenie do zaminowania dwu mostów na Wisłoku; uratowanie od egzekucji, która miała być odwetem za uszkodzenie amfibii, kilkunastu osób, przy czym trzej oficerowie amfibii byli następnie ścigani i zginęli. Dwie ostatnie akcje zostały przeprowadzone w czasie „Burzy" w roku 1944; o wielu mniejszych nie wspominam.

Przechodząc do zarzutu posiadania broni już po rozwiązaniu AK, wyjaśniam, że mój oddział wchodził w skład placówki, a cała broń, jaką ona dysponowała, została oddana władzom wojskowym Polski Ludowej przez

dowódcę; ujawniono wtedy również nazwiska jej członków. Nikomu z mego oddziału broni nie zostawiłem. Ówczesna sytuacja była jednak taka, że broń mógł zdobyć każdy, i należący, i nienależący do legalnej organizacji, jaką była Armia Krajowa. Można ją było uzyskać w różny sposób. Posiadały przecież broń i bandy rabunkowe grasujące w czasie okupacji, podszywające się często pod oddziały AK.

Co do używania podrobionego nazwiska: po ujawnieniu się członków AK władze PRL wiedziały już, którzy z nich, działający dotąd konspiracyjnie, byli przywódcami jakiejś grupy żołnierzy. Właśnie takich ludzi chciano w pierwszym rzędzie pozamykać, a szczególnie tych, którzy jawnie i odważnie wyszli do akcji „Burza". Otrzymywali oni dokumenty na fałszywe nazwiska i byli lokowani w bezpiecznych miejscach z obawy przed aresztowaniem, które zwykle kończyło się wywozem do obozów więziennych w Rosji. W sierpniu 1944 roku zostałem zatrzymany pierwszy raz, lecz udało mi się uciec w czasie transportu do więzienia. Dostałem dokumenty na drugie nazwisko i ukrywałem się. Przypadkowo zatrzymało mnie UB w Rzeszowie. Potrafiłem zbałamucić oficerów, powołując się na pokrewieństwo z prezydentem miasta Rzeszowa. Oddali mi dokumenty i puścili, ale za minutę zaczęli gonić. Zdołałem ich zgubić; udało się więc po raz drugi. Trzecie aresztowanie miało miejsce we wrześniu 1944 roku. Zatrzymały mnie władze radzieckie. Przechodziłem ciężkie śledztwo – z bolesnymi środkami przymusu i zaimprowizowanym wykonaniem wyroku śmierci. Nie dało to skutku. Po zakończeniu śledztwa oddano mnie do dyspozycji władz polskich. Te przewiozły mnie do obozu w Bakończycach pod Przemyślem, gdzie przez trzy tygodnie gromadzono takich przestępców z AK, jak ja. W listopadzie 1944 roku załadowano nas, około tysiąca pięciuset osób, do pociągu i wieziono do Rosji przez Medykę i Lwów. Przed Lwowem udało mi się staranować drzwi wagonu i uciekłem w okolicach Gródka Jagiellońskiego, siedemdziesiąt kilometrów za granicą Związku Radzieckiego. W wagonie tym było czterdziestu dwóch mężczyzn; część z nich uciekła również. Nie wszyscy jednak, gdyż ucieczka została zauważona przez konwój. Udało mi się po raz trzeci. Wróciłem do placówki i zostałem ukryty z dala od domu. Nie było już miejsca dla mnie w okolicy. Skierowano mnie do Złocieńca, gdzie przebywali już znajomi z placówki. Zacząłem pracować w zarządzie miejskim pod innym nazwiskiem; prowadziłem sekretariat i wydział wojskowy. Chciałem doczekać tam momentu uchwalenia amnestii, po której mógłbym powrócić do normalnego życia.

Omówiłem następnie moją przestępczą działalność w Złocieńcu, w zasadzie przyznając się do postawionego zarzutu. Dłuższy czas zajęło mi wyja-

śnianie sprawy najpoważniejszej, to jest ataku zbrojnego na oddział Ludowego Wojska Polskiego. Mówię, że decyzję o zwróceniu zamków karabinowych podjąłem jako żołnierz dobrze wyszkolony w szkole podoficerskiej, wiedzący, jakie konsekwencje mógł wobec tamtych żołnierzy wyciągnąć ich dowódca za oddanie części broni bez oporu. Tu mój obrońca wnosi do przewodniczącego sądu prośbę o przyjęcie zeznania osoby znajdującej się właśnie na sali rozpraw, która była świadkiem tego zajścia*, oraz o odczytanie prośby wniesionej do sądu przez ludzi uratowanych przed rozstrzelaniem.

Na zakończenie omówiłem mój stosunek do ostatnich wydarzeń polityczno-wojskowych w kraju, twierdząc, że władza niweczy cały mój plan na życie jako żołnierz – miałem przecież tak obiecujące początki – i nadal nie potępiam narodowego buntu, w wyniku którego giną od kul sekretarze partii i liczni działacze tego panującego u nas radzieckiego ustroju. Nigdy jednak nie działałem z bronią w ręku przeciwko partii. Wręcz przeciwnie; potwierdzam, że wspólnie z oskarżonym Kryndą uratowaliśmy życie dwu członkom PPR, a to Andrzejowi Husowi i Królowi, nauczycielowi z Czudca, na których AK – może nieopatrznie – wydała wyroki śmierci w czasie przeprowadzania czystki partyjnej. Znałem przecież osobiście tych ludzi, gdyż wspólnie pracowaliśmy w komisji wystawiania kenkart w Urzędzie Gminy w Czudcu. Oni wiedzieli, że jestem żołnierzem przeciwnego obozu. Jak więc widać, z tych przełomowych, bardzo tragicznych i krwawych, wydarzeń wyszedłem z czystymi rękami, niesplamiony kroplą krwi. Za to jednak, że przez cały okres okupacji narażałem i siebie, i swoją rodzinę, walcząc o dwa mosty, po których dziś można jeździć, o zatrzymanie dwustu sztuk bydła w wygłodzonym kraju, o życie kilkunastu osób, które mogło się zaraz skończyć, uganiano się za mną jak za zbrodniarzem, bito do krwi, a wreszcie wysłano tam, skąd się już nie wracało, bo zjadały człowieka tyfus, szkorbut, głód i wszy.

Skończyłem moje zeznanie, podane tu w skrócie, które trwało pół dnia. Zbliżała się godzina zakończenia pierwszego dnia rozprawy. Sąd opuścił salę.

* W czasie przerwy w rozprawie zgłosił się do mnie jakiś nieznany mi mężczyzna i mówi, że widział w nocy przypadkowo to otoczenie komisariatu milicji i słyszał głos wzywający żołnierzy do odbioru zamków. Może to teraz zeznać. Udaliśmy się do mojej adwokatki i ta zwróciła się do sądu z prośbą o wysłuchanie zeznań tego człowieka. Prokurator wyraził sprzeciw, twierdząc, że świadek przecież nie widział nocą, czy to ja wołałem. Sąd po naradzie odrzucił sprzeciw prokuratora i świadek Kasjan, wylegitymowany, zeznanie złożył. Sąd odrzucił również sprzeciw wobec wniosku o odczytanie prośby osób uratowanych przed rozstrzelaniem ze względu na brak stwierdzonej wiarygodności tych osób. Uznał, że potwierdzenie tego faktu stanowi podpis sołtysa wsi i pismo zostało przyjęte do akt sądowych.

Ochrona otoczyła więźniów gęstym szpalerem, nie pozwalając na żadne spotkania z członkami rodzin i znajomymi osobami obecnymi na sali rozpraw. Wróciliśmy do więzienia.

Nie spałem tej nocy. Rozmyślałem o tym, co działo się w ciągu dnia. W sądzie ferującym wyroki byłem pierwszy raz; wcześniej przechodziłem tylko wydziały śledcze policyjno-prokuratorskie. Z uwagą więc śledziłem przebieg całego procesu, który przecież miał na celu ustalić konkretną winę – a ta odbiegała nieraz bardzo od zarzutu postawionego w akcie oskarżenia – i zakończyć się wyrokiem. Doszedłem do przekonania, że zespół sądzący, to jest przewodniczący, ławnicy i dodatkowi sędziowie zawodowi, może wyrobić sobie różny pogląd na sprawę – korzystny lub niekorzystny dla nas – a co za tym idzie zasądzić minimalną lub najwyższą karę przewidzianą w ramach kodeksu karnego. Pytania zadawane przez zespół sędziowski tak oskarżonemu, jak i świadkom, dopuszczanie do sprawy dowodów rzeczowych lub niedopuszczanie ich pomimo żądań prokuratora czy obrońcy mogą mieć duży wpływ na wyrok skrajnie wysoki lub skrajnie niski. Takie różne moje nocne rozmyślania wzbudziły we mnie pewne refleksje co do przewodniczącego sądu kapitana Wróblewskiego i jego stosunku do nas. Był to mężczyzna w wieku już ponad pięćdziesięciu lat i na pewno z prawniczym wykształceniem, skoro powierzono mu taką funkcję. Sam wiek wskazywał, że stopień, jaki posiadał, musiał uzyskać przed wojną w armii polskiej.

Z trzynastu osób zasiadających na ławie oskarżonych tylko ja jeden byłem wyszkolonym przed wojną żołnierzem, wprawdzie jedynie podoficerem, ale żołnierzem. Reszta były to osoby cywilne, które przypadkowo znalazły się w gronie przestępców politycznych. Miałem zarzut dywersji i dowodzenia oddziałem, posiadania broni nie tylko osobistej, ale i tej przeznaczonej dla podległego oddziału, miałem przypisane akcje zbrojne. Miałem najcięższe zarzuty w akcie oskarżenia. I wydaje mi się, że tenże kapitan przedwojennej armii polskiej poczuł do mnie jakąś sympatię. Tym bardziej, że przed wojną zostałem już przyjęty do służby zawodowej w wojsku, o czym w zeznaniu mówiłem. Druga sprawa potwierdzająca moją myśl: ani jednym słowem nie przerwał mi, kiedy opowiadałem o dzieciństwie, młodości, służbie wojskowej przed wojną, działalności konspiracyjnej podczas okupacji niemieckiej, udziale w akcji „Burza" i moich akcjach zbrojnych, a przecież nie musiał tego słuchać, bo nie byłem za to sądzony i w akcie oskarżenia nie znalazło się nic na ten temat. Moja wina wobec władz Polski Ludowej liczyła się od czynów dokonanych po rozwiązaniu Armii Krajowej. Sędzia wyznaczony do prowa-

dzenia rozprawy mógł kazać mi przejść od razu do faktów stwierdzonych w akcie sporządzonym przez wydział śledczy. Zafrapowało mnie to cierpliwe wysłuchanie mego zeznania. Sprawa następna: sąd oddalił wniosek prokuratora, kapitana Kordybacha, o nieprzyjęcie prośby osób uratowanych przeze mnie od rozstrzelania, a także wniosek o niedopuszczenie do przesłuchania świadka, o którym wspominałem w zeznaniu. I jedno, i drugie przyjął jako materiały odciążające mnie. Zrodziło to w mojej głowie przekonanie, że przewodniczący zespołu sędziowskiego jest dość przychylnie ustosunkowany do mojej osoby. A może była to ta sama kropla wojskowej krwi w naszych żyłach, rodząca przyjaźń między ludźmi w mundurach? Zobaczymy, co będzie dalej.

Drugi dzień rozprawy rozpoczął się od przesłuchania kolejnych osób. Właściwie tak trochę w sposób hurtowy, bo wszystkie one odpowiadały za udział w spisku przeciwko ludowemu państwu, dążenie do obalenia go poprzez szkalowanie, kwestionowanie wyniku referendum, niewyrażanie zgody na parlament jednoizbowy i tak dalej. Część z nich wykonywała ulotki, inni je kolportowali w różny sposób, jeszcze inni sabotowali rozmaite zarządzenia władz, wyrażali solidarność z naszymi poglądami, brali udział w organizowanej przez nas naradzie politycznej jako potencjalna przyszła kadra tworzącej się organizacji konspiracyjnej.

Prokurator zadał kilka pytań niektórym oskarżonym, pracownikom państwowym – Władysławowi Bieleckiemu, komendantowi MO w Złocieńcu, i braciom Schmidtom, funkcjonariuszom MO. Ostro potępił ich udział w grupie przestępczej, mówiąc, że ze względu na pełnione funkcje mają obowiązek ochrony kraju i porządku. Wszyscy zeznający oskarżeni jak mogli, tak umniejszali swoją winę, podając niezgodne z rzeczywistością dane. Pomoc ich obrońców z urzędu była prawie żadna, bo i oskarżenie było mdłe i nijakie. Dużo czasu zabierało protokołowanie zeznań każdego z nich, toteż wszystko trwało prawie cały dzień.

Pytań ze strony sądu było niewiele, a odpowiedzi nie wnosiły żadnych rewelacji do sprawy. Świadków nikt nie zgłaszał, gdyż zarzucana tym osobom działalność przestępcza była wykonywana w konspiracji, a ludność Złocieńca nie kwapiła się do oskarżeń, mając w owym czasie dość krytyczny stosunek do władz nowego ustroju. Rozprawę zakończono. I tak samo, jak w dniu poprzednim, szpalerem powędrowaliśmy do więzienia.

Wszyscy wiedzieliśmy już, że w lutym został wybrany nowy rząd i że uchwalona była ustawa amnestyjna. Nie znaliśmy jednak szczegółów co do kategorii przestępstw i stopnia darowania kar.

Trzeci dzień procesu. Mowy oskarżyciela prokuratora kapitana Kordybacha i obrońców

Oskarżyciel rozpoczyna od Mieczysława Kryndy. Wymienia kolejno artykuły i paragrafy Kodeksu karnego Wojska Polskiego, jakim podlega jego działalność jako głównego organizatora wszystkich podjętych akcji przestępczych. Napiętnuje jego bunt przeciw ustrojowi Polski Ludowej. Ta obdarza go wszak pełnym zaufaniem, powierzając mu pracę agronoma w powiecie, i daje środki potrzebne do dobrego jej wykonywania, a on dziękuje za to obłudną, wrogą grą, szkalując władze i kolportując nienawistne ulotki nawołujące do zmiany ustroju. Tak oto, w dużym skrócie, wyglądał ogólny kierunek oskarżenia. Prokurator żąda od sądu wysokiej kary, pomimo zastosowania ustawy amnestyjnej, gdyż nie widzi u oskarżonego chęci zmiany kierunku myślenia. Takich ludzi trzeba izolować od społeczeństwa.

Następny oskarżony – Stanisław Szczepan – to inny typ przestępcy. On lubi wojsko, on lubi broń i jak sam zeznaje, ma na swoim koncie związane z tym dokonania. Przechodzi różne szkolenia z wyróżnieniami w KOP – formacji zaliczanej przed wojną do wojsk elitarnych – i tam zostaje przyjęty do służby zawodowej. I mógłby służyć w dalszym ciągu w armii, ale wojsko ludowe już mu się nie podoba. Odniósł pewne sukcesy jako członek ZWZ i AK w walce z okupantem niemieckim; opisał w swoim zeznaniu te osiągnięcia, z których Polska Ludowa korzysta. Mógłby jako żołnierz podobne sukcesy odnosić i później, kiedy tacy jak on zasilali szeregi polskiego wojska i walczyli o zdobycie Berlina. On jednak tego nie chce, bo to nie to wojsko. I ukrywa się. Zmienia nazwiska, gdyż jest poszukiwany za ukrywanie broni, którą trzeba było oddać. Mało tego – napada na oddział Ludowego Wojska Polskiego i rozbraja go, pomimo że są to chłopcy tak samo polscy, jak on. Jest zatrzymany parę razy, ale ucieka. W zeznaniu przed sądem chełpi się, że jego ręce są czyste. Wysoki sądzie, ręce jego są też ubroczone we krwi. Bo gdy jest wieziony do miejsca, gdzie miano go osądzić, ucieka po raz trzeci. Ucieczka zostaje jednak w porę zauważona i ginie tam kilku takich jak on i to z jego winy, bo on im ułatwił zbiegnięcie. Ich krew jest na jego rękach. A on znów ucieka i udaje, że jest porządnym obywatelem, bo pracuje w zarządzie miejskim. I to jak gorliwie pracuje! Wynosi z biura papier, maszynę, powielacz i nocami umożliwia produkcję ulotek szkalujących władzę, która dała mu tę pracę. Mało tego – to właśnie w jego mieszkaniu zbiera się cała kierownicza kadra organizacji pod patronatem Mikołajczyka, zdrajcy narodu, i radzi, jak zmienić ustrój Polski. Ten człowiek zasługuje na najsroższy możliwy wyrok, ale ustawa o amnestii łagodzi kary za najpoważniejsze zbrodnie. Proszę wy-

soki sąd o bardzo przykładne ukaranie go, bo akt oskarżenia jest obszerny, a wina jeszcze większa.

Postanowiłem porozumieć się z moim obrońcą, bo doszedłem do wniosku, że kwestia mojej odpowiedzialności za życie osób uciekających po mnie z transportu na Sybir nie została przedstawiona w sposób właściwy; nie wiedziałem też, czy ze względu na ucieczkę mogłem otrzymać wyrok surowszy. W tej chwili nie było jednak na to czasu, bo oskarżyciel jeszcze nie skończył swojej mowy.

Sprawy wszystkich pozostałych więźniów prokurator, tak samo jak sędzia w czasie rozprawy, potraktował ogólnie, wiedząc już, że wobec ustawy amnestyjnej wyroków skazujących dla tych osób nie będzie, toteż jego oskarżenia traciły moc. Kilka zdań wypowiedział odnośnie Władysława Bieleckiego, który jako przedstawiciel władzy (był komendantem milicji) podlegał obostrzonym przepisom. Zażądał dla niego wyższej kary pomimo amnestii.

Nastąpiła krótka przerwa w rozprawie. Sąd udał się do pokoju sędziowskiego. Ja w tym czasie porozmawiałem z adwokat Ritermanową, która obiecała tę kwestię ucieczki i rzekomej krwi na moich rękach omówić w wypowiedzi obronnej po przerwie.

Zwykle obrońcy każą się nie denerwować i mieć dużo nadziei na pomyślny końcowy wynik sprawy. Tak też się stało i teraz; z tą nadzieją pozostałem do końca.

Przerwa skończyła się niebawem i adwokaci przystąpili do dzieła. Bem bronił Kryndę ze swadą, zdając sobie sprawę z tego, że skoro obowiązuje już ustawa amnestyjna, to wyrok nie może być przecież na tyle wysoki, by jego klient trafił za mury na wiele, wiele lat. Bronił, bo wziął za to pieniądze, ale za dużo argumentów do obrony nie miał, bo przewodnicza rola Kryndy w przestępstwie była niepodważalna. W swojej mowie podkreślał młody wiek oskarżonego i związaną z nim młodzieńczą fantazję. Przekonywał, że Krynda czerpał siły z przeżyć na Wołyniu, gdzie Polacy ginęli w bestialskich atakach band ukraińskich nacjonalistów. Jego rodzina w różny sposób i rozdzielona musiała szukać ratunku, a potem tułać się po całej Polsce, by odnaleźć się ponownie. To zaważyło na jego życiu i stało się powodem nienawiści do porządku radzieckiego. Prosił o łagodny wyrok, by zmienić mentalność oskarżonego na sprzyjającą. Zaznaczył raz jeszcze, że Krynda jest młody, a w dalszym wolnym życiu może jeszcze uczynić wiele dobrego dla kraju.

Przemówienie mojego obrońcy miało inny charakter. Adwokat Ritermanowa miała na czym oprzeć swoją argumentację. Opisała bardzo dokładnie moją pracę w AK podczas okupacji. Podkreśliła, że za taką aktywność

groziła śmierć, a mimo to przez ponad cztery lata działałem intensywnie, bo zakonspirowałem ponad dwadzieścia młodych osób do walki zbrojnej, tworząc z nich oddział dywersyjny, który brał udział w omówionych przeze mnie akcjach – z ich efektów rząd Polski Ludowej teraz właśnie korzysta. Wielu pomniejszych akcji nie opisano nawet w dokumentach, gdyż władze nie śledziły przecież wystąpień przeciwko Niemcom i za to nie zatrzymywały, ale ze swej energicznej działalności byłem dobrze znany w całej placówce „Czeremcha", której teren obejmował jedno miasteczko i osiem wsi w rzeszowskim obwodzie i która liczyła około sześciuset członków. To głównie moi chłopcy tworzyli oddział akcji „Burza", który jawnie już wystąpił na podległym placówce obszarze, by przejąć go od okupanta niemieckiego i uratować to, co miało być zniszczone przez Niemców. Nadeszła wtedy jednak inna władza, znienawidzona przez polski lud w czasie ponad stuczterdziestoletniej niewoli.

Doszło do rozwiązania Armii Krajowej w sposób nieoczekiwany przez jej członków. Co się działo w ich sercach i umysłach? Wysoki sądzie, a co się działo w narodzie? Szok! Chęć buntu, przeciwdziałania. Ginęli wówczas Polacy, którzy byli prekursorami tego nowego politycznego kształtu Polski. Ukrywano to w prasie, ale ginęli masowo. Taka była prawda. Oskarżony Szczepan zachowuje się spokojnie w tej sytuacji, chociaż też wychowany jest w patriotycznej rodzinie i też czuje bunt w sercu. Jest już zagrożony, bo ujawnił się jako jeden z aktywnych działaczy w akcji „Burza" i należał tam do kadry. Organizacja AK już chroni swoich kadrowych członków od aresztowań. Znika z terenu Krynda, zostaje zatrzymany dowódca placówki „Sas". Ginie w sposób zagadkowy zastępca dowódcy placówki porucznik Szadkowski, a jego dom władze radzieckie demolują, szukając w nim dokumentów. Oskarżony Szczepan otrzymuje nowe fałszywe nazwisko Zygmunt Borek i tajną melinę w miejscu niedostępnym. Zostaje jednak niespodziewanie aresztowany. Z transportu do więzienia ucieka. Dostaje następne nazwisko – Wolak. Podczas kolejnego zatrzymania udaje mu się zbałamucić członków Urzędu Bezpieczeństwa i znów uciec. Zostaje aresztowany po raz trzeci, już jako członek AK Stanisław Szczepan, następnie przewieziony do Rzeszowa i poddany śledztwu, a wreszcie osadzony w obozie w Przemyślu i przeznaczony na Sybir. Wspólnie z około tysiącem pięciuset członkami AK jedzie transportem kolejowym do Rosji. Rozbija drzwi wagonu i po raz trzeci ucieka, siedemdziesiąt kilometrów za granicą Związku Radzieckiego, w pełnym biegu pociągu. Z możliwości ucieczki korzystają czterdzieści dwie osoby znajdujące się w tym wagonie. Oskarżony przedziera się przez granicę i wraca do wsi rodzinnej koło Rzeszowa.

Zostaje wezwany do ukrycia się w małym miasteczku Złocieniec na Pomorzu, gdzie przebywają już członkowie jego placówki. Jedzie tam na dwa fałszywe nazwiska, jako zbrodniarz, bo w okolicy Rzeszowa jest poszukiwany. Za co? Przecież nic przeciwko Polsce Ludowej nie uczynił. Więc za co? Za to, że był kadrowym członkiem Armii Krajowej? Po co ta gonitwa i zsyłka na Sybir?

A tu, w Złocieńcu, przyjmuje pracę w zarządzie miejskim i czeka na wybory, po których wie, że może liczyć na amnestię, ale nie wie, w jakim wymiarze. Pragnie prowadzić spokojne, pracowite życie i nawet podejmuje się ożenić z siedzącą tu również oskarżoną Stanisławą Gromadą – w Przemyślu i na swoje prawdziwe nazwisko. Umożliwia mu to i urzędnik stanu cywilnego, i kościół katedralny. Ale ma pecha. Jedzie na ślub i w drodze zostaje razem z narzeczoną aresztowany; teraz oboje są tutaj. Podczas pobytu w Złocieńcu popełnia bowiem błąd, dając się wciągnąć do akcji tworzenia i kolportowania ulotek, o których mowa w akcie oskarżenia.

Chciałam zwrócić na końcu uwagę na poważny zarzut postawiony mu w akcie oskarżenia: „Groźny i zbrojny atak na jednostkę Ludowego Wojska Polskiego". Było to w istocie niewinne zatrzymanie pięciu rozpijaczonych, głośno ryczących czy śpiewających żołnierzy wśród nocy, a nie żadnej jednostki. Rozbroił ich, bo bał się, że w takim stanie mogą urządzić strzelaninę. Oni zaś uciekli z niezdolnymi do strzału karabinami do posterunku MO i tam się schronili. Otoczył więc ten posterunek i wołał do nich, by zgłosili się po swoje zamki. Wejść do budynku nie mógł, gdyż ten otoczony był siatką z drutu kolczastego. Wsunął im w końcu te zamki pod siatkę i odszedł. Dziękuję wysokiemu sądowi za to, że zgodził się na złożenie zeznań w tej sprawie przez świadka Kasjana pomimo sprzeciwu oskarżyciela (pomruk śmiechu na sali). Chciałam też powiadomić, że ślub oskarżonego i Stanisławy Gromady nie odbył się, a zebrana w Przemyślu rodzina nie wiedziała nic o losie młodej pary. Proszę o uwolnienie oskarżonego Szczepana od winy i kary po szerokim zastosowaniu amnestii w każdym przewinieniu. Skończyła.

Nie pamiętam każdego wątku omawianego przez nią w mowie obrończej, ale wrażenie moje po wysłuchaniu jej było pozytywne. Poruszyła na pewno wszystkie kwestie omówione ze mną podczas spotkania przed rozprawą.

Bulwersowała mnie nadal sprawa, która nie mogła być przedstawiona jako poważny zarzut w mowie oskarżycielskiej – kwestia krwi na moich rękach w związku z ostatnią ucieczką. Nie byliśmy na ten zarzut przygotowani. Wiedziałem jednak, że mam jeszcze prawo do zabrania głosu przed zakończeniem rozprawy. Czy wolno będzie mi wtedy podjąć znów jakiś nowy temat? Postanowiłem spróbować.

Tymczasem przedstawili swe mowy końcowe obrońcy z urzędu reprezentujący resztę oskarżonych. Wystąpienia ich były bardzo formalne, bo zarzuty dla większości brzmiały podobnie i nie wymagały różnych interpretacji. Obaj adwokaci zaapelowali do sądu o łagodne potraktowanie przewinień oskarżonych i uwolnienie ich z więzienia, bo należną karę łagodzi amnestia. Nie ma tu czego relacjonować.

Po dłuższej chwili ogólnego zdenerwowania nadszedł wreszcie czas na ostatnie słowo oskarżonych, zamykające rozprawę. Przewodniczący poinformował o tym zgromadzonych na sali, wskazując, że wysłucha się tu próśb w zakresie obowiązującego prawa.

Wstaje Krynda. Prosi o sprawiedliwy wyrok i obiecuje pozbyć się swych uprzedzeń do obecnej władzy w takim stopniu, w jakim zrobi to cały polski naród.

Ja zaczynam trochę inaczej, bo drażnią mnie słowa o rękach, które mam rzekomo pokryte krwią, co przypisuje mi prokurator. Stwierdzam, że formułując takie oskarżenie, złamał prawo, bo nie można stawiać zarzutu na sali sądowej, jeżeli nie postawiły go władze śledcze w akcie oskarżenia. Mówię, że wszystko działo się w czasie transportu koleją około tysiąca pięciuset akowców na Sybir, czego pan prokurator sądowi nie wyjaśnił. Staranowałem wtedy drzwi wagonu, w którym było czterdziestu dwu więźniów. Wyskoczyłem jako pierwszy, po mnie zaczęli robić to i inni. Zostało to jednak zauważone i pociąg nagle stanął. Zaczęto strzelać do uciekających. Nikt do dziś nie wie, ilu z tych chłopców wtedy zginęło. Może nie zginął nikt? Skąd pan prokurator uzyskał na ten temat informacje? A gdyby nawet ktoś zginął, to co wspólnego miałyby z tym moje ręce? Mówię, że gdybym był wieziony nie koleją, a samolotem i tam udało mi się drzwi staranować, to też wyskoczyłbym, bo wolałbym zginąć na polskiej ziemi, aniżeli w obozach w Rosji na tyfus, szkorbut, z głodu czy zagryziony przez wszy. I gdyby pan prokurator miał w swojej krwi tyle umiłowania…

Zerwała się w tej chwili z krzesła moja obrończyni z okrzykiem:

– Wysoki sądzie, proszę przerwać i nie protokołować tej wypowiedzi, bo oskarżony jest zbyt zdenerwowany.

Sędzia przerwał i dał znak protokolantowi. Prokurator nie odezwał się ani słowem. To jest dobrze przeze mnie zapamiętany fakt. Upewniłem się całkowicie, że przewodniczący sądu jest dobrze usposobiony do mojej osoby, skoro w trakcie ostatniego słowa zezwolił mi na wyrzucanie prokuratorowi niekompetencji i łamania prawa. Nie słyszałem już nawet słów kolejnych oskarżonych, bo rzeczywiście nerwy szalały we mnie.

Ta cała procedura sądowa męczyła trochę, więc z ulgą przyjąłem zapowiedź sędziego, że następnego dnia wyrok zostanie ogłoszony dopiero w go-

dzinach popołudniowych. Odprowadzono nas po raz trzeci do więzienia na Kaszubską.

Wyroki

Idziemy tu już po raz ostatni. Spięci i umęczeni nieco za długim procesem. Nie oczekiwaliśmy zbyt wysokich wyroków, bo wiedzieliśmy już, że amnestia będzie dotyczyła nas na pewno. Nie było nam jednak wiadomo, jakie części kar daruje i jak są one obliczane – czy procentowo, czy od zasądzonego wyroku za każde przestępstwo oddzielnie, czy od wyroku końcowego połączonego. Nikt z nas dotąd nie stykał się z tego rodzaju sprawami, a informacje na ten temat za mury więzienne nie docierały. Sytuacja napawała więc i nadzieją, i obawą.

Oto wchodzi sąd, prokurator, wchodzą obrońcy i trochę ludzi, którzy przez wszystkie dni proces śledzili. Zalega cisza. Przewodniczący sądu zaczyna odczytywać wszystkie te początkowe prawne formuły obowiązujące w takich sytuacjach. Dochodzi wreszcie do istoty treści wyroku.

Nie powtarzam tu długich i nudnych artykułów, paragrafów z kodeksu, z ustaw, uchwał i tym podobnych; było tego dużo. W krótkich słowach podaję tylko ostateczny wynik procesu: Krynda Mieczysław – kara łączna z trzech artykułów kodeksu osiemnaście lat, obniżona na podstawie amnestii we wszystkich częściach do lat czterech; Szczepan Stanisław – kara łączna z sześciu artykułów kodeksu dwadzieścia siedem lat, obniżona na podstawie amnestii do lat dwu, ponadto na mocy artykułu 32 ustawy amnestyjnej o nadzwyczajnej obniżce kary zmniejszona o połowę, czyli do jednego roku, z zaliczeniem na jej poczet siedmiu miesięcy w areszcie śledczym*; Moskwa Władysław – kara dwudziestu czterech lat zmniejszona do sześciu miesięcy; Grabski Kazimierz – kara pięciu lat zmniejszona do pięciu miesięcy; Bielecki Władysław – kara czterech lat zmniejszona do dwu lat (ze względu na pełnioną funkcję komendanta); Kolczyński Józef – kara dwu lat darowana w całości; Gromada Stanisława – kara dwunastu miesięcy darowana w całości. Nie wiem, jakie były wyroki dla pozostałych oskarżonych, ale wszyscy oprócz Kryndy, Bieleckiego i mnie wyszli z więzienia po rozprawie jako już wolni obywatele. Spadł kamień z serca. Oczekiwaliśmy przecież o wiele gorszych kar. Amnestia to dobra rzecz!

Zasady rygoru więziennego nadal jednak w drodze powrotnej obowiązywały. Nie pozwolono bowiem na podawanie nam żadnych przedmiotów

* W sentencji wyroku, w części omawiającej go, jest uwaga, że w akcji „Burza" miałem wiele sukcesów, co wpłynęło na wysokość kary.

i artykułów żywnościowych. W więzieniu stajemy najpierw w sali zwolnień. Siedzi tam sekretarz administracji więziennej z naszymi kartotekami. Podchodzimy kolejno. Podajemy otrzymane wyroki, zanim nadejdzie cała dokumentacja od zespołu sędziowskiego. Jest tam obecny naczelnik więzienia, sierżant Jankowski. To on właśnie dokonywał straceń więźniów, którzy zostali skazani na karę śmierci. Pobierał od dwustu do czterystu złotych od wykonanego wyroku, w zależności od tego, czy było to powieszenie na szubienicy, czy rozstrzelanie w piwnicy. Gdy zbliżałem się do sekretarza, sierżant podszedł do mnie i energicznym ruchem głowy do góry kilkakrotnie i wybałuszeniem oczu dawał jakieś znaki. O co chodziło, nie zrozumiałem. Podałem mój wyrok – jeden rok. Pokręcił głową ze zdziwieniem i szybko oddalił się. Co to miało znaczyć, też nie zrozumiałem. Czy może oczekiwał, że przy mnie zarobi dwieście złotych?

Od rana następnego dnia rozpoczęła się wśród nas krzątanina wyzwoleniowa. Każdy miał przecież w depozycie więziennym jakieś swoje rzeczy do odebrania przed wyjściem. To zajmowało trochę czasu. Ja i moja przyszła żona, jadąc na ślub, byliśmy spakowani w dwie walizki, w których nie było podziału na rzeczy moje i narzeczonej; całą zawartość kwitowałem ja. Teraz więc trzeba było to wszystko rozdzielić, bo jedno z nas jechało już do domu, a drugie zostawało. Zaszła w związku z tym konieczność spisania dwu odrębnych protokołów i pokwitowań.

Tego samego dnia po południu zostałem zabrany do samochodu, w którym czekało już kilku nieznanych mi więźniów. Zawieziono nas na stację kolejową, załadowano do wagonu towarowego i ruszyliśmy w drogę. Po zapoznaniu się śpiewaliśmy piosenki patriotyczne i wojskowe pełnym głosem. Na każdej stacji żołnierz konwojent stukał w ściany naszego wagonu kolbą karabinu i wzywał do uciszenia się (jechał w wagonie osobowym obok). Nie skutkowało. Już przed zachodem słońca odłączono nas od pociągu; czekaliśmy chwilę. Nadszedł oddział wojskowy KBW. Ruszyliśmy pod ścisłą ochroną; samochodem.

Więzienie we Wronkach

I znów: rozbieranie się, badanie, ubranie łachów więźniarskich, oddanie rzeczy osobistych do depozytu. Więzienie robi na nas wrażenie. Ma formę długich dwupiętrowych bloków rozmieszczonych na planie krzyża. Siatki ochronne między piętrami zabezpieczające przed skoczeniem w dół, w centrum rozdzielczym krzyża oszklone pomieszczenie dla kierownika wartowników, duży zegar, duży dzwon sygnałowy i dzwonki elektryczne. Ruch na wszystkich czterech ramionach krzyża regulowany sygnałami, by gwarantować jego przejrzystość.

Jest tu parę tysięcy więźniów, więc to konieczne. Naczelnik dyżurny w centralnym i pozwalającym widzieć każdy zakątek krzyża pomieszczeniu przez cały czas dwoi się i troi.

Trafiamy na oddział kwarantanny. Tu działają kapo. Cele są pojedyncze. Trzeba uważać na słowa, a nawet i na gesty. Kwarantanna trwa trzy tygodnie. Więźniowie mogą tutaj otrzymywać paczki, robić, a raczej prosić o wypiski, jeżeli mają pieniądze w depozycie, mogą czasem pisać listy, które przed wysłaniem przechodzą przez cenzurę. Podczas kwarantanny można się ubiegać o pracę w różnych warsztatach więziennych. Pozwolenie na nią wydaje naczelny kapo, a starać się o to trzeba mieć czym. Wszystko robi się szybko i na rozkaz. Niezbyt uświadomionym zdarzają się w czasie kwarantanny różne przykre wpadki – zazwyczaj wyplątanie się z nich kosztuje. Kapo mają swoje sposoby, by dobrze żyć. Nie podaję jakie, bo jest ich dużo, a powszechnie są przecież znane.

Moja cela jest też pojedyncza i jakaś ponura – z workiem, który nazywano siennikiem, garścią słomy startej już na sieczkę i kocem z licznymi dziurami. Siedziałem tam około dwu tygodni sam, odwiedzany co dzień przez niby-sprzątaczy, ale wiedziałem, że byli to kapo, bo próbowali zawsze rozmawiać w sposób na to wskazujący.

Pewnego dnia zostałem wezwany do kancelarii, gdzie było kilku mundurowych pracowników więzienia. Sprawdzali moje personalia, pytali o zawód, o wyrok, o inne drobniejsze szczegóły. Oświadczyli mi, że zostałem włączony do oddziału roboczego, do stolarni, bo podałem jako zawód stolarz. Zaraz przeniesiono mnie w związku z tym do innego skrzydła krzyża, gdzie taki oddział roboczy się mieścił. Cele były tam również małe, ale już kilkuosobowe; można było porozmawiać. Na drugi dzień wartownik prowadzi nas gdzieś poza blok więzienny. Duża sala zapełniona trzydrzwiowymi szafami garderobianymi w stanie surowym. Produkowała je Wronecka Fabryka Mebli, mająca umowę z więzieniem na wykończenia zewnętrzne. Pracowało nas tam pięciu, w tym jeden Rosjanin. Powlekaliśmy te szafy politurą szelakową, do półpołysku. Byliśmy tam zamykani, ale niepilnowani przez wartownika, bo wyroki mieliśmy kilkumiesięczne i nie opłacała się nam ucieczka. W południe przynoszono nam obiad, ale tak duży, że starczyłby na dziesięć posiłków w celi. Mieliśmy tam pełną swobodę i nawet humor nam dopisywał. Plan jednak był – wykończenie jednej szafy w ciągu dwóch kolejnych dni – z tym że nikt nie kontrolował jego wykonania.

Przetrwałem na tym oddziale te pięć miesięcy do końca mej wyrokowej kary. Nadszedł 18 grudnia 1947 roku. To był dzień aresztowania mnie rok wcześniej. Nie idę już do pracy. Dokładnie o ósmej przychodzi trzyosobowa

komisja zwolnień z dokumentami. Jest nas w celi czterech. Pytają o personalia każdego z nas. Przy mnie sprawdzają dokładnie datę urodzenia, miejsce, personalia rodziców, daty aresztowania, procesu i tak dalej. Każą pożegnać się ze współwięźniami. Robię to. Wychodzimy na parter, do celi zwolnień (a jednak zamykanej przez strażnika). Prowadzą mnie do magazynu po odbiór depozytu, pytają, czy odprasować garnitu lub oczyścić obuwie, co kupić na drogę do domu, jeżeli jest na to gotówka. Jeśli nie mam gotówki, dostanę bilet kolejowy za darmo i kanapkę na drogę. Prowadzą do fryzjera, do łaźni – już nie tylko pod prysznic, ale i do wanny z ciepłą wodą. Na końcu – wizyta pożegnalna w gabinecie naczelnika więzienia; tam sztampowe przemówienie naczelnika, zakończone tak samo sztampowym zdaniem: „Żebym was tu więcej nie widział", ale bez podania ręki.

Wszystko już mam przy sobie; minęło dopiero pół dnia. Do wieczora jednak jestem zamknięty w celi zwolnień jako człowiek już wolny, bo mają tu dokładny rozkład jazdy pociągów, a mój odchodzi z Wronek wieczorem.

Co mnie jednak na końcu zdenerwowało to to, że wartownik odprowadza mnie na dworzec kolejowy i ma ze sobą karabin! Przecież już nie jestem więźniem! Po co ta broń? Ludzie na mnie patrzą. I jeszcze czeka przy mnie na peronie na przyjazd pociągu. Kiepski końcowy akcent pożegnania Wronek.

Na wolności

W Rzeszowie jestem rano 19 grudnia. Na parę dni zatrzymuję się w domu, by przygotować się dobrze do ślubu, którego termin został ustalony na 26 grudnia. Oczekują mnie tam wszyscy członkowie rodziny przyszłej żony. Skromnie się to już zaplanowało, bo i jedna, i druga rodzina była biedna, a aresztowanie w ubiegłym roku i roczny pobyt mój za kratami nie napawały chęcią do odrobienia sobie tego teraz. Bywa tak w życiu.

Skończyła się kilkuletnia kawalerska szarża w tak niebezpiecznych czasach. Tyle dramatycznych chwil, kiedy śmierć siedziała na ramieniu, tyle nieprzespanych nocy i leśnej włóczęgi… O kilku zdarzeniach, w których sekundy decydowały o ży-

Stanisław Szczepan z żoną Stanisławą.
Autor nieznany, zbiory prywatne Janusza Szczepana

ciu lub śmierci nawet nie wspomniałem, bo nie były ujawnione w śledztwie, jak chociażby udział mój w ubezpieczaniu zrzutu broni z amerykańskiego samolotu startującego z włoskiego lotniska w Bari, lecącego przez Morze Adriatyckie, Jugosławię, Austrię, Czechosłowację do polskiego Dynowa i z powrotem[46], czy udział w próbie uwolnienia więźniów politycznych z więzienia w Rzeszowie w 1944 roku[47]. Byłem wówczas włączony do grupy dziesięciu żołnierzy, którzy mieli przedostać się przez mur więzienny i rozbroić tak zwany patrol KBW w wartowni. Akcja w ostatniej sekundzie została odwołana na skutek wybuchu granatu tuż przy bramie więzienia. Co by było, gdybyśmy byli już za murami?

Zacząłem nocami rozmyślać o takich zbiegach okoliczności, kiedy uniknięcie śmierci już niechybnej zdarzyło mi się w sposób tak nienaturalny i dziwny, że można to było nazwać cudem, choć w cuda nie wierzyłem. Takich przypadków – gdy działanie chyba jakichś sił pozaziemskich wyjaśniałoby, że stało się tak, jak się stało – naliczyłem cztery. I wtedy przypomniałem sobie zdanie pewnej niestarej jeszcze kobiety, która znała moją niebezpieczną drogę okupacyjną, bo jej mąż też działał w AK. Powiedziała: „Staszku, ty nie dziękuj Bogu za to, że szczęśliwie to wszystko przeszedłeś. Dziękuj swojej mamie, która tyle próśb do tego Boga zasyłała o twój powrót, w który już wiarę traciła. I ten Bóg chyba ją wysłuchał". Nie odezwałem się na to słowem, ale dało mi to do myślenia. Bo przecież chodziło o coś nienamacalnego. A może te wszystkie dobrze kończące się dla mnie zdarzenia były zapłatą za wysłuchanie prośby matki: „Stasiu, nie zabijaj ludzi". Prośbę tę spełniłem, gdyż osobiście przez całą długą okupację nie pozbawiłem życia ani jednej osoby. Sam też nie straciłem włosa z głowy, choć wiele było wypadków, i wojskowych, i cywilnych, kiedy było blisko tego. To są te moje tytułowe „niezapominajki", które przetrwały w mózgowych komórkach dotąd i trwać chyba będą do końca.

Cała planowana przeze mnie kariera wojskowa zakończyła się nijak. Trochę było mi żal, bo zaczęło się dobrze, szczęśliwie, a potem otrzymałem wyrok, po którym władza wojskowa nie dawała szans na kontynuowanie służby. Byłem już wrogiem nowego ustroju.

Pisałem o tym, co zachowało się jeszcze z tamtych czasów w mojej pamięci, przez długie dziesiątki lat. Skracałem opisy do minimum, nie tworząc zdań ozdabianych barwnymi epitetami i nie fantazjując.

Oprócz przedstawionych tu wypadków miały miejsce w placówce różne niewyjaśnione zdarzenia łączące się z innymi, też tajemniczymi, sprawami. Czy to był zbieg okoliczności, czy mistyfikacja, czy jakaś dwutorowość w postępowaniu? Postaram się pokrótce opisać kilka takich niezrozumiałych dla mnie dotąd

faktów związanych z placówką, o których mówiło się cicho nie tylko w AK, ale nawet poza organizacją.

Osoba dowódcy placówki Szybkowskiego, „Sasa". Podobno podporucznik wojsk przed wojną. Żonaty, miał córkę Wandę. Znałem ją, gdyż spotkaliśmy się kilka razy na towarzyskich zabawach w czasie okupacji. W roku 1940 „Sas" jest członkiem wywiadu w placówce Związku Walki Zbrojnej „Czeremcha". W tym czasie dowódcą tego związku jest znany w gminie przedwojenny policjant nazwiskiem Stachak. Po tym jak Niemcy go aresztują, dowódcą placówki zostaje „Sas". Kieruje nią – także gdy ta staje się już placówką Armii Krajowej – przez następne lata okupacji. W roku 1941 zostaje zastrzelony w zagadkowych okolicznościach syn Andrzeja Husa, sekretarza w urzędzie gminnym. Chłopiec ten nie miał jeszcze osiemnastu lat i do żadnej organizacji politycznej nie należał. Kto to zrobił? Dlaczego? Fama niosła, że zginął z ręki AK. Czy naprawdę? Nie wyjaśniło się. Sytuacja gmatwa się. Do Czudca przybywa jako uciekinier z Wołynia pan Z.[48] z żoną, dwiema córkami i synem. Zamieszkuje kątem u jakiejś rodziny w mieście. W jego młodszej córce Danusi zakochany był jeszcze w Brzeżanach na Wołyniu Mieczysław Krynda, który też ucieka stamtąd przed rzezią ukraińską, ale trochę później niż rodzina Z. Szuka tej rodziny przez Czerwony Krzyż. Najpierw zatrzymuje się w Radomiu ze swoją matką i siostrą Wandą. Po pewnym czasie przenosi się do Kielc, bo otrzymuje informację, że rodzina Z. tam przebywa. Okazuje się, że to fałszywy trop. Następny ślad pochodzi z Czudca. Przeprowadza się więc znowu. I tu odnajduje tę rodzinę Z. i swoją ukochaną Danusię. Był już członkiem AK w Radomiu i w Kielcach i teraz szuka kontaktu z AK w Czudcu. Znajduje. Pracuje w wywiadzie pod pseudonimem „Perkun". „Sas" uznaje go za dobrego pomocnika i wykorzystuje do specjalnych poruczeń w zakresie łączności między dowódcami oddziałów w terenie. W związku z tą współpracą bywa czasem z Kryndą u rodziny Z. i poznaje tam starszą siostrę Danusi. Zakochuje się w niej szybko. Powstaje dziwna sytuacja romansowa. Lalusia, bo tak ją nazywano, zaczyna kochać pana „Sasa", a Danusia kocha pana „Perkuna". Ojciec obu dziewcząt nie wie, że pan „Sas" jest żonaty i ma dziecko. Oba związki jakoś trwają nadal. Wciąż jest wojna, o ożenku żaden z tych mężczyzn nie myśli, ale są już jakby szwagrami. Czas biegnie. W tym okresie Krynda bywa u mnie, w Zarzeczu, z różnymi służbowymi sprawami i zaprzyjaźniamy się. Robi się w placówce ciasno. Zostaje rozstrzelana przez oddział egzekucyjny żona „Sasa". Podawana jest wersja, że to mąż zgłosił do AK w Rzeszowie, iż ona współpracuje z Niemcami i on jako dowódca placówki jest zagrożony, podobnie jak i wszyscy jego ludzie. Członkowie placówki powątpiewają, czy Rzeszów w ogóle o tym był

powiadomiony. Przecież w stanie konspiracji ścisłej takie rzeczy pozostawały utajnione. Sprawa jakoś dziwnie ucicha.

Niedługo po tym zostaje rozstrzelana prawie cała rodzina Urbanów – mąż, żona, starszy syn i młodsza córka Janka. Ocalał młodszy syn Staszek, którego znałem, i starsza córka. Mąż był organistą w kościele w Czudcu. Bardzo zabolała mnie ich śmierć. Najmłodsza córka, Janka, pracowała wraz ze mną przez parę tygodni w gminnej komisji wystawiania kenkart na zarządzenie Niemców, którzy wymagali, by każdy mieszkaniec gminy miał taki niemiecki dokument tożsamości. Komisję tę (ośmioosobową) powoływał sekretarz gminy Andrzej Hus. Janka była piękną młodą dziewczyną, ale chyba politycznie jeszcze głupiutką. Bardzo ją lubiliśmy. Więc co? Pomyłka? Nie wiązano tego przypadku z antypolską, a proniemiecką działalnością. Rodzina była i rodziny nie ma. Pluton egzekucyjny wypełnił rozkaz. Czyj? Na ten temat nic nie mówiono – cisza.

Jesteśmy w lesie jako oddział akcji „Burza". Pod nieobecność dowódcy oddziału „Świdra" ja udaję się do dowódcy placówki „Sasa", by omówić sprawę objęcia oddziału szerszą opieką przez BCh. Chodziło o zaopatrzenie w ręczniki, mydło, gumowe obuwie i o szycie brakujących części garderoby, jak chociażby bielizna. Mieliśmy bowiem z AK tylko biało-czerwone opaski na rękawach; cała reszta to były nasze własne ubrania, których nie mogliśmy wymienić, bo do domów mieliśmy po parenaście kilometrów. W domku wynajętym od chłopa, niedaleko od miejsca postoju naszego oddziału, w oddzielnym pokoiku, zastaję „Sasa" – mocno podchmielonego, siedzącego przy stole; w rozmemłanym łóżku obok panna Lalusia w stroju bardzo niekompletnym. Nie wyglądali na zaskoczonych. Rozmowa się nie kleiła, trwała krótko i skończyła obietnicami interwencji ze strony „Sasa". Nie trafiłem chyba w dobry moment, ale pierwszy raz ujrzałem na własne oczy pannę Lalusię, córkę pana Z.

Trzeci przypadek. Podchodzimy patrolem w rejon dworca kolejowego w Czudcu, bo otrzymujemy meldunek, że leży tam w samochodzie osobowym jakiś mężczyzna. Jest noc. Istotnie, rozpoznajemy zastępcę dowódcy placówki, leśniczego. Ma dziurę w głowie. Były tam już mieszkające blisko dworca członkinie AK, które usłyszały strzał. Pytamy co i jak. Podobno spotkały jakiegoś nieznanego mężczyznę, który twierdził, że człowiek w samochodzie zginął zastrzelony przez patrol niemiecki. Trudno było w to uwierzyć. Żadnego patrolu w Czudcu nie było. Poza tym nie zauważyliśmy śladów walki. Z pozycji, w jakiej leżał zastrzelony – na tylnym siedzeniu, przy otwartych drzwiach – można było wnioskować, że zginął w zamachu i że na kogoś tu czekał. Na tego, który go zastrzelił?

Następny przypadek: pierwszy raz jestem zatrzymany w pobliżu tej leśniczówki, w której mieszkał zastępca dowódcy placówki, przez dwu żołnierzy rosyjskich; w leśniczówce trwa wtedy rewizja. Kto nagrał tę rewizję wojskom radzieckim? Kto je tam zaprowadził? Bo przecież same nie trafiłyby ciemną nocą do tego domu. Wreszcie: jaka osoba, cywil czy też wojskowy, miała wtedy prawo wydawać dyspozycje wojsku wprawdzie sprzymierzonemu, ale przecież obcemu?

Nasze oddziały już powróciły do domów. AK rozwiązano. Dowódca placówki „Sas" zostaje aresztowany i podobno wywieziony do Rosji. Piszę „podobno", bo tę wiadomość podaje mi tylko Krynda. Po bardzo krótkim jednak czasie „Sas", a raczej już Szybkowski, wraca. Nienaturalna to rzecz wówczas, by ktoś wywieziony do Rosji jako aresztant polityczny w ogóle wrócił, a tym bardziej po niespełna roku. Wersja Kryndy jest, wydaje mi się, słuszna. Według niego Szybkowski podpisał tam zgodę na współpracę i na dekonspirację całkowitą członków Armii Krajowej. Część naszej grupy AK z placówki „Czeremcha" ukrywa się już w Złocieńcu, to znaczy pan Z. z rodziną, Kryndra i ja jako Wolak. Szybkowski po powrocie nie ma racji bytu w Czudcu. Nagle pojawia się w Złocieńcu i przyjmuje pracę w zarządzie miejskim, tak jak ja i Krynda. Znienacka wręcza nam legitymacje WiN z podpisem Stanisława Mikołajczyka, który parę dni później ucieka do Londynu, bo grozi mu taki sam los, jaki spotkał szesnastu dowódców AK zdradziecko wywiezionych do Moskwy. Tu, w Złocieńcu, są już wybranki serc Szybkowskiego i Kryndy. Ojciec ich, pan Z., w międzyczasie dowiedział się jednak, że Szybkowski sprowadził śmierć na swoją żonę, i przypuszczał, że powodem była jego starsza córka Lalusia. Przerwał więc ten romans, kategorycznie zabraniając Szybkowskiemu wstępu do swojego domu. Wkrótce Krynda dowiaduje się od swojej łączniczki, która uciekła do Gdańska, że niemal wszyscy członkowie organu AK w Rzeszowie zostali aresztowani, a następnie rozstrzelani; szyfrowane tam akta podległych placówek z całego okręgu wcześniej zniszczyli. Dziwna to tajemnica przekazywana z ust do ust. Żadnych konkretnych dowodów. Kto, kiedy, w jaki sposób doszło do tego – nikt nam nie wyjawił, bo też i nikt o to nie pytał, samemu będąc jakoś w konflikcie z prawem.

Po kilku latach Krynda, będąc już w Australii, pisze mi, że podał moje nazwisko komuś, kto prosił go o jakieś dane dotyczące okręgu w Rzeszowie. Żadnego kontaktu jednak z tym kimś nie miałem.

Następna dziwna sprawa: 18 grudnia 1946 roku zostało przeprowadzone w Złocieńcu generalne aresztowanie sześćdziesięciu trzech osób, ale wśród nich nie było Szybkowskiego, mimo że tam mieszkał i pracował.

Wkrótce po naszym procesie Szybkowski umyka do Słupska, ale jest na niego zamach, w którym zostaje ciężko raniony. Trafia do szpitala w Gdańsku, gdzie umiera na skutek odniesionych ran.

W tej sprawie przypomina mi się też pewien dziwny szczegół dotyczący Szybkowskiego. Pisałem tu o Jechnie, który powoływał się na Łupaszkę z lasów tucholskich, a w rzeczywistości był agentem Urzędu Bezpieczeństwa w Koszalinie. Gdy go rozpracowałem, a on okazał skruchę i chęć załatwienia mi jakichś spraw na wolności, wspomniałem mu, że frapuje nas, więźniów, pytanie, kto całą tę naszą grupę wsypał. Obiecał się dowiedzieć. Upłynęły długie miesiące. Byłem przeniesiony do innego więzienia i wreszcie do Wronek. Po moim powrocie do domu, gdy wspominaliśmy te przeszłe wstrząsy przed niedoszłym ślubem, moja teściowa nagle przypomniała sobie, że dostała kiedyś anonimowy list, którego autor pisał, że był na moją prośbę w Złocieńcu, rozmawiał z różnymi ludźmi i doszedł do wniosku, że grupę wsypał agent UB. Nie podał w liście nazwiska, ale w rogu kartki narysował siatkę pajęczą, a zamiast pająka były litery „Szyb". List ten teściowa jednak zniszczyła, bo o to prosił nadawca.

Jak na to wszystko patrzeć? Czy była to fantazja mojej kochanej teściowej? Skąd by jednak znała te litery początkowe nazwiska „Sasa"? Doprawdy czy ten splot wszystkich zajść dotyczących Szybkowskiego nie jest podobny do fabuły utworów Agaty Christie? Zdaniem Kryndy, będącego zawsze blisko Szybkowskiego, to był cyniczny człowiek, a wręczając nam legitymacje WiN, chciał nas dodatkowo obciążyć w procesie, co było związane z faktem, że my obaj wiedzieliśmy o jego romansie z Lalusią i rozstrzelaniu żony.

Ani Szybkowski, ani Krynda do rodziny pana Z. nie weszli. Krynda chyba dlatego, że dostał wyrok czterech lat, a Danusia nie zdecydowała się tak długo czekać. Po wyjściu z więzienia ożenił się w Gliwicach, gdzie zamieszkały jego matka i siostra Wanda. Wkrótce wszyscy wyemigrowali do Australii. Matka tam zmarła, a Krynda do dziś koresponduje ze mną.

Wspomnienia z ucieczki z transportu na Sybir chciałbym uzupełnić historiami moich czterech współwięźniów z Rzeszowa. Skakaliśmy w pełnym biegu pociągu. Ja pierwszy, Jastrzębski drugi, Urban trzeci, Sokołowski czwarty. Upadki tych wymienionych tu słyszałem, pozostałych już nie, bo pociąg oddalał się. Do naszego spotkania ponownego nie doszło. Wszyscy trzej uszli cało ze strzelaniny, prąc w stronę przeciwną niż ja, czyli do Lwowa, bo Jastrzębski mieszkał w Zimnej Wodzie pod Lwowem, miał tam jeszcze kontakty z AK i chciał legalnie przedostać się do Polski przez granicę. Na początku schronili się w jakimś przytułku prowadzonym przez zakonnice. Potem dotarli jakoś do Zimnej Wody, a następnie z grupą reemigrantów dostali się do Polski. Sokołowski (ten

czwarty) przy skoku z pociągu trącił ramieniem kamienie, które z siłą uderzyły w szynę toru. Zaiskrzyło znacznie. Zauważył to wartownik konwoju siedzący na dachu i zatrzymał pociąg strzałem. Tenże Sokołowski pochodził z Lublina, gdzie wtedy miał siedzibę Rząd Jedności Narodowej; w związku z tym w mieście pełno było organów ochrony rządu. Nie mógł się tam zatrzymać. Znał mój adres i dotarł do mnie, pokonawszy ponad sto kilometrów, bo potrzebował ratunku – był kaleką, miał wytrącony cały staw prawego barku i ręka zwisała mu bezwładnie koło ciała. Ja w tym czasie nie mieszkałem w domu, ukrywałem się dziesięć kilometrów dalej, w innej wsi. Dzięki różnym kontaktom z doktorem obsługującym akowców udało się jednak umieścić Sokołowskiego w szpitalu. (Operacja barku przebiegła szczęśliwie, ale nie gwarantowała odzyskania pełnej sprawności w ręce). On również nie wiedział, ile było ofiar śmiertelnych strzelaniny przy pociągu. Kilka dni po operacji udał się w stronę Lublina, bo miał tam w okolicy wielu znajomych ludzi.

O tej naszej ucieczce usłyszałem jeszcze od innego znanego mi więźnia z transportu jakieś dwadzieścia lat później. I warto w skrócie opisać to, by dowód dać porzekadłu, że świat jest bardzo mały.

Pracuję już we Wrocławiu; podlegają mi sklepy meblowe w całym województwie dolnośląskim (wówczas to województwo obejmowało Jelenią Górę, Legnicę, Wałbrzych i Wrocław). Pewnego dnia jestem w Kłodzku wspólnie z podległymi mi plastykami. Pracujemy nad wystrojem nowo wybudowanego pawilonu meblowego, bo za dwa dni ma być otwarcie. Dużo do zrobienia: prezentacja nowych mebli w pomieszczeniach imitujących różne pokoje i całe mieszkania, opisy, reklama pisma, ustawienie kwiatów, przedmiotów zdobniczych i tym podobne. Zbliża się wieczór. Jestem już bardzo głodny, ale przy ulicy, gdzie mieści się pawilon, nie ma żadnej restauracji ani nawet kiosku z czymś do jedzenia. Nie pamiętam jej nazwy, ale pamiętam, że aby do niej dotrzeć ze śródmieścia, jechało się samochodem koło Nysy do ronda i skręcało w lewo. Pieszo do centrum to był kawał drogi. Mój plastyk radzi, bym udał się w prawo, do Nysy, tam jest kładka przez rzekę dla pieszych; dojdę prosto do śródmieścia. Tak też zrobiłem. Na dużym placu z lewej strony Nysy budowano trzy nowe bloki i niektóre z nich były chyba już częściowo zamieszkane, bo w oknach widziałem tu i ówdzie światło. Drogi jeszcze tam nie było, tylko różne wykopy, doły, jak przy komunistycznych budowach. Przechodziło się udeptaną ścieżką. Widzę, że z naprzeciwka idzie jakiś mężczyzna i spogląda na numery przy drzwiach bloku. Idzie dalej. Zbliżamy się do siebie. Już na kilka metrów. On nagle przystaje, wpatruje się we mnie i mówi:

– Szczepan.

Nie odzywam się, bo mnie to zaskoczyło, ale patrzę na niego i też go poznaję. Michałowski! Doskoczyliśmy do siebie, zaczęły się przywitania i chaotyczna rozmowa (w roku 1938 razem służyliśmy w wojsku, w szkole podoficerskiej w Suwałkach, w tej samej piątej drużynie). Co za spotkanie! Pytam go, gdzie on tu mieszka.

– W Kłodzku jestem pierwszy raz – mówi. – Mieszkam w Nowogrodziu; to taka mała mieścina za Legnicą. Jestem tam nauczycielem, uczę dzieci w podstawówce. Tu, w Kłodzku, mieszka mój kolega z Przeworska, jest dyrektorem szkoły, też podstawówki. Korespondujemy ze sobą i zaproponował mi pracę u siebie po wakacjach. Mówi, że Kłodzko to kawał miasta, a to moje Nowogrodzie – głucha dziura. Dostał teraz tu, przy tej ulicy, mieszkanie, więc przyjechałem omówić z nim tę sprawę.

Przerwałem mu:

– To musiałeś jechać przez Wrocław.

Zdziwił się, że o tym wspominam. Tłumaczę, że ja mieszkam we Wrocławiu, a tu jestem dziś służbowo. Zachęcam, żeby wstąpił do mnie, jak będzie wracał. Podałem mu adres. Co za niesamowity przypadek! Żaden z nas nie mieszkał w Kłodzku, a obaj na tej dróżce mało uczęszczanej jeszcze znaleźliśmy się w tym samym czasie. Wystarczyłoby przecież, by on wszedł już do bloku, i nie natknęlibyśmy się na siebie. Dziwne to… Kto włada losami ludzi i tym mechanizmem czasu, sprawiając, że w jednym momencie dochodzi do takiego spotkania?

To nie koniec tej historii. Ten kolega odwiedził mnie dopiero za miesiąc czy nawet dwa; dokładnie nie pamiętam. Rozprawialiśmy o swoich sprawach szczegółowo. I kolejny przypadek – on też był aresztowany w roku 1944 i też był w tym samym obozie w Przemyślu, co i ja, tylko w innym bloku. Został załadowany do tego samego transportu – z tym że ja jechałem w trzecim wagonie, a on w którymś z kolejnych – i pamiętał naszą ucieczkę i strzelaninę. Wzajemnie o sobie nie wiedzieliśmy. Z początku nie mógł mi uwierzyć, myśląc, że opowiadam zmyśloną historyjkę, ale opisywane przeze mnie szczegóły z życia obozowego i załadunku oraz miejsca ucieczki przekonały go. Sam oczywiście nie uciekł i pojechał dalej. Cały transport został rozdzielony (grupy liczyły około stu osób, może trochę więcej) na kilka obozów pracy odległych od siebie. On trafił nie za Ural, lecz na południe Rosji. Tak jak wszędzie, królował tam głód, tyfus, szkorbut i wszy. Pracowali przy budowie linii kolejowej. Sądzeni byli przez sądy ruskie zamiast przez polskie – wszystko w ramach pomocy braterskiej. Wrócił po czterech przeszło latach, schorowany, siwy. Jak twierdził, połowa prawie ich obozu została tam na zawsze. Czyż nie dziwny był to splot wypadków?

Cała opisana przedtem sprawa Szybkowskiego zrodziła we mnie pewną nieufność do postawionych na czele organizacji ludzi. Wierzyłem wcześniej, że – pełni patriotycznego zapału – są zdolni do osobistych poświęceń dla kraju; że ich działania i decyzje nie mają nic wspólnego z jakimiś materialnymi zakusami czy chęcią wyrównania osobistych rachunków z osobami z przeciwnego obozu politycznego. Nabrałem jednak wiele krytycyzmu, sceptycznie podchodziłem do pewnych, pochopnych moim zdaniem, decyzji, których skutków nie można było cofnąć. Zacząłem więc naciągać niektóre rozkazy do swojego sposobu myślenia, i to tak, by uchronić również siebie przed odpowiedzialnością za nieścisłe ich wykonanie, bo zdawałem sobie sprawę, że działałem w systemie wojskowym, gdzie nie ma miejsca na osobistą filozofię. Oto dwa takie przykłady z roku 1944.

Usuwało się ludzi będących członkami Polskiej Partii Robotniczej. Zapadł wyrok śmierci – nie zgłębiałem z jakiego powodu – na sekretarza gminy Czudec Andrzeja Husa (o rodzinie Husów i ich związkach z moją rodziną wspominałem tutaj przy okazji historii o zatrzymaniu przez UB w Rzeszowie). Zdębiałem! Dlaczego? Andrzej Hus uległ, tak jak jego brat Ignacy, starszemu bratu Janowi i zapisał się do PPR, ale bez przekonania. O ile Jan nigdy do naszego domu nie zaglądał, bo mieliśmy odmienne poglądy politycznie, o tyle Andrzej często nas odwiedzał. Lubił wódkę, lubił żarty, lubił naszą liczną familię w Zarzeczu. Bywał na różnych uroczystościach rodzinnych. O jakiejś tam przynależności partyjnej nigdy nie wspominał. Córki jego często zapraszaliśmy na kajaki w czasie okupacji, na sylwestra czy towarzyskie spotkania (mam w swoim albumie nasze wspólne zdjęcia). Cała rodzina tych Husów mieszkała w Czudcu, siedem kilometrów

Z tyłu, za stołem, stoi Stanisław Szczepan, pierwsza z lewej to córka Andrzeja Husa, obok autora, po prawej, jego kuzynka Wanda Szczepan, siostra Józefa i siostra Waleria, dalej druga z córek Husa oraz kuzyn Eugeniusz Szczepan. Zarzecze, 1941 rok. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

Stanisław Szczepan z dwiema córkami Andrzeja Husa (stoją w środku). Zarzecze, 1941 rok. *Józef Pasternak, zbiory prywatne Janusza Szczepana*

od Zarzecza. Andrzej Hus pracował jako sekretarz urzędu gminy w Czudcu. Wójtem gminy był przez kilka kadencji Feliks Wilk z Zarzecza[49], należący do AK uczestnik pierwszej wojny światowej. Współpracowali zgodnie, wiedząc przecież, że należą do przeciwnych obozów. W czasie okupacji, gdy Niemcy zarządzili wydawanie kenkart dla wszystkich mieszkańców gminy (obejmowała osiem wsi i miasto Czudec), Andrzej Hus powołał gminną komisję wystawiania tych dokumentów. Do komisji należało osiem osób: cztery kobiety, z których trzy były działaczkami AK, oraz czterech mężczyzn, w tym ja i jeszcze jeden członek AK, jeden bezpartyjny i partyjny nauczyciel ze szkoły w Czudcu nazwiskiem Król (o nim jeszcze wspomnę). Druki kenkart jako dokumenty „ścisłego zarachowania" Andrzej Hus pobierał ze starostwa w Rzeszowie i tam się z nich rozliczał. W jaki sposób się jednak rozliczał, że zawsze można było uzyskać od niego parę egzemplarzy lewych kenkart dla AK, to już jego tajemnica – tak samo jak i fakt, że na czystych blankietach widniały i pieczątka niemiecka, i podpis starosty, Niemca. Pracowaliśmy w komisji przez jakieś dwa miesiące jak jedna rodzina

Feliks Wilk, wieloletni wójt gminy Czudec. Lata przedwojenne (na zdjęciu data jego śmierci). *Autor nieznany, zbiory prywatne Tadeusza Kotowicza*

i nikt nigdy tematów politycznych nie poruszał. Nagle dociera do mnie hiobowa wieść. Andrzej Hus i Król, nauczyciel, będą rozpatrywani przez wywiad do usunięcia ze społeczeństwa jako członkowie partii. Ewentualne wyroki wykona „Babinicz". (Był to młody, ale porywczy działacz z Zaborowa; nie widziałem go nigdy, ale słyszałem o nim). Wiadomość tę przynosi mi Krynda, który przecież działa w pobliżu Szybkowskiego i wywiadu. Co? Jak? Dlaczego?! Przecież znam ich obu. Pracowałem z nimi. Krynda nie potrafi jednak podać żadnych szczegółów. Apeluję do niego. Jest blisko dowódcy, niech coś zrobi. Przecież Hus tyle blankietów załatwił dla AK! Jak mógł pracować na rzecz Niemców jako członek PPR, kiedy Niemcy rozstrzeliwali ludzi z partii? Zwierzam się Kryndzie, że Hus jest spokrewniony z naszą rodziną i żadnej aktywności z jego strony nigdy nie zauważyliśmy. Mówię, że to brat jego samowolnie wpisał go do partii; że sam Andrzej zna w Czudcu wielu członków AK, w tym mnie, i nikt z terenu jego działalności nie został zdekonspirowany; że taki autorytet jak wójt gminy współpracuje z nim i ma tu prawo wydania swej opinii o nim jako członek AK. Co się więc dzieje? Czy to jakaś szaleńcza samowola?

Finał był taki, że sprawa Husa ucichła. Czy Krynda potrafił którąś ważną osobę przekonać, posługując się argumentami podanymi wcześniej przeze mnie, czy może zamysłu zgładzenia Husa wcale nie było, czy chodziło o jakieś inne przyczyny, tego nie wiem, bo Krynda wkrótce potem przeniósł się do Złocieńca. Andrzej Hus zaś zmarł śmiercią naturalną parenaście lat później. Swoje obie córki przedtem wydał za mąż za byłych akowców.

Jeśli chodzi o nauczyciela Króla, to znaliśmy się krótko, bo zaledwie parę tygodni. Pracował z nami w komisji gminnej wystawiania kenkart. Był dobrego, wesołego usposobienia, bardzo koleżeński, pomimo iż najstarszy z nas wszystkich. Czy należał do jakiejś partii? Nie wiem, bo o tych sprawach nie rozmawiało się tam. W śledztwie o komisji ani o Królu w ogóle nie mówiłem, bo przecież wydarzenia z nimi związane miały miejsce podczas okupacji niemieckiej. Dlaczego więc Krynda w swoich zeznaniach wywlókł tę sprawę, a na dodatek mijał się z prawdą, opowiadając o niej? Domyślam się, że to zeznanie miało go częściowo odciążyć. Mówił, że był przekonany, podobnie jak ja, że wyroku śmierci na Królu wykonywać nie należy, i ostatecznie go nie wykonano. Fakty jednak były inne. Krynda przyjechał do mnie z rozkazem wykonania wyroku, nie wiedząc, że ja tego skazanego człowieka znam. I to ja wpłynąłem na niego, mówiąc, że w obecnej sytuacji, kiedy tyle jest różnych omyłek i tyle pozakulisowych spraw rozgrywa się w placówce, nie należy swego sumienia obciążać niepotrzebną zbrodnią. Tym bardziej że, jak mu wyjaśniłem, ja działam nie w oddziale do wykonywania wyroków, a w oddziale dywersyjnym. On

na to, że oddział likwidacyjny, składający się z osób z tej samej miejscowości, w której mieszka Król, nie może przystąpić do wykonania wyroku z obawy przed dekonspiracją. Oświadczyłem mu wtedy, że ze względu na własne zasady i sumienie rozkazu tego nie wypełnię. Obawiał się – przecież on jako osoba od takich poruczeń musi komendantowi placówki dać jakąś odpowiedź, a sam może nie przekonać go o słuszności mojej oceny Króla. Uknuliśmy więc, że ja wyślę oddział za parę dni, po otrzymaniu dokładnych informacji o miejscu zamieszkania i miejscu pracy oraz po wskazaniu przez kogoś osoby Króla, bo moi ludzie ani skazanego, ani tych danych nie znają. W podobny sposób sprawę tę opisano w sentencji wyroku – dzięki naszym działaniom pan Król uniknął śmierci. Mnie w sądzie nawet o to nie pytano, gdyż nie miało to ścisłego związku z ogólnym aktem oskarżenia.

Mieczysław Krynda – osoba dość kontrowersyjna. Na podstawie opisanych tu faktów można mieć różne zdanie co do jego funkcji w środowisku akowskim. Człowiek o niepełnym wykształceniu wyższym. Młodszy ode mnie o pięć–sześć lat. W wojsku nigdy nie służył, bo studiował. Po ucieczce z Brzeżan przed prześladowaniem Ukraińców zatrzymuje się w Radomiu, potem w Kielcach. W obu tych miejscowościach działa w AK, pod różnymi pseudonimami, pomimo że pomieszkiwał tam krótko. Przenosi się do Czudca, bo tu odnalazł swoją ukochaną Danusię. Od razu wstępuje do AK i od razu otrzymuje pracę w wywiadzie, choć jest nowy w tutejszym środowisku i nieobeznany z okolicą, co przecież ważne. Dziwna sprawa. Mało tego – zostaje łącznikiem dowódcy placówki z obwodem w Rzeszowie, pomimo że nie zna miasta. Jest dobrym patriotą. W Czudcu wiąże Szybkowskiego z rodziną Danusi, co ma skutki tragiczne (opisane wcześniej). Kim jest ten „Perkun"? Jaki ma stopień wojskowy? Jak pracuje ten wywiad (od którego później sam żądam uzupełnień do dawanych mi rozkazów)? Co to za łącznik, który nie zna prawie wcale kadry placówki? Jakoś jednak działa w tym coraz większym chaosie. Nie widziałem go ani raz w oddziale „Burzy". Daje się przekonać w sprawach Husa i Króla. I jakoś to przechodzi gładko, nie po wojskowemu, co rozluźnia dyscyplinę. Rzecz ciekawa: ma pseudonim, jest w samej kadrze placówki i uchodząc na Pomorze, do Złocieńca, nie zmienia nazwiska. Tu nagle rozwija działalność polityczną, za co siedzi we Wronkach cztery lata, a potem jeszcze trzy tygodnie w szpitalu psychiatrycznym, udając umysłowo chorego. Wyjeżdża do Australii z matką i siostrą i tam żyje dotąd z żoną i dwojgiem dzieci. Korespondujemy często ze sobą. Posiadając odpis wyroku dla całej naszej „grupy przestępczej", w roku 1994 złożyłem w sądzie w Szczecinie wniosek o kasację jego sprawy i uzyskałem ją. Następnie wniosłem o wypłacenie mu odszkodowania za czte-

ry lata więzienia. Otrzymał je. Załatwiłem mu też Krzyż Więźnia Politycznego Okresu Stalinowskiego i różne odznaki akowskie. To samo zrobiłem dla naszej koleżanki Krysi Piwar, mieszkającej dotąd w Lwówku Śląskim.

Ślad po placówce AK w Czudcu

W roku 1997 otrzymuję od Kryndy wiadomość, że jego dawna koleżanka, łączniczka z AK w Rzeszowie, nadesłała mu książkę wydaną w Polsce pod tytułem *Placówka AK w Czudcu kryptonim „Czereśnia"*. Książka podobno wydana bardzo starannie, obszerna, z wieloma zdjęciami osób w placówce działających i bogatą treścią, ale przy czytaniu jej obraziło go to, że ani o sobie, ani o mnie nie znalazł tam słowa. O brak informacji na swój temat – pisze – nie ma pretensji, bo nie był w placówce znany i nikogo ze zdjęć też nie zna. Ale ze mną było inaczej, przecież wszyscy wiedzieli, kim jestem, miałem na koncie wiele różnych akcji wojskowych… I ani słowa? Dowódcę placówki nazywają „orłem", a to był łajdak z krwi i kości. Książkę ta jego koleżanka dostała w Gdańsku.

Zacząłem po wrocławskich księgarniach szukać tej publikacji, ale bez skutku. Nigdzie jej nie znają i nie mają. Kierowniczka jednej z księgarni poleciła mi zwrócić się do wydawcy; on może udzielić mi jakichś informacji. Nie zdążyłem jeszcze tego zrobić, kiedy książkę otrzymałem od Kryndy. Przesłał ją, bo – jak pisał – skoro nic tam o nas nie ma, to mu niepotrzebna. Zacząłem wertować.

Autor zastrzega na wstępie, że nie wolno treści książki wykorzystywać żadną drogą i metodą pisarską pod groźbą naruszenia praw autorskich. Wydawnictwo jest sponsorowane przez podane instytucje i przeznaczone jako dar dla rodziców autora i jego najbliższej rodziny. Sprawa prosta i zrozumiała.

Autorem tego dziełka jest pan Włodzimierz Borowiec, urodzony w roku 1923 w Lubeni. (Wieś ta należała – jako jedna z ośmiu – do terenu działania placówki „Czeremcha" w Czudcu[*]). Podaje, że po ukończeniu tam szkoły podjął dalsze kształcenie w Krakowie i Poznaniu. Dochodzi do ukończonych szkół wyższych, stopni naukowych i swoich różnych stanowisk. W czasie okupacji niemieckiej, mając siedemnaście lat, jakiś krótki czas spędza w rodzinnej wsi. Później jednak wybywa stamtąd. I tak biegną kolejne lata poza Lubenią. W roku 1992 przypomina sobie tę swoją wioskę i po zdobyciu sponsorów postanawia wydać książkę, w której chce opisać historię tam działającej placówki AK, opierając się na wiedzy i wspomnieniach kolegów, krewnych, znajomych

[*] W tytule publikacji widzę niedokładność historyczną, bo placówka nasza miała kryptonim nie „Czereśnia", a właśnie „Czeremcha".

z dawnych lat. Kosztowna była to praca, żmudna i długa. Prawie czterdzieści osiem lat to kawał czasu, wiele osób zmarło, wiele coś tam pamięta, ale tak jakoś niedokładnie. Są jakieś zdjęcia. Po tych słabych niteczkach dotarł jednak tu i tam – nawet do ocalonych zapisów archiwalnych z placówki, w których pojawiają się jednak tylko pseudonimy, cyfry, wykazy, zestawienia i tym podobne. To wszystko już spłowiałe, poniszczone. Reszta to opowieści świadków o sobie, o znajomych już nieżyjących, prawdziwe, nieprawdziwe. Czasem trzeba się pochwalić, bo może coś z tego będzie, czasem coś ukryć, zmienić. Różni są ludzie. Wieś Lubenia, jedna z największych w placówce, niewiele uczestniczyła w akcjach dywersyjnych – prowadzono tam raczej przygotowania do zbrojnego ruchu powstańczego w przyszłości – toteż w tym dziełku o wielu z tych akcji nic nie napisano.

Krynda nie miał jednak racji, twierdząc, że o nas nic nie ma. Wertując dokładniej książkę, znalazłem swój pseudonim, datę urodzenia i stanowisko służbowe na tajnych aktach osobowych placówki odbitych na powielaczu. Jest również uwaga, że tak mój brat, jak i ja wyróżnialiśmy się w swojej pracy konspiracyjnej. Pojawia się informacja, że wprowadziłem do grupy „Burzy" największą liczbę żołnierzy. Co więcej: że w domu naszym prowadzone były wykłady tajnego nauczania. Wymieniony też jestem jako członek zakonspirowany placówki i główny dowódca oddziału dywersyjnego na odcinku kolejowym Boguchwała–Czudec. Widocznie Krynda szukał w książce tylko swego nazwiska.

Do posiadanego grubego wydania *Encyklopedii drugiej wojny światowej* mało zaglądam, gdyż stworzona jest z myślą o uwypukleniu polityki, uzbrojenia, sukcesów wojskowych i tym podobnych oraz pełna krytyki tego, co nieruskie. Zatajanie faktów, koślawienie prawdy historycznej i opluwanie w bezczelny sposób wszystkiego, co Rosji przeciwne. Ani słowa o straszliwym mordzie katyńskim, ostaszkowskim i dziesięciu innych, o zdradzieckim podboju połowy państw europejskich, o straszliwych fingowanych procesach kończących się wyrokami śmierci w każdym mieście, ujawnionych po roku 1990…

Kończę opisywanie tych niezapomnianych chwil z uczuciem ulgi w sercu, mając nadzieję, że dalsze losy Polski potoczą się po innych już torach. Pamięć o tamtych latach i wspomnienia niech pozostaną; utrwalać je trzeba w myślach naszych dzieci, by historia nie zatoczyła koła.

Przechodzę do cywilnej już części swojego życia[50] – życia pod komunistycznym parasolem, który przykrywał nasz kraj przez następne czterdzieści pięć lat…

Przypisy końcowe

[1] Od 1907 do 1909 roku dzieci uczyły się w domu wynajętym od Piotra Szczepana, następnie przez rok u Marii Zielińskiej, a od 1910 roku w nowo wybudowanej, murowanej szkole. (Kronika szkoły w Zarzeczu).

[2] Jakub Kucharski uczył w Zarzeczu od 1 stycznia 1920 do 15 listopada 1927 roku. (Kronika szkoły w Zarzeczu).

[3] Towarzystwo Szkoły Ludowej w Zarzeczu powstało 10 listopada 1935 roku z inicjatywy Józefa Pasternaka. Świetlicę utworzono 1 grudnia 1935 roku w zabudowaniach Franciszka Pasternaka. (Kronika szkoły w Zarzeczu).

[4] Był to Jan Wilk – inżynier specjalista łączności satelitarnej, urodzony 27 stycznia 1912 roku w Zarzeczu. Ukończył Pierwsze Gimnazjum w Rzeszowie w 1931 roku, później Wydział Elektrotechniki Politechniki Lwowskiej. Wybuch wojny zastał go na praktyce na Węgrzech, skąd przedostał się do Francji, gdzie ukończył podchorążówkę. W 1940 roku ewakuował się do Anglii. Jako porucznik i szef szkolenia prowadził zajęcia w Pierwszym Korpusie Polskim w zakresie budowy i obsługi stacji nadawczych i odbiorczych. Równocześnie na uczelni w Londynie studiował prądy słabe. Ożenił się z Angielką i po wojnie wyjechał do Kanady. Pracował w Electric Company w Hamilton i innych firmach, stale awansując. Był przedstawicielem Kanady na międzynarodowych sympozjach łączności satelitarnej, stworzył i rozwinął placówkę badawczą, występował z referatami na sympozjach w USA. Był autorem kilku publikacji, między innymi o historii rozwoju nauki satelitarnej w Kanadzie, a także współtwórcą telewizji kolorowej w tym kraju. Zmarł w Kanadzie (data nieznana). (J. Świeboda, *Szkoła charakterów*, Rzeszów 1985, s. 173; zbiory prywatne B. Wilka).

[5] Stanisława Burz-Szczepan.

[6] Franciszek Mac syn Andrzeja – ekonomista, porucznik, urodzony 13 grudnia 1914 roku w Zarzeczu. W 1934 roku ukończył Pierwsze Gimnazjum w Rzeszowie, w 1935 roku Dywizyjną Szkołę Podchorążych w Jarosławiu. W 1939 roku uzyskał absolutorium na Akademii Handlowej w Krakowie. W 1939 roku walczył w 165 Pułku Piechoty, po rozbiciu jednostki wrócił do domu. Następnie przedostał się na Węgry, gdzie został wcielony do wojska polskiego i z nim przez Francję ewakuowany do Anglii. W latach 1940–1941 i 1943–1946 służył w polskich siłach zbrojnych, w tym w brygadzie strzelców kadrowych w Szkocji, a w latach 1941–1943 w armii brytyjskiej, gdzie szkolił oddziały Afrykanów w Nigerii. (J. Świeboda, *Szkoła…*, dz. cyt., s. 162; zbiory prywatne B. Wilka).

[7] Józef Pasternak, Zofia Szczepan-Lasota, Franciszek Mac syn Ignacego.

[8] Władysław Moskwa, Stanisław Szczepan, Stanisław Gaciarz, Jan Wilk syn Franciszka, Józefa Wilk-Mac, Zofia Wróbel-Łozowska.

[9] Obecnie Szkoła Podstawowa nr 3 mieszcząca się przy ulicy Hoffmanowej 11.

[10] Antoni Weiss – kierownik szkoły imienia Henryka Sienkiewicza w latach 1909–1926. (T. Ochenduszko, *Kalendarium. Dzieje Rzeszowa do 1918 roku*, Rzeszów 2006, s. 189).

[11] Ignacy Mac – urodzony w 1881 roku w Babicy, zmarł w 1933 roku w Zarzeczu.

[12] Władysław Szczepan – urodzony w 1889 roku w Zarzeczu i tam zmarły w 1963 roku. Uczestnik pierwszej wojny światowej, obrońca Lwowa w randze sierżanta. W latach 1918 i 1919 uhonorowany odznaką Orlęta. Po wojnie bolszewickiej służył w Przemyślu – w batalionie sanitarnym oraz PCK. Przeszedł na emeryturę w 1936 roku w randze starszego sierżanta. W 1938 roku odznaczony Brązowym Medalem za Długoletnią Służbę. (Zbiory prywatne rodziny Maderów z Zarzecza).

[13] Nie udało się ustalić, jak brzmiało właściwe nazwisko właściciela cukierni: Hoeker (jak podawał autor wyżej) czy Hoekier.

[14] To znaczy po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia.

[15] Stanisław Szczepan syn Piotra.

[16] Obecnie koszary przy ulicy Langiewicza.

[17] Chodzi o Sołonkę w gminie Lubenia, gdzie istnieją źródła solankowe, eksploatowane od szesnastego wieku. Obecnie teren wokół źródeł jest dobrze zagospodarowany – wybudowano tu kaskady solankowe, które wytwarzają jod – i stanowi miejsce wypoczynku dla szerokiej rzeszy ludzi, nawet z bardzo odległych miejscowości. (A. Bielenda, T. Patruś, *Lubenia, dzieje wsi i okolic*, Lubenia 2009, s. 82–83).

[18] Kwestia nazwy placówki w Czudcu jest problematyczna. Jak podaje Eryk Krasucki, w aktach UB i sądu wojskowego pojawia się jako „Czeremcha". Na internetowej stronie Światowego Związku Żołnierzy AK wymieniony jest jednak kryptonim „Czereśnia". (E. Krasucki, *„Podziemne krety". Studium przypadku podziemnej organizacji politycznej w powiecie drawskim (1945–1947). Realia, znaczenie, mit*, [w:] *Drawsko Pomorskie i okolice poprzez wieki. Studia i szkice. Odsłona druga*, red. E. Krasucki, Drawsko Pomorskie 2017, s. 144; A. Wojciechowski, *Podokręg Armii Krajowej Rzeszów kryptonim: „Woda", „Ogniwo", „Rezeda"*, Warszawa 2013–2015, s. 7; https://armiakrajowa.org.pl/pdf/podokreg_rzeszow.pdf, [dostęp: 30.07.2018 r.]).

[19] Franciszek Cupryś, pseudonim „Świder", później „Anczyc" – urodzony 9 lipca 1912 roku w Siedliskach. Szkołę powszechną ukończył w Lubeni w 1925 roku, następnie uczył się zawodu stolarskiego w Jarosławiu i uczęszczał do średniej szkoły dokształcającej, którą ukończył z dyplomem czeladnika stolarza w roku 1930. W roku 1935 został powołany do zasadniczej służby wojskowej. Skierowano go do 17 Pułku Piechoty w Rzeszowie; służbę ukończył w stopniu kaprala po przeszkoleniu w szkole podoficerskiej. 5 maja 1936 roku został przeniesiony do rezerwy. Po ćwiczeniach rezerwy w 1937 roku awansował na plutonowego; po kolejnych ćwiczeniach, w 1939 roku – na sierżanta, dowódcę plutonu. Uczestniczył w wojnie obronnej w 1939 roku. Brał udział w walkach w okolicach Końskiego, Szydłowca i Iłży. Po tym, jak jego oddział został rozbity, wrócił do Babicy, do żony. Wiosną 1942 roku zaprzysiężony do Armii Krajowej; otrzymał pseudonim „Świder". Powołany do szkolenia młodzieży akowskiej w placówce „Czereśnia"; był instruktorem w konspiracyjnej szkole podoficerskiej w Czudcu. Brał udział we wszystkich akcjach organizowanych przez „Czereśnię". Wiele z nich sam inspirował i przygotowywał, jak np. zdobycie broni niemieckiej w Czudcu i w Babicy, akcję likwidacji konfidentów, akcję na Deutsches Haus w Rzeszowie. W maju 1944 roku objął dowództwo plutonu dywersyjnego. Zmarł 7 lipca 2000 roku. (W. Borowiec, *Placówka Armii Krajowej w Czudcu kryptonim „Czereśnia"*, Rzeszów 1997, s. 182).

[20] Jedną z akcji sabotażowych było zarekwirowanie czterech pięćdziesięciokilogramowych beczek masła kontyngentowego przewożonego z Czudca do Rzeszowa. Akcja ta odbyła się przed wiaduktem kolejowym w Lutoryżu, na tak zwanym Poklasnym, a dowodził nią

Cupryś, pseudonim „Świder". Udział w niej brali jeszcze Ignacy Wilk syn Ludwika, pseudonim „Juno", i Aleksander Mulcan, pseudonim „Ali". Dwie beczki wziął do mleczarni w Staromieściu Stachak, pseudonim „Róża", a dwie zostały rozdysponowane wśród potrzebujących. (Zbiory prywatne B. Wilka – relacja ustna F. Cuprysia, pseudonim „Świder").

[21] Doktor Adolfina Karol, pseudonim „Fiolka" – urodzona w 1902 roku, pochodząca ze Strzyżowa lekarka AK. Oprócz placówki „Czereśnia" miała pod swoją opieką również niektóre oddziały placówek „Śliwa" (Niebylec i Strzyżów) oraz „Sława" (Sędziszów). (W. Borowiec, *Placówka Armii Krajowej…*, s. 183).

[22] Do Zarzecza weszli nocą, jak wynika z jednej tylko relacji. Zachowywali się tak cicho, że nikt nie słyszał, jak wprowadzali muły do nowo wybudowanej stodoły, a sami zajęli drugą. Właścicielka zobaczyła ich śpiących dopiero rano, kiedy szła po siano dla bydła. (Zbiory prywatne B. Wilka – relacje ustne Z. i I. Wilków).

[23] Na obserwacji był Eugeniusz Szczepan, odbierał skrzynki Franciszek Kocząb i przekazywał dwóm braciom – Stanisławowi i Antoniemu Gaciarzom, którzy ukrywali je w zbożu. (Zbiory prywatne B. Wilka – relacja ustna S. Gaciarza).

[24] Sten – pistolet maszynowy, kaliber dziewięć milimetrów; ciężar – około trzech kilogramów, długość – siedemdziesiąt pięć centymetrów. Przeznaczony do walki na małą odległość (kilkanaście metrów). Strzela się nim bez celownika spod pachy, w oparciu o brzuch lub z ramienia. Celując, można uzyskać lepszy wynik, ale traci się na czasie. Maksymalna skuteczna donośność stena wynosi około stu osiemdziesięciu metrów. Nadaje się do niego amunicja amerykańska, angielska, belgijska, niemiecka (parabellum). (W. Borowiec, *Placówka Armii Krajowej…*, dz. cyt., s. 87).

[25] Jan Szczepan syn Andrzeja i Katarzyny z domu Paja, pseudonim „Komar" – urodzony 15 października 1921 roku, zmarły 22 lipca 1944 roku w Babicy. (M. Mac, Z. Domino, *Rodziny Szczepan z Babicy i Zarzecza w latach 1730–2013*, Babica 2013, s. 73 [maszynopis]; zbiory prywatne Z. Domino).

[26] Jan Szczepan – zob. przyp. 25. Zygmunt Hawryłów syn Michała i Marii z domu Czepidło – urodzony 7 marca 1919 roku, zmarły 8 maja 2010 roku. Stanisław Gaciarz syn Jakuba i Pauliny z domu Kolasa, pseudonim „Oset" – urodzony w Zarzeczu 7 marca 1916 roku; powołany do wojska 23 marca 1939 roku, wcielony do 17 Pułku Piechoty w Rzeszowie, przydzielony do 6 kompanii strzeleckiej. 1 września 1939 roku brał udział w walce z Niemcami pod Tuchowem; po rozbiciu jednostki 15 września 1939 roku powrócił do domu. Do ZWZ zaprzysiężony przez autora. Zmarł 24 stycznia 1990 roku. (M. Mac, Z. Domino, *Rodziny Szczepan z Babicy i Zarzecza…*, dz. cyt., s. 73; zbiory prywatne B. Wilka).

[27] Na tych terenach najbardziej zaawansowane plany wysiedlenia mieszkańców obejmowały Zarzecze. Jest to bowiem miejscowość leżąca na równinie, podczas gdy inne okoliczne wsie położone są na pagórkach, dlatego też miały być zasiedlane przez Niemców w dalszej kolejności. Wszystkie budynki mieszkalne i gospodarcze w Zarzeczu zostały w odpowiedni sposób, z niemiecką dokładnością, ponumerowane i skatalogowane. U Przerwanków mieszkali Łuszczyński i Tomaszek – geodeci, którzy pracowali nad scaleniem rozdrobnionych przecież gospodarstw. Całe Zarzecze miało być w posiadaniu dwóch niemieckich bauerów. Część mieszkańców chciano pozostawić jako siłę roboczą, resztę zaś wysiedlić. Przygotowywano się do tego intensywnie. Została uregulowana lokalna rzeczka, Matnia. W niedalekiej przyszłości miała płynąć nowym korytem, przecinając pola zarzeckie, i odbierać wodę z przygotowywanego systemu melioracyjnego. Po polach rozwożono już rurki drenarskie. Wtedy to został wykonany przekop łączący płynącą z lasu przez Lutoryż Lu-

terkę z Matnią. Ze względu na sytuację na froncie Niemcy nie zdążyli niestety przekopać nowego koryta i rzeczki łączą się pod kątem prostym, co jest do dnia dzisiejszego utrapieniem zarzeckich właścicieli gruntów położonych nieopodal, bo po większych deszczach woda, która płynie z lutoryskiego lasu, zalewa wszystkie pola. (Zbiory prywatne B. Wilka).

[28] Ludwik Garlak, pseudonim „Skała" – urodzony 2 lipca 1911 roku w Lubeni. Służył w latach 1932–1934 w 48 Pułku Piechoty w Stanisławowie; służbę ukończył w stopniu kaprala. Po ćwiczeniach wojskowych w 1937 roku mianowany na plutonowego. W ZWZ od 1941 roku. Został dowódcą drużyny. W latach 1943–1944 szkolił drużyny Wojskowej Służby Ochrony Powstania i był dowódcą plutonu w Lubeni. Zmarł 14 października 1996 roku w Lubeni. (W. Borowiec, *Placówka Armii Krajowej…*, dz. cyt., s. 183; zbiory prywatne B. Wilka).

[29] Tunel schronowy w Strzyżowie, pod Górą Żarnowską, został wybudowany przez Niemców w latach 1940–1941. Wchodził w skład kompleksu schronowego Anlage Süd w Stępinie–Cieszynie i Strzyżowie. Oprócz tunelu kolejowego wzniesiono również obiekty pomocnicze, między innymi schrony zaplecza i tunel instalacyjno-komunikacyjny. W dniach 27–28 sierpnia 1941 roku w tunelu zatrzymał się pociąg sztabowy Hitlera Ameryka, co było związane ze spotkaniem Hitlera z Mussolinim w Stępinie. Po wojnie tunel wykorzystywany był do różnych celów, między innymi jako magazyn-lodownia Centrali Rybnej czy garaż Spółdzielni Transportu Wiejskiego. W latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku był otwarty. Rozkradzione zostały wówczas elementy wyposażenia, także szyny kolejowe. Obecnie jest udostępniony do zwiedzania przez Muzeum Samorządowe Ziemi Strzyżowskiej. (http://www.lgdleader.itl.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=198:tunel-schronowy-w-strzyowie&catid=39:atrakcje-turystyczna&Itemid=117, https://www.youtube.com/watch?v=T5IYf0kzCz8&feature=youtu.be, https://www.strzyzow.pl/pol/pages/tunel [dostęp: 9.08.2018 r.]).

[30] Autor pomylił dwie lokalizacje mostów na Wisłoku: na granicy Czudca i Zaborowa, w pobliżu lasu, oraz w Żarnowej, przy wylocie tunelu schronowego. Z kontekstu wynika, że chodzi jednak o mosty w Żarnowej.

[31] Tadeusz Szybkowski syn Stanisława – urodzony 6 stycznia 1911 roku w Pstrągowej. Ukończył studia prawnicze na uniwersytecie we Lwowie. Wojna zastała go u ojca w Czudcu. W ZWZ od 1940 roku; w maju 1944 roku został dowódcą placówki AK „Czereśnia" w Czudcu. Aresztowany przez NKWD, wywieziony do Stalinogorska, niedługo potem, w 1946 roku, zwolniony. Pracował na Śląsku i Pomorzu. Zmarł 22 czerwca 1959 roku, pochowany został w Gdańsku. (W. Borowiec, *Placówka Armii Krajowej…*, dz. cyt., s. 175).

[32] Władysław Moskwa syn Fabiana, pseudonim „Bóbr" – urodzony w 1921 roku w Zarzeczu, zmarły 1 lutego 1994 roku. (Zbiory prywatne B. Wilka).

[33] Ludwik Bieda syn Jakuba, pseudonim „Kot" – urodzony w 1919 roku w Babicy; zastępca dowódcy plutonu dywersyjnego. (Zbiory prywatne B. Wilka).

[34] Nieco inaczej sytuację przedstawiają Tomasz Machowski i Grzegorz Nycz (T. Machowski, G. Nycz, *Koleją z Jasła do Rzeszowa. Najciekawsze linie kolejowe Polski*, Rybnik 2014, s. 73 wraz z przypisem 28, za: J. Nowakowski, *Jak walczono o żarnowskie mosty,* [w:] tenże, *Akowskie tematy. (Placówka AK Strzyżów – „Śliwa" 88B)*, Strzyżów 2006, s. 178). W 1969 roku na pamiątkę obrony mostów w Żarnowej w ich sąsiedztwie postawiono pomnik w formie betonowego postumentu z armatą i tablicą, na której widnieje napis: „Tu 28 lipca 1944 roku miejscowy oddział AK w walce z okupantem niemieckim ochronił mosty przed zniszczeniem. W XXV rocznicę PRL ZBOWiD. Żarnowa 1969". Obecnie obok pomnika stoi przęsło mostu kolejowego rozebranego w 2013 roku. Wieś za bohaterską akcję obro-

ny mostów i działalność partyzancką została odznaczona Krzyżem Walecznych. (https://www.strzyzow.pl/pol/pages/zarnowa [dostęp: 10.08.2018 r.]).

[35] Były dwie mogiły: jedna na skrzyżowaniu dróg obok domu Szczepana, druga kilka metrów dalej, pod krzyżem, na posesji Kotowicza. Żołnierz pochowany na rozstaju dróg został zastrzelony przez innego rosyjskiego żołnierza, pijanego. Do scysji między nimi doszło obok dachówczarni Alojzego Włocha. Jeszcze inny natomiast sołdat, też pijany, utrącił kolbą karabinu ręce Panu Jezusowi z krzyża, który stał w pobliżu. Tak się złożyło, że nie minęło kilka dni po tym incydencie, jak przywieźli tego żołnierza poważnie rannego do szpitala, który był u Szczepanów. Kiedy już wiedział, że umrze, błagał, żeby go pochować obok tego krzyża (figurka Pana Jezusa z utrąconymi rękami, świadek tamtego zdarzenia, znajduje się u B. Wilka). Na grobie na skrzyżowaniu dróg był wbity palik, do którego przytwierdzono medal za odwagę i czerwoną gwiazdę. W 1947 lub 1948 roku obie mogiły ekshumowano. Czynności tej dokonał – na pewno pod nadzorem jakichś służb sanitarnych – mieszkaniec Zarzecza, Dominik Mac. Powtórnie pochowano żołnierzy albo na starym cmentarzu w Zwięczycy, obok torów kolejowych, albo na Wilkowyi, na cmentarzu żołnierzy radzieckich. (Zbiory prywatne B. Wilka – relacje S. Gaciarza, T. Wróbla i S. Wilka).

[36] Rozwiązanie AK nastąpiło 19 stycznia 1945 roku, a więc później, niż to wynika z tekstu pamiętnika. Czyżby autorowi pomyliły się daty, a spotkanie odbyło już po jego ucieczce z transportu na Sybir (listopad 1944 roku) i po okresie ukrywania się w okolicznych miejscowościach (początek 1945 roku)?

[37] Alfred Szadkowski, pseudonim „Dęboróg" – urodzony 2 listopada 1914 roku we Włocławku. Ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Warszawie, następnie został skierowany do Sokala. Tuż przed wojną wrócił do Warszawy i był adiutantem generała Juliusza Rómmla. Podczas obrony Warszawy został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari za obronę Czerniakowa. Poszukiwany przez Niemców, opuścił Warszawę i w 1941 roku właściciel Czudca, Witold Uznański, zatrudnił go jako leśniczego w swoich lasach. W placówce „Czereśnia" był oficerem organizacyjnym i szkoleniowym, zastępcą dowódcy placówki. Zginął 27 lipca 1944 roku. (W. Borowiec, *Placówka Armii Krajowej…*, dz. cyt., s. 180).

[38] Stanisław Pasternak syn Franciszka i Katarzyny z domu Dolińskiej – urodzony 22 kwietnia 1923 roku w Zarzeczu, zmarły 30 października 2010 roku w Lutoryżu. (Zbiory prywatne B. Wilka).

[39] Jan Huss – urodzony 28 grudnia 1903 roku w Czudcu, zmarły 25 stycznia 1972 roku w Rzeszowie. Pracował jako ślusarz w Rzeszowie, następnie w warsztatach PKP w Stryju i we Lwowie do początku 1944 roku. Aktywnie działał tam w Związku Zawodowym Kolejarzy i Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. W obawie przed aresztowaniem powrócił w rodzinne strony, gdzie został członkiem Polskiej Partii Robotniczej, a następnie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i sprawował tam różne funkcje. W latach 1945–1948 wiceprezydent, a w okresie 1948–1950 prezydent Rzeszowa. W latach 1950–1952 kierował Wydziałem Administracyjnym KW PZPR w Rzeszowie, a w latach 1952–1953 był naczelnikiem Wydziału X Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Rzeszowie. Później zajmował kierownicze stanowiska w budownictwie. Od 1960 roku przewodniczący Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych w Rzeszowie. Odznaczony między innymi Orderem Sztandaru Pracy I i II klasy. (https://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Huss, http://serwisy.wimbp.rzeszow.pl/sl_h.html [dostęp: 9.08.2018 r.]).

[40] Różanka – część miasta położona w miejscu obecnej ulicy Słowackiego, pierwotnie ulicy Różanej, wymienionej w dokumentach z 1772 roku. Nazwa „Różanka" pojawia się w roz-

porządzeniu Jerzego Ignacego Lubomirskiego z 1724 roku. (*Encyklopedia Rzeszowa*, Rzeszów 2004, s. 539).

41 Józef Urban syn Franciszka i Anieli z domu Szczepan – urodzony 18 sierpnia 1924 roku w Babicy, zmarł 6 sierpnia 2000 roku. (Zbiory prywatne Z. Domino).

42 Autor przekręca nazwisko, chodzi o Bronisława Stęgę syna Franciszka i Rozalii, urodzonego 28 marca 1919 roku w Krasnem. Stęga należał do WiN, od 1942 do 1943 roku do AK (pseudonim „Kolejarz"). Został skazany wyrokiem sądu na karę śmierci z innym mieszkańcem Krasnego. Wyrok wykonano 17 czerwca 1946 roku. Egzekucja odbyła się publicznie, przed synagogą przy ulicy Mickiewicza w Rzeszowie. (Zbiory prywatne B. Wilka).

43 Autor najpierw ukrywał się u Jakuba Wróbla w Zarzeczu. Dom Wróbla stał obok torów kolejowych, w dość odludnym w tamtym czasie miejscu.

44 Władysław Moskwa (zob. przyp. 32).

45 Prawdopodobnie chodzi o samochód Pobieda, Warszawa była produkowana na licencji Pobiedy w FSO dopiero od 1951 roku. (https://pl.wikipedia.org/wiki/GAZ-M20_Pobieda [dostęp: 30.07.2018 r.]).

46 Jest mało prawdopodobne, żeby członkowie tej placówki uczestniczyli w akcji na tak odległym terenie, jak Dynów. Być może chodzi o zrzut broni w Gwoźnicy w grudniu 1943 roku. W ubezpieczaniu tego zrzutu brało jeszcze udział dwóch żołnierzy z Zarzecza: Władysław Mac, pseudonim „Torpeda", i Ignacy Wilk, pseudonim „Żbik". (B. Pilarz, B. Stec, M. Złotek, *Pstrągowa – nasza mała ojczyzna*, Rzeszów 2009, s. 66; zbiory prywatne B. Wilka – relacja I. Wilka).

47 W akcji tej brało udział dwóch żołnierzy AK z Zarzecza – autor oraz Stanisław Gaciarz. Na miejsce akcji szli pieszo po prawej stronie Wisłoka, niosąc ze sobą drabinę, która potrzebna była do przedostania się za mury więzienne, ale także do pokonania naturalnych przeszkód spotykanych po drodze, takich jak wpadające do Wisłoka rzeczki. Podczas akcji Stanisław Szczepan był przydzielony do grupy forsującej mur, natomiast Stanisław Gaciarz miał za zadanie zabezpieczenie odwrotu i ewakuacji więźniów. Mieli oni uciekać promem przez Wisłok, w kierunku przysiółka Przylasek w Hermanowej. W związku z tym zabrano z domu właściciela promu, Stanisława Nitkę. Stanisław Gaciarz pilnował Nitki na promie, czekając na rozwój wypadków. Akcja się nie udała. W drodze powrotnej, gdzieś w Siedliskach, Gaciarz i Szczepan usiedli potwornie zmęczeni. Przeżyty stres i rozgoryczenie, że cały wysiłek poszedł na marne, utwierdziły obu w przekonaniu, że to ich ostatnia akcja. Czarę goryczy przelało to, że siedząc tak, widzieli, jak w niektórych domach zapalało się światło, a wypoczęci i wyspani ludzie wstawali rano, gdy oni byli tak wykończeni i sponiewierani. (Zbiory prywatne B. Wilka – relacja S. Gaciarza).

48 Według Eryka Krasuckiego chodzi o Józefa Malinowskiego (E. Krasucki, *„Podziemne kręty". Studium przypadku…*, dz. cyt., s. 145).

49 Feliks Wilk – urodzony w Zarzeczu w 1883 roku, zmarł 7 sierpnia 1956 roku. Od 16 marca 1935 roku do końca wojny wójt w gminie Czudec. (B. Pilarz, B. Stec, M. Złotek, *Pstrągowa…*, dz. cyt., s. 33).

50 Istnieje druga część pamiętnika; dotyczy kwestii osobistych i pracy autora w centrali meblarskiej.

Posłowie

Stanisław Szczepan jest reprezentantem pokolenia, które wyrosło na ideałach II Rzeczypospolitej i do którego osiągnięć odwołujemy się nieustannie w życiu społecznym i politycznym. Jest to pokolenie pod wieloma względami wyjątkowe. Łączy je przede wszystkim wspólnota doświadczeń, zarówno tych z lat szkolnych, jak i tych zdobytych na polu walki.

Czytając wspomnienia „Szarego", możemy sobie uzmysłowić, jak wielka była wówczas, w okresie II Rzeczypospolitej, afirmacja służby – przede wszystkim społeczeństwu i ojczyźnie. Odnajdujemy w nich pochwałę służby wojskowej i systemu szkolenia w przedwojennej armii, która w powszechnym mniemaniu była głównym gwarantem suwerenności i niepodległości państwa. Szczegółowy i malowniczy opis szkolenia w pododdziałach Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) stanowi wyjątkowe i bardzo cenne źródło do badań nad dziejami tej formacji. Na kartach książki pojawia się wiele postaci historycznych. Poznajemy między innymi Wacława Jacynę, jednego z bohaterów września 1939 roku, oficera dyplomowanego inżynierii i saperów Wojska Polskiego i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, oficera Sztabu Głównego Wojska Polskiego i późniejszego dowódcy słynnego 13 Wileńskiego Batalionu Strzelców w czasie kampanii włoskiej, odznaczonego za służbę Złotym Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Pojawia się także ppłk Tadeusz Tabaczyński, wsławiony w okresie wojny polsko-bolszewickiej i powstań śląskich, wieloletni wykładowca Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej-Komorowie, Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie, Komendant Centralnej Szkoły Podoficerskiej KOP w Osowcu oraz legendarny dowódca twierdzy Osowiec. W czasie wojny obronnej 1939 roku ppłk Tabaczyński dowodził między innymi pułkiem wchodzącym w skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" gen. Kleberga, walczącej między innymi pod Kockiem. Od 1939 roku tworzył struktury konspiracji wojskowej na terenie okupacji niemieckiej i sowieckiej. Pełnił funkcje dowódcze w ZWZ-AK, między innymi zastępcy komendanta Okręgu Lwów AK. Wśród wielu postaci pojawiających się na łamach wspomnień warto także wymienić mjr. Władysława Raginisa, oficera KOP i sławnego, heroicznego obrońcy we wrześniu 1939 roku odcinka „Wizna", który nazwano „polskimi Termopilami".

Najciekawsza z historycznego punktu widzenia jest część wspomnień dotycząca okupacji niemieckiej i tak zwanego utrwalania władzy ludowej w powojennej Polsce. Przede wszystkim z uwagi na utrzymujący się przez długi czas ograniczony dostęp do źródeł pisanych z tamtego okresu. Dopiero dzisiaj, biorąc pod uwagę stan wiedzy historycznej, można próbować odnieść się do wielu opisanych w książce wydarzeń, rzucając na nie nieco więcej światła. Niewątpliwie autor był zaangażowany w tworzenie konspiracji niepodległościowej na terenie powiatu rzeszowskiego. Jako dowódca miejscowych oddziałów AK i Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ), utrzymując stały kontakt z kadrą oficerską różnego szczebla dowodzenia, miał wyjątkową możliwość poznania kulis wielu wydarzeń o dużym znaczeniu historycznym. Pomimo licznych walorów poznawczych i opisowych ten fragment książki może jednak nieco rozczarować bardziej wyrobionego i zapoznanego z lokalną historią czytelnika. Przede wszystkim autor pisze bardzo ostrożnie i dość oględnie, ewidentnie z zamiarem uniknięcia sytuacji wymagającej podawania większej liczby nazwisk i pseudonimów ludzi zaangażowanych w konspirację. Nie znajdziemy tutaj również zbyt wielu informacji, które rzucałyby nowe światło na liczne, obrosłe legendami, działania lokalnego podziemia niepodległościowego. Dotyczy to chociażby działalności zbrojnej oddziału partyzanckiego „Dzwon" i obwodowej partyzantki pod kryptonimem „Rakieta" z okresu okupacji niemieckiej, ale przede wszystkim podziemnego ruchu antykomunistycznego. Autor prześlizguje się jedynie po tym okresie, podkreślając zwłaszcza niechęć do zabijania i pozostawiając wiele w sferze domysłów. A przecież mamy wówczas do czynienia między innymi z likwidacją przez podziemie komendanta posterunku MO w Czudcu Andrzeja Rozborskiego, Władysława Tokarza z Woli Czudeckiej i niejakiego Bilewicza, o których to akcjach autor w ogóle nie wspomina, mimo że musiał o nich wiedzieć. To samo dotyczy pomniejszania w tekście roli akowców z Lubeni, co również jest zaskakujące, zwłaszcza że Rozborskiego zlikwidowali żołnierze z oddziału Ignacego Soleckiego „Jaskółki" z Lubeni. Żołnierze „Jaskółki" brali także udział w nieudanej próbie likwidacji działacza komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej (PPR) Stanisława Króla i nieudanej próbie rozbrojenia posterunku MO w Czudcu w czerwcu 1945 roku, której to opis we wspomnieniach autora wydaje się co najmniej enigmatyczny. „Szary" całkowicie pominął również skład wystawionej przez placówkę drużyny, która wzięła udział w nieudanej próbie uwolnienia więźniów z rzeszowskiego zamku w październiku 1944 roku, chociaż sam brał udział w tej akcji. Dzisiaj wiemy, że w oddziale tym

znalazł się między innymi Jan Konopka „Cyma", adiutant dowódcy placówki „Sasa". Nie wiadomo, z czego wynika ta daleko idąca wstrzemięźliwość autora wspomnień, zwłaszcza że z kontekstu możemy się domyślać, iż ten fragment został napisany w latach 90. XX wieku, a więc już po upadku systemu komunistycznego. Brak szczegółów ma niebagatelne znaczenie z punktu widzenia lokalnej historii i jest o tyle zaskakujący, że dotyczy świadectwa żołnierza pełniącego w konspiracyjnym wojsku funkcje dowódcze, na którym spoczywa wyjątkowa odpowiedzialność za przekazanie historii następnym pokoleniom i ocalenie pamięci o zasługach swych podwładnych i dowódców oraz o strukturach konspiracji w terenie. Wydaje się, że sama świadomość ulotności ludzkiej pamięci i braku źródeł nakazywałaby autorowi podjęcie takiego trudu. Niestety jest inaczej. Owszem, otrzymujemy solidną dawkę informacji o wydarzeniach, w które zaangażowany był autor, okraszoną dodatkowo ich subiektywną oceną, ale brakuje w nich wiadomości o ludziach podejmujących odpowiedzialność za konkretne działania, wydających rozkazy i je wykonujących. Czyżby chodziło o unikanie tematów kontrowersyjnych, których wyjaśnienie wymagałoby bardziej pogłębionej analizy? Tego prawdopodobnie już się nie dowiemy.

Z ogromnym żalem należy przyjąć także fakt, że autor zrezygnował z jakiegokolwiek szczegółowego opisu kluczowych dla działalności lokalnego podziemia wydarzeń, w których jak sam podkreśla, uczestniczył. Chodzi przede wszystkim o organizację i przebieg alianckiego zrzutu broni i wyposażenia oraz nieudaną próbę odbicia więźniów z więzienia na rzeszowskim zamku, którą to akcją dowodził bezpośrednio mjr Łukasz Ciepliński. Ich opis miałby niewątpliwie olbrzymią wartość historyczną. Nie znamy powodów, dla których autor zrezygnował z tych relacji. Z tekstu wynika, że był to wybór świadomy. Być może brał się ze zwykłej ostrożności i poczucia odpowiedzialności za kolegów z konspiracji, spośród których bardzo wielu uniknęło represji komunistycznych i pozostało anonimowych. Mogło to także być wynikiem pewnych uwarunkowań środowiskowych, w których przyszło żyć i pracować autorowi wspomnień. Wstrzemięźliwość ta kontrastuje bowiem z bardzo charakterystycznym i pod wieloma względami wyjątkowym stosunkiem autora do lokalnych komunistycznych działaczy. Według niego ludzie ci nie stanowili żadnego zagrożenia dla miejscowej konspiracji, wręcz przeciwnie – wielu z nich miało wręcz wspierać swymi działaniami lokalne struktury AK. Trzeba przyznać, że ze względu na rangę postaci oraz zajmowane stanowiska w konspiracji niepodległościowej jest to ocena dość niespotykana. Zwłaszcza że kontrastuje z późniejszymi opisami pacyfikacji

urządzanych przez sowieckie NKWD, przedstawianymi brutalnymi przesłuchaniami w katowniach „Smiersza" i organizacją wywózki żołnierzy AK do łagrów. Ocena systemu komunistycznego jest przy tym jednoznacznie negatywna. Jednak autor zdaje się utwierdzać czytelnika w przekonaniu, że lokalni komuniści nie mieli nic wspólnego z tymi represjami, nie dostrzegając lub też nie wiedząc o agenturalnym i prosowieckim charakterze miejscowej PPR. Sam wskazuje powody takiego, a nie innego stosunku do miejscowych komunistów. Okazuje się bowiem, że był spowinowacony z Janem Hussem, który od lat 30. XX wieku był między innymi członkiem egzekutywy Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy (KPZU), a później wysokim dygnitarzem PZPR, oraz jego bratem Andrzejem Hussem, również członkiem PPR i PZPR, o którym wyraża się w samych superlatywach, podkreślając jego zasługi we wspólnej z AK walce z niemieckim okupantem. Co zaskakujące, podaje tutaj przykład współdziałania Andrzeja Hussa z AK podczas jego pracy w gminnej komisji wydającej tak zwane kenkarty. Dzisiaj zdajemy sobie sprawę, że była to sytuacja bardzo niebezpieczna dla trwałości struktur konspiracji niepodległościowej, zwłaszcza w obliczu nadciągającej okupacji sowieckiej. Czy autor, doświadczony żołnierz i konspirator, mógł o tym nie wiedzieć? To bardzo mało prawdopodobne, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę docierające do niego odpisy meldunków wywiadu AK i rozkazy komendy rzeszowskiego obwodu AK dotyczące likwidacji Hussa.

„Szary" mógł rzeczywiście nie wiedzieć o tym, że informacje o ewentualnej agenturalnej roli Hussa pochodziły z bardzo dobrych akowskich źródeł, umieszczonych wewnątrz PPR. Członkiem Komitetu Dzielnicowego PPR w Czudcu był bowiem Józef Lib „Bruzda", pozostający w bezpośrednim kontakcie z komendantem Inspektoratu AK Rzeszów mjr. Łukaszem Cieplińskim. Z kolei Piotr Moskwa „Spytek" z Czudca działał jako oficer kontrwywiadu AK w miejscowych strukturach PPR i Armii Ludowej (AL). Nie usprawiedliwia to jednak podejmowanych przez autora prób dość naiwnego wytłumaczenia przyczyn tajemniczej śmierci Alfreda Szadkowskiego „Dęboroga", który pełnił funkcję zastępcy dowódcy placówki AK Czudec, oraz licznych wsyp wśród miejscowych żołnierzy AK, spośród których bardzo wielu trafiło do sowieckiej niewoli, a stamtąd do łagrów. Tłumaczenie tych zdarzeń jakąś rzekomo dwuznaczną postawą oficerów z kręgów dowódczych czudeckiej placówki nie jest niestety oparte na żadnych przekonujących dowodach i wygląda na obarczone dodatkowo ciężarem osobistych animozji. Nie może zatem stanowić odpowiedzi na pytania dotyczące ewentualnej zdrady w kręgach AK. Wątpliwości budzą także okoliczności związane ze stanowczą od-

mową wykonania przez autora rozkazu likwidacji członków PPR Andrzeja Hussa i Stanisława Króla, którzy posiadali olbrzymią wiedzę o miejscowych strukturach konspiracji niepodległościowej. Musiało się to spotkać z ostrą reakcją ze strony dowództwa rzeszowskiego obwodu DSZ, o czym autor nie wspomina. Według późniejszych zeznań jednego z byłych dowódców placówki DSZ w Czudcu, „Szary" miał się wymigiwać od tego zadania, tłumacząc się dobrą znajomością z osądzonymi.

Dzisiaj, z perspektywy czasu i ze względu na dynamiczny rozwój historiografii dotyczącej omawianego okresu, można powiedzieć i napisać o wiele więcej na temat roli, jaką odgrywała PPR w rozpracowaniu przez sowiecki kontrwywiad miejscowych struktur podziemia. Warto przy tym wspomnieć, że już od wiosny 1944 roku działał na tym terenie st. lejtnant Armii Czerwonej Aleksiej Anisimowicz Biełozierow, Rosjanin przeszkolony przez Polski Sztab Partyzancki podległy Centralnemu Biuru Komunistów Polskich w ZSRR. Jego celem było przede wszystkim rozpoznanie sił i paraliżowanie działań polskiego podziemia dla sowieckich celów wywiadowczych oraz organizowanie struktur AL, w tym również jej wywiadu. Wydaje się, że Biełozierow miał wiele osiągnięć na tym polu między innymi dzięki wykorzystaniu informacji pochodzących od działaczy PPR. W czerwcu 1944 roku udało mu się zlikwidować w okolicach Niechobrza dwóch żołnierzy oddziału partyzanckiego AK „Rakieta", w tym jego dowódcę, ppor. Romana Dziadka „Kosa". Mógł mieć również na sumieniu śmierć „Dęboroga". Akcje te nie były przypadkowe. Komitet Dzielnicowy PPR w Czudcu podlegał bowiem szczególnej ochronie ze strony wywiadu sowieckiego ze względu na zaplecze wywiadowcze, kadrowe i propagandowe. Od kwietnia 1944 roku w Czudcu i Mogielnicy odbywały się cykliczne obrady komitetu okręgowego PPR, a w lipcu na tym terenie miało miejsce pierwsze posiedzenie powiatowej rady narodowej.

Nie sposób nie odnieść się również w krótkich słowach do okresu WiN-owskiego wspomnień, kiedy to autor, używając fałszywego nazwiska, współtworzył na początku 1946 roku siatkę organizacji Wolność i Niezawisłość na terenie Pomorza Zachodniego. Opis tej działalności wydaje się nadzwyczaj krótki. Nie są wymieniani tutaj żadni konspiratorzy z Rzeszowszczyzny z wyjątkiem Kryndy i Szybkowskiego, a przecież było ich tam wówczas wielu i pełnili ważne funkcje.

Fragment książki dotyczący okoliczności związanych z aresztowaniem przez sowieckie organa bezpieczeństwa oraz ucieczki z transportu do łagru należy do najlepszych pod względem literackim. Autor, używając prostego

języka i krótkich, nierozbudowanych zdań potrafił znakomicie ukazać grozę sytuacji, w jakiej znalazło się tysiące żołnierzy AK. Na szczególną uwagę zasługuje postać współuczestnika ucieczki z transportu kolejowego i towarzysza wędrówki do domu – Bronisława Stęgi ps. „Kolejarz", żołnierza placówki AK w Słocinie, uczestnika wielu akcji dywersyjnych skierowanych przeciwko Niemcom i Sowietom, legendarnego uczestnika tak zwanej rzeszowskiej „Kośby", czyli udanej likwidacji gestapowców Flaschkego i Pottebauma 25 maja 1944 roku. W 1946 roku Stęga został ponownie aresztowany i skazany na karę śmierci. Wyrok przez powieszenie wykonano publicznie na tak zwanym rynku giełdowym w Rzeszowie 17 czerwca 1946 roku. Władze komunistyczne informowały wówczas społeczeństwo, że wieszają groźnego bandytę. Dlatego relacja „Szarego" o ich wspólnej ucieczce stanowi nieznane dotąd i pod wieloma względami wyjątkowe źródło do badań nad biografią tego żołnierza, którego losy, a zwłaszcza śmierć, mają wymiar symboliczny dla całego jego pokolenia. Symbolikę tę wzmacnia dodatkowo i w sposób wręcz zatrważający stojący do dzisiaj niedaleko miejsca jego egzekucji Pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej.

Wydanie wspomnień Stanisława Szczepana „Szarego" w znakomity sposób uzupełnia lokalną historiografię i ma niewątpliwie olbrzymie znaczenie kulturotwórcze, przyczyniając się do podtrzymywania pamięci historycznej i tożsamości narodowej wśród miejscowej społeczności. Będzie to z pewnością ciekawa lekcja żywej historii dla każdego, kto zdecyduje się sięgnąć po to wyjątkowe pod wieloma względami wydawnictwo. Książka ta stanowi bowiem żywy dowód na bogactwo historyczne tej części Rzeszowszczyzny oraz wskazuje drogę badaczom historii i ludziom, którzy być może dzięki niej odkryją w sobie pasję szukania i dokumentowania śladów przeszłości. Bo przecież historia to również walka o pamięć. To walka z upływającym czasem, kiedy ma się świadomość, że odchodzą z tego świata ostatni przedstawiciele pokolenia „Szarego", nie zostawiając czasem po sobie żadnych relacji i wspomnień. To walka o pamięć po wielu Żołnierzach Wyklętych, którzy podobnie jak „Szary" przez całe życie musieli milczeć na temat między innymi wielu wydarzeń opisanych w tej książce. Nie mogli sobie pozwolić na pisanie wspomnień i odbieranie zaszczytów, jak to miało miejsce w przypadku działaczy PPR, funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (UBP), MO, Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej (ORMO), żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW) i innych formacji zasłużonych dla budowy w Polsce komunizmu. Wielu z nich wciąż czeka na swoje biogramy i na jakiekolwiek inne upamiętnienie.

Książka ta uzmysławia, jak ważne jest dokumentowanie wspomnień. Stają się one czymś więcej niż zwykłym podręcznikiem do historii. Są bowiem świadectwem życia naszych przodków, ale również namacalnym dowodem myśli i idei, dla których żyli i dla których poświęcali swe życie. Czytając wspomnienia Stanisława Szczepana, nie można mieć żadnych wątpliwości, że tą najwznioślejszą dla niego ideą była zawsze Polska.

Marcin Maruszak

Indeks nazw geograficznych

A
Adriatyckie, Morze 164
Afryka 85, 90, 94
Ameryka Południowa 11
Anglia 10, 46, 85, 102, 177
Annopol 63
Augustów 52
Australia 167–168, 174

B
Babica 12, 94–96, 109, 112, 178–180, 182
Bakończyce 116, 151
Bałtyk 11
Baranowicze 52
Bari 164
Belgia 74, 83
Berlin 104, 132, 136, 155
Białowieska, Puszcza 55
Białystok 33, 145
Biebrza 48
Biebrzańskie, Bagna 44, 49
Bochnia 68, 70–71
Boguchwała 5, 6, 78–79, 176
Brześć (Brześć Litewski) 55, 58
Brześć Litewski zob. Brześć
Brzeżany 165, 174
Brzozów 87
Brzuchowice 20–22
Bug 58–59
Bułgaria 103

C
Cesarstwo Austro-Węgierskie 7
Chełm 59, 62
Cieszyna 180
Czarna Hańcza 36
Czechosłowacja 36, 103, 164
Czerniaków 181
Częstochowa 34
Czudec, gmina 74, 182
Czudec, miasto 16, 71, 76–78, 81–82, 91, 94–97, 99, 105, 107, 109, 111, 133–134, 147–148, 150, 152, 165–167, 171–176, 178, 180–181, 184, 186–187

D
Dania 14, 74, 94
Dąbie Szczecińskie 133
Dębica 70–71, 100
Dolnośląskie, województwo 169
Drawa 134
Drawski, powiat 133, 178
Drawsko Pomorskie 178
Dynów 164, 182

E
Estonia 45, 103
Europa 74, 103

F
Fardon 20
Filipów 38

Francja 11, 14, 46, 74, 85, 177
Frysztat 36

G
Gdańsk 73, 167–168, 175, 180
Gdynia 11, 73
Gliwice 14, 50, 168
Głogów Małopolski 66
Góra Strękowa 50
Góra Żarnowska 180
Grodno 33
Grodzisk 29
Gródek Jagielloński 123, 151
Gwoźnica 182

H
Hamilton 177
Hermanowa 182
Holandia 74, 94

I
Iłża 178

J
Janowskie, Lasy 87
Jarosław 91, 116, 131, 150, 177–178
Jelenia Góra 169
Jugosławia 103, 164

K
Kamień Koszyrski 52
Kanada 177
Katowice 17
Kielce 60, 165, 174
Kieleckie, województwo 24
Kłodzko 169, 170
Kock 183
Kolbuszowa 66
Końskie 178
Kosina 14
Kraków 7, 12, 22, 73, 102–103, 175, 177
Krasne 123, 182
Krasnystaw 62
Kraśnik 62–63
Krzywólka 36
Kwidzyn 26

L
Lacka Wola 124–125, 127, 129
Legnica 169–170
Leningrad 90
Leżajsk 29
Litwa 26, 36, 103
Lubenia, gmina 178
Lubenia, wieś 105, 132, 175–176, 178, 180, 184
Lublin 33, 62, 87, 169
Luksemburg 74
Luterka 179
Lutoryż 178–181
Lwów 7, 10, 20–21, 23, 109, 112, 116, 121, 123, 128–129, 133, 151, 168, 178, 180–181
Lwówek Śląski 139, 175

Ł
Łańcut 115–116
Łonimeć (?) 52
Łotwa 103
Łódzkie, województwo 26

M
Malbork 40
Małopolska 7, 34, 73
Matnia 179–180
Medyka 121, 127, 129–130, 151

Międzyzdroje 134
Mogielnica 187
Moskwa 90, 104, 167
Mościce 11
Mościska 122

N
Niebylec 179
Niemcy 11, 50, 74, 84–85, 90, 94, 137
Nienadówka 29
Nigeria 177
Norymberga 103
Nowa Ruda 5
Nowa Wieś 94–95, 99–100, 104–105
Nowogrodzie 170
Nysa Łużycka 133

O
Odra 133
Opatów 63
Orany 33
Osowiec 26, 33–34, 40, 42, 44–45, 49–53, 63, 183
Osowiec-Twierdza 34, 43, 150, 183
Ostrów Mazowiecka-Komorów 183

P
Piotrków Trybunalski 26, 34
Płociczno 38
Podkarpacie 7, 102
Podole 16
Poklasne 178
Polesie 16, 52
Polska 7, 11, 14, 22, 26, 34, 36, 39, 45, 50–51, 55, 66, 73–74, 84–85, 96, 100–101, 109, 123, 133, 137, 155, 157, 168, 176, 180
Polska Ludowa 105, 110, 146, 148–150, 153, 155, 158
Pomorze 148, 158, 174, 180
Pomorze Zachodnie 187
Poznań 11, 175
Poznańskie, województwo 24
Prostki (Prostken) 50
Prostken zob. Prostki
Prudziszki 36
Prusy Wschodnie 38, 46, 50, 73
Prypeć 52
Przedmieście Czudeckie 96
Przemyśl 15, 60, 116, 119, 121, 128, 130–132, 138–140, 142, 151, 157–158, 170, 178
Przeworsk 29, 80–81, 91, 116, 131, 150, 170
Przybyszówka 29
Przylasek 182

R
Racławówka 5
Radom 85, 165, 174
Rakszawa 29
Raniżów 65
Rawicz 148
Rembertów 183
Rosja (Związek Radziecki) 26, 33, 58, 84, 90, 103, 109, 123, 125, 130, 132, 136–137, 140, 147–148, 151, 157, 159, 167, 170, 176, 187
Rozwadów 65
Różanka 110, 181
Rumunia 103
Ruś Zakarpacka 59
Rypin 24, 29
Rzeszowski, powiat 184
Rzeszowskie, województwo 20

Rzeszowszczyzna 187–188
Rzeszów 10–12, 14–17, 19, 23–24, 26, 31–33, 35, 40, 56, 60, 63–67, 70, 72, 74–76, 80, 82–84, 87, 90–91, 93, 96–97, 100–101, 104, 108–110, 112, 123, 131, 133, 140, 150–151, 157–158, 163–165, 167–168, 171–172, 174–175, 177–182, 186–188

S
San 29, 64, 130–131
Sandomierz 29, 71
Sejny 37
Sędziszów 179
Siedliska 178, 182
Siedliszcze 59
Skidel 52
Słocina 188
Słonim 52
Słupsk 168
Sokal 181
Sokołów Małopolski 31
Sołonka 178
Stalingrad 90, 94
Stalinogorsk 180
Stalowa Wola 64–65
Stanisławów 180
Stany Zjednoczone zob. USA
Starachowice 85
Stargard Szczeciński 139
Staromieście 179
Staroniwa 28, 97, 131
Stępina 180
Stryj 181
Strzyżów 77–78, 80, 96, 179–180
Suwalszczyzna 36
Suwałki 7, 33–34, 38, 40, 42–43, 45, 56, 63, 150, 170
Sybir 9, 117, 119–120, 150, 156–159, 168, 181
Szamotuły 34
Szczecin 95, 139–140, 146, 148, 174
Szczecińskie, województwo 134
Szkocja 177
Szwajcaria, wieś 36
Szydłowiec 178
Szypliszki 36

Ś
Śląsk 17, 24, 180
Śląsk Cieszyński 36
Świnoujście 133

T
Tarnów 68, 70
Termopile 183
Tuchów 179

U
USA (Stany Zjednoczone) 11, 134, 177

W
Wałbrzych 169
Warszawa 7, 24, 29, 33, 51, 102, 178, 181
Westerplatte 50
Węgry 103, 177
Widełka 66
Wieliczka 68, 71
Wieprz 59
Wilkowyja 181
Wilno 33–34, 36
Wisła 62–63, 102, 104
Wisłok 20, 82, 86, 88–89, 96, 99, 107, 131, 150, 180, 182
Wisznia 122, 125

Wiśniowa 39
Wizna 50–51, 183
Włochy 85
Włocławek 181
Włodawa 62
Wola Czudecka 184
Wołyń 19, 156, 165
Woronicz 90
Wrocław 5, 169–170
Wronki 148, 161, 163, 168, 174
Wygnaniec 24, 40, 96
Wyżwa Nowa 56

Z
Zaborów 97, 132, 173, 180
Zaolzie 38
Zarzecze 5, 9, 10, 12–13, 16, 66–67, 70–71, 74–76, 79–82, 86, 89, 94, 96, 102, 105, 132, 138–139, 165, 171–172, 177–182
Ziemie Odzyskane 108–109, 135
Zimna Woda 116, 168
Złocieniec 133–134, 136–137, 139–142, 147, 149, 151, 154, 158, 167–168, 173–174
Związek Radziecki zob. Rosja
Zwięczyca 181

Ż
Żarnowa 101, 180
Żołyń 29
Żółkiew 21

Spis treści

Przedmowa 5

Wstęp 7

Część I

Okres międzywojenny 9

- Wyzwolenie 9
- Próba kształtowania mego losu 12
- Służba wojskowa 23
- Suwałki 33
- Osowiec-Twierdza 43
- Po rozstaniu 63
- Dalsza droga do domu rodzinnego 64

Część II

Okupacja 67

- Pierwsza akcja 76
- Wesoły pogrzeb 77
- Fabryka porcelany stołowej i technicznej w Boguchwale 78
- Jak zdobyć tę dobrą broń? 81
- Handel węglem 82
- Nowa wojna 84
- Amunicja do karabinów bojowych i karabinków 85
- Pacyfikacja 87
- Śmierć Janka Szczepana 89
- Szpieg 90
- Bydło zarodowe 94
- Akcja „Burza" 96
- Amfibia 99
- Najazd czołgów 100
- Obrona mostów 101
- Zdrada Rosjan 102
- Rozwiązanie Armii Krajowej 104
- Pierwsza wpadka 105
- Zatrzymanie przez Urząd Bezpieczeństwa 108
- Aresztowanie 110
- W Rzeszowie 112
- Bakończyce 116
- Wywóz na Sybir 119
- Ucieczka 121
- Droga przez mękę 123

Część III
Po wojnie 133
Złocieniec 133
Więzienie karne w Szczecinie przy ulicy Kaszubskiej 146
Rozprawa w Okręgowym Sądzie Wojskowym w Szczecinie 148
Wyroki 160
Więzienie we Wronkach 161
Na wolności 163
Ślad po placówce AK w Czudcu 175

Przypisy końcowe 177

Posłowie 183

Indeks nazw geograficznych 190